ROK XXIII.
Ogólnego zbioru Tom XC.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM II. — ZESZYT I.

Kwiecień.

WARSZAWA,
1898.

Druk Jana Cotty.

SPIS RZECZY.

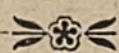


Zeszyt zawiera arkuszy 12.

Druk ukończono d. 27 kwietnia 1898 r.

ZE STOSUNKOW GMINNYCH

w powiecie Miechowskim.



Sprawy i stosunki gminne stanowią jedną z najciekawszych stron życia społecznego naszego kraju. Pomimo tego jednakże, w literaturze ekonomicznéj naszéj niezmiernie jest mało prac, przedmiotowi temu poświęconych. Brak ścisłych i szczegółowych danych o gospodarce gminnéj staje na przeszkodzie wszelkim studyom w tym kierunku. To też pierwszym krokiem być tu powinno skrzętne gromadzenie materyału faktycznego, liczb statystycznych i wszelkich danych, dotyczących samorządu gminnego. Opracowywanie monografii gmin pojedyńczych lub grup całych przez ludzi, dokładnie stosunki te znających, mogłoby z czasem przygotować obfity i wyczerpujący materyał, na podstawie którego dałyby się już przeprowadzić studya ogólne, całość przedmiotu obejmujące. Tą myślą powodowany, przedstawiam w téj pracy dane statystyczne z powiatu miechowskiego gubernii Kieleckiéj, dotyczące stosunków gminnych i na miejscu u źródła samego zgromadzone.

1. Obszar i zaludnienie gmin.

Przed rozpoczęciem działalności komitetu urządzającego w Królestwie Polskiém było w kraju gmin 3,083. Komitet postanowił liczbę tę zredukować do 1,339, z powodu „zbytecznego rozdrobnienia, a zara-

zem nierównomiernego podziału gmin, gdyż niektóre miały od 600 do 800 i wyżéj dymów, inne zaś niżéj 50-ciu". Następnie zmniejszono znów liczbę gmin do 1288, z czego wypada na gubernie pojedyńcze:

Warszawską	w 14	powiatach	179	gmin
Piotrkowską	„ 8	„	151	„
Lubelską	„ 10	„	144	„
Siedlecką	„ 9	„	141	„
Radomską	„ 7	„	144	„
Kielecką	„ 7	„	128	„
Kaliską	„ 8	„	142	„
Płocką	„ 7	„	95	„
Suwalską	„ 7	„	92	„
Łomżyńską	„ 7	„	72	„
Razem powiatów	84	gmin	1288	

Widzimy już z tego, że liczba gmin nie znajduje się w żadnym stałym stosunku do liczby powiatów. W gubernii Piotrkowskiéj przy 8 powiatach jest gmin 151, t. j. o dwadzieścia ośm mniéj niż w gub. Warszawskiéj, mającéj powiatów 14-cie; gub. Łomżyńska, mająca tę samą ilość powiatów co gub. Radomska, ma o połowę mniéj gmin, bo tylko 72.

Nasuwa się pytanie, czém komitet urządzający powodował się przy tworzeniu gmin. Podstawą mogła być albo przestrzeń, albo ilość dymów, albo téż liczba ludności. Rozpatrzmy szczegółowo powiat Miechowski gub. Kieleckiéj.

Po skasowaniu w r. 1867 trzech gmin w powiecie miechowskim, t. j. Nasiechowic, Lgoty i Wysocic, pozostało obecnie 24 gminy, a mianowicie:

	morgi	dymy	ludność
Gruszów z miasteczkiem Brzesko . . .	6,108	536	4,138
Igołomia	3,974	363	3,484
Iwanowice	6,740	620	4.476
Kacice	9,844	612	5,159
Klimontów	7,509	592	4,207
Koniusza	7,921	548	4,138
Kowala	6,756	483	4,026
Kozłów	11,900	756	5,511
Książ Wielki z miasteczkiem	17,182	890	9,440
Luborzyca	7,657	504	4,867
Łętkowice	8,442	520	3,758
Michałowice	7,309	594	5,921
Miechów	10,610	698	4,554
Niedźwiedź	8,276	546	4,389
Nieszków	7,800	452	3,633
Pałecznica	9,099	561	4,814

	morgi	dymy	ludność
Proszowice (miasteczko)	773	247	2,133
Racławice	8,296	506	4,642
Rzerzuśnia	17,202	1,128	8,066
Słomniki (miasteczko)	489	381	3,345
Tczyca	13,590	1,086	6,562
Wawrzeńczyce	4,281	470	4,142
Wielko-Zagórze	12,301	916	6,757
Wierzbno	7,377	493	4,112

Z powyższego wykazu przekonać się możemy, że komitet urządzający przy ustanawianiu podziału gmin nie brał pod uwagę ani przestrzeni, ani liczby dymów, ani też ludności. Pod względem przestrzeni, pomijając gminy Słomniki i Proszowice, jako miasteczka, i biorąc pod uwagę same tylko gminy wiejskie, znajdujemy znaczne bardzo różnice pomiędzy gminami. Tak, gmina Igołomia ma przestrzeni 3,974 morgi, zaś Rzerzuśnia zajmuje 17,202 morgi, czyli jest większą o pół pięta raza.

Podobny stosunek zachodzi także pod względem ilości dymów: Proszowice mają 247 dymów, zaś Rzerzuśnia—1,128.

To samo wreszcie i co do ludności: gmina Proszowice liczy 2,133 mieszkańców, gdy gmina Książ Wielki posiada ich 9,440.

Nie można więc doszukać się żadnéj zasady podziału na gminy, jakkolwiek w ówczesnéj ustawie zaznaczoną była dążność do równego rozdziału ciężarów gminnych oraz ludności, aby nie obciążać zbytecznie wójtów, którzy wówczas sprawowali zarazem urzędy sędziów gminnych.

Z nierówności gmin wynikają następstwa, o których mówić będziemy w rozdziale następnym.

2. Ciężary gminne.

Rodzaj i wysokość podatków gminnych określone zostały w przepisach, wydanych d. 19 kwietnia 1864 roku, i od tego czasu zmian żadnych w tym względzie nie było.

Art. 6 ustawy opiewa: „Przepisy o pensyach i o wysokości wydatków kancelaryjnych, a także o rozkładzie potrzebnych na ten cel funduszów zatwierdzają się czasowo, sposobem próby, i winny być poddane ostatecznemu rozpoznaniu, po zebraniu należytych wiadomości za pośrednictwem miejscowych komisyi spraw włościańskich."

Próba trwa lat 34 i dotąd komisye spraw włościańskich nie widzą potrzeby zebrania należytych wiadomości, pomimo to, iż niejednokrotnie

okazało się w praktyce, że ciężary gminne unormowane są wcale nie według podstaw zasadniczych, jakie komitet urządzający zatwierdził w Królestwie Polskiém.

Przypatrzmy się temu bliżéj.

Według art. 1 „czasowych przepisów o pensyach dla urzędników administracyi gminnéj" z d. 19 kwietnia 1864 roku wójt gminy pobiéra rocznie:

w gminach zawierających	od 50 do 75	domów	50 rs.
„ „	od 75 do 100	„	80 rs.
„ „	od 100 do 200	„	120 rs.
„ „	od 200 do 300	„	150 rs.
„ „	więcéj nad 300	„	180 rs.

Ławnikom przeznacza się tytułem dyet po 37½ kop. za każde posiedzenie sądu gminnego, na którém są obecni.

Wynagrodzenie sołtysów

we wsiach liczących	10 osad	wynosi	2 rs. 70 kop.	rocznie
„ „	od 10 do 25 „	„	3 rs. 60 kop.	„
„ „	od 25 do 30 „	„	4 rs. 50 kop.	„
„ „	od 30 do 60 „	„	5 rs. 40 kop.	„
„ „	od 60 do 80 „	„	6 rs. 30 kop.	„
„ „	więcéj nad 80 „	„	7 rs. 20 kop.	„

Według artykułu 2-go, „Pisarze gminni do czasu wydania ostatecznych przepisów pobiérają pensyę, któréj wysokość nie ma przenosić pensyi, artykułem poprzednim dla wójtów gmin oznaczonéj." A więc najwyższa pensya pisarza wynosić winna 180 rs.

Według artykułu 13, na wydatki kancelaryjne, jako to: na koszta materyałów piśmiennych, druków, blankietów, prenumeratę „Dziennika Gubernialnego", opał i t. p. przeznacza się do dyspozycyi wójta gminy stała suma rocznie, a mianowicie:

w gminach	od 50 do 100	domów	20 rs.
„	od 100 do 300	„	30 rs.
„	od 300 i więcéj	„	45 rs.

Według art. 4, wydatki na utrzymanie administracyi gminnéj ponoszą gminy, które również obowiązane są wyznaczyć lokal dla kancelaryi gminy i sądu gminnego, jeśli takowe nie będą mogły zmieścić się w mieszkaniu wójta gminy.

Według art. 5, „rozkład pomienionych wyżéj wydatków pomiędzy właścicieli nieruchomości ziemskich w obrębie gminy ustanawia zebranie gminne na zasadzie art. 83 Najwyższego Ukazu z d. 29 lutego 1864 roku. Wszakże do czasu powzięcia ostatecznych decyzyi ze-

brań, rozkład powyższy tymczasowo wykonywa się w sposób następujący:

„W gminach prywatnych, w których znajdują się grunta folwarczne i włościańskie, właściciele gruntów folwarcznych ponoszą połowę wszystkich wydatków, potrzebnych na administracyę gminną, drugą zaś połowę ponoszą włościanie. Część przypadająca na włościan rozkłada się pomiędzy gromady wiejskie, wchodzące do składu gminy, w stosunku ilości domów mieszkalnych w każdéj wsi."

Przepisy te przytaczam dosłownie, ponieważ są one dotąd obowiązujące przy oznaczaniu ilości ciężarów gminnych; komitet urządzający przez oznaczenie *maximum* kosztów administracyjnych chciał uchronić gminę od zbytecznych ciężarów. Według tych przepisów najwyższe normy opłat i ciężarów gminnych mogły być następujące:

na wójta	180 rs.
„ pisarza gminnego	180 rs.
„ wydatki kancelaryjne	45 rs.
„ utrzymanie sołtysów do	80 rs.
„ sądy gminne, licząc dwa posiedzenia tygodniowo, z dwoma ławnikami po $37^1/_2$ kop. .	78 rs.
razem	563 rs.

Zobaczymy jednak, że w praktyce normy te o wiele przekroczone zostały.

W obecnéj chwili ciężary gminne dzielą się na stałe i niestałe.

Do pierwszych, t. j. stałych, należą:

1) pensye urzędników gminnych;
2) opłata na lokal dla kancelaryi;
3) wydatki kancelaryjne;
4) utrzymanie sądów gminnych;
5) utrzymanie szkół gromadzkich i gminnych;
6) wydatki, obowiązujące wskutek rozporządzenia władzy;
7) wydatki na potrzeby ogólne gminy.

Dla zaspokojenia tych potrzeb ustanawia się corocznie stały budżet, zatwierdzany przez naczelnika powiatu i według którego pobiérane są podatki od ludności w dwóch ratach półrocznych.

Do ciężarów niestałych należą jednorazowe składki, które zebrania gminne ustanawiają, zwykle na przedstawienia władz powiatowych, jako to: na drogi wiejskie, powiatowe, budowę mostów, koszta sanitarne, budowę szkół, domów gminnych, reperacyi tychże i inne nieprzewidziane wydatki, które wymagają nakładu jednorazowego.

Pierwszém, powszechnie prawie przyjętém odstępstwem od przepisów wyżéj przytoczonych jest praktykowany obecnie rozdział podatków gminnych. Pomimo, iż w artykule 5-ym Przepisów, jak wspomnieliśmy, powiedziano wyraźnie, że „właściciele gruntów folwarcznych ponoszą połowę wszystkich podatków potrzebnych na administracyę gminną, drugą zaś połowę płacą gromady wioskowe w stosunku do ilości dymów", to jednak mocą decyzyi zebrań gminnych weszło w zwyczaj rozdzielać ciężary gminne w stosunku do ilości posiadanych morgów bez względu na charakter właścicieli, włościan lub dworów.

Wprawdzie na podstawie art. 83 Najwyższego Ukazu z dnia 19 lutego 1864 r. zebranie gminne posiada prawo zmienić rozkład według dymów na podział według liczby morgów, jednakże z uwzględnieniem wyraźnie zaznaczonego przepisu, że właściciele gruntów folwarcznych ponosić mają połowę kosztów. Według tego, należało więc sumę ciężarów, jakie gmina ponosi, rozdzielić na dwie połowy, z których jednę w stosunku ilości morgów włościańskich płaciliby włościanie, drugą zaś od swojéj przestrzeni płaciliby właściciele większéj posiadłości. Nigdzie to jednak przestrzegane nie jest [1]).

Tablica następująca przedstawia rozkład podatków w powiecie Miechowskim. Zobaczmy więc, jakie to ciężary przyjęli na siebie „dobrowolnie" mieszkańcy gmin w ostatnich czasach.

(Patrz tablicę na str. 7).

Z tablicy téj widzimy więc dokładnie, jak jest nierówny podział ciężarów gminnych, i to zarówno co do sumy ogólnéj składek gminnych, jak téż i co do pozycyi pojedyńczych.

Tak np. gmina Wawrzeńczyce, najmniejsza prawie w powiecie co do przestrzeni (4,281 mórg), płaci rocznie 3,368 rs. 42 kop.—co czyni 69 kop. z morga, gdy gmina Tczyca, mająca 13,590 morgów przestrzeni, a więc o 9,309 więcéj, płaci tylko 2,797 rs. 31½ kop. (t. j. 20½ kop. z morga), czyli o 571 rs. 11½ mniéj, niż Wawrzeńczyce.

Przyczyn tak niesprawiedliwego podziału podatków szukać należy w nieznajomości przepisów ustawy gminnéj oraz w wyzyskiwaniu téj nieznajomości przez administracyę gminną. Tam, gdzie w zebraniach gminnych bierze udział inteligencya, tam podstawą rozkładu są prze-

---

[1]) Przypuszczamy, że krytykowany przez autora system jest jednak słuszniejszy, choćby z tego względu, że stosunek przestrzeni gruntów dworskich i włościańskich bywa różny w różnych gminach. Podział podatków na dwie równe części w razie nierówności przestrzeni gruntów dworskich i włościańskich byłby więc zawsze z krzywdą to jednéj, to drugiéj strony. *(Przyp. Red.).*

Gminy	Pensye urzędników gminnych		Wydatki kancelaryjne		Najem lokalu		Utrzymanie sądów gminnych		Wydatki wynikłe z rozporządzenia władz		Utrzymanie szkół gminnych		Wydatki na ogólne potrzeby gminy		Suma ogólna wydatków		Liczba morg. podlegających opłacie składek gminnych	Liczba dymów	Przeciętna wysokość opłaty z morga		Przeciętna wysokość opłaty z dymu	
Gruszów (z miasteczkiem Brzesko) . .	545	—	135	—	—	—	396	53	426	50	1120	68	1432	87	4056	58	6108	536	—	66	7	56½
Igołomia	460	—	40	—	—	—	257	99	133	7	720	—	644	82	2255	88	3974	363	—	56	6	21
Iwanowice	591	50	232	05	—	—	187	21	189	42	679	74	748	68	2628	60	6740	620	—	39	4	23½
Kacice	604	90	150	—	—	—	316	51	430	28	1348	60	100	—	2950	29	9844	612	—	29½	4	82
Klimontów	645	30	350	—	—	—	398	87	536	4	1145	—	632	87	3708	08	7509	592	—	49	6	26
Koniusza	530	—	180	—	—	—	427	47	268	—	795	38	48	—	2248	85	7921	548	—	28½	4	10
Kowala	601	20	100	—	—	—	304	48	840	—	1423	62	330	—	3599	30	6756	483	—	53	7	45
Kozłów	656	80	45	—	—	—	309	36	318	10	1380	—	323	—	3032	26	11900	756	—	25½	4	01
Książ Wielki (z miast.)	1001	84	100	—	—	—	219	4	403	11	3187	63	868	22	5779	84	17182	890	—	33½	6	49
Luborzyca	706	50	45	—	—	—	282	84	128	80	612	56	1209	60	2985	30	7657	504	—	39	5	92
Łętkowice	640	80	90	36	—	—	350	18	280	55	836	4	120	—	2317	93	8442	520	—	27	4	45
Michałowice . . .	636	21	120	—	—	—	274	1	498	—	560	54	821	—	2909	76	7309	594	—	39½	4	88
Miechów	761	25	145	—	—	—	196	76	486	90	1574	65	833	12	3997	68	10610	698	—	38	5	72½
Niedźwiedź	596	80	90	—	—	—	302	—	155	6	1013	81	284	60	2442	27	8276	546	—	29	4	65
Nieszków	582	—	100	—	—	—	231	92	295	—	785	—	820	50	2814	42	7800	452	—	36	6	25
Pałecznica	688	20	90	—	—	—	367	48	530	34	1428	36½	614	92	3719	30½	9099	561	—	41	6	63
Proszowice (miast.) .	1118	—	190	—	120	—	—	—	292	—	400	—	390	—	2510	—	773	247	3	24	10	16
Racławice	644	36	69	—	—	—	173	41	138	—	1400	20	495	46	2920	43	8296	506	—	35	5	73
Rzerzuśnia	625	20	737	89	—	—	285	90	908	47	2093	48	842	67	5493	67	17202	1128	—	32	4	88
Słomniki (miasteczko)	644	—	210	—	—	—	—	—	228	—	630	—	452	52	2164	52	489	381	4	40	5	68
Tczyca	626	60	100	—	—	—	284	52	520	43½	951	30	314	46	2797	31½	13590	1086	—	20½	2	57
Wawrzeńczyce . .	1181	67	120	—	225	—	313	8	480	94	1385	28	662	45	3368	42	4281	470	—	69	7	16
Wielko-Zagórze . .	628	—	150	—	—	—	221	12	488	54	1691	30	400	—	3578	96	12301	916	—	29	3	90
Wierzbno	638	10	295	—	—	—	405	64	218	—	884	88	218	—	2659	62	7377	493	—	36½	5	39
Razem . . .	16354	23	3884	30	345	—	6506	32	9193	55½	27048	5½	13607	76	76939	22	200437	14502				

pisy obowiązujące z 7 kwietnia 1864 r. Tak np., gmina Racławice płaci na utrzymanie urzędników swych 644 rs. 36 kop., a mianowicie:

na wójta	. . . . .	180 rs.
na pisarza	. . . .	180 „
na dwóch stróżów	. .	150 „
na 13-tu sołtysów	. .	59 „
na pomocnika pisarza		75 „

Widzimy zatém, że w Racławicach od czasu wprowadzenia Ustawy przybyły tylko dwie pozycye, t. j. 225 rs., mianowicie: etat na pomocnika pisarza i dwóch stróżów gminnych. Co do pierwszéj z nich, to decyzya zebrania gminnego nastąpiła na podstawie przedstawienia pisarzy o obciążeniu ich pracą. Według art. 63 ustawy gminnéj z d. 19 marca 1864 r. do obowiązku pisarza gminnego należy: „prowadzenie ksiąg i całéj w ogóle korespondencyi, tak w urzędzie wójta gminy, jako téż i w sądzie gminnym. Nadto pisarz obowiązany jest prowadzić wszystkie księgi dokładnie i porządnie, oraz z należytą ścisłością zamieszczać wszelkie dane w korespondencyach i świadectwach, wychodzących w imieniu wójta gminy, sądu lub zebrania". Nadto według 64 art. obowiązany jest pisarz gminny „pomagać sołtysom na żądanie w prowadzeniu ich korespondencyi i protokółowaniu uchwał zebrań gromadzkich, które na piśmie sporządzane być winny".

Na mocy Najwyższego Ukazu z d. 19 lutego 1875 r., po oddzieleniu sądów gminnych, czynności pisarzy do połowy zredukowane zostały. A jednak wtedy właśnie zażądali oni dodania sobie pomocników płatnych przez gminę, powołując się na żądanie władz wyższych.

Co do stróżów kancelaryi gminnéj, to, pomimo że ciężar ten nie był przewidziany przez Ustawę, zebrania uznały najprzód potrzebę utworzenia posady jednego stróża i takowego zatwierdzono. Następnie zaś uchwalono etat i dla drugiego stróża, a to jedynie w celu powiększenia sumy na to przeznaczonéj, gdyż w praktyce widzimy, że albo gmina obywa się jednym stróżem i wtedy pensya nie istniejącego drugiego idzie do dyspozycyi wójta gminy, albo téż, gdy drugi stróż jest przyjęty, jest on tylko służącym pisarza gminnego.

W innych gminach, dwa razy mniejszych niż Racławice, płace na administracyę są częstokroć wdwójnasób większe: np. Wawrzeńczyce płacą 1,181 rs., Proszowice 1,118 rs. na urzędników gminnych. Zarząd gminny jednak w żadnym razie nie może mieć więcéj czynności, niż w gminach rozleglejszych i ludniejszych. Ustanowienie wyższych norm zależy w całości od zręczności wójtów, a właściwie pisarzy, przy przeprowadzaniu odnośnych uchwał na zebraniach gminnych. Jak się to w praktyce odbywa, zobaczymy, gdy mowa będzie o zebraniach.

Co do pozycyi „wydatków kancelaryjnych”, widzimy z tablicy, że gminy Igołomia, Kozłów i Luborzyca trzymają się ściśle etatu oznaczonego d. 19 kwietnia 1864 r. We wszystkich zaś innych gminach uchwalono przeróżne dodatki. Na szczególną jednak uwagę zasługują: gmina Wierzbno, która pozycyę potrzeb kancelaryjnych podniosła o 295 rs., gmina Klimontów o 350 rs., a Rzerzuśnia aż o 737 rs. 89 kop. Trudno zrozumiéć, czém tak wysokie wydatki usprawiedliwione być mogą. Jeżeli w Luborzycy wystarcza 45 rs., zgodnie z normą w ustawie przeznaczoną, to dlaczego gmina Rzerzuśnia, dwa razy większa pod względem ludności, wydaje o 737 rs. 89 kop. więcéj, czyli 16 razy tyle?

Nadmienić tu należy, że pisarze gminni nie przedstawiają żadnych rachunków z funduszów kancelaryjnych, i pieniądze te są przeznaczone wyłącznie do ich dyspozycyi. To téż usiłowaniem każdego z nich jest możliwie najwyższe podniesienie téj pozycyi budżetu gminnego.

Co do 3-éj pozycyi: „na pomieszczenie zarządu gminnego” widzimy z tablicy, że w powiecie Miechowskim 22 gminy mają swoje własne domy gminne, a tylko gminy Proszowice i Wawrzeńczyce wynajmują lokal; pierwsza za 120 rs. rocznie, druga za 225 rs.

I w tém jednak nawet zachodzi stosunek dość dziwny, gdyż wieś Wawrzeńczyce płaci za lokal o 105 rubli więcéj, niż miasto Proszowice.

Czwartą pozycyę w szeregu wydatków gminnych stanowią koszta utrzymania sądów gminnych.

Z mocy Ukazu d. 19 lutego 1875 r., oddzielono wymiar sprawiedliwości od atrybucyi wójtów i jednocześnie ustanowiono etat oddzielny na utrzymanie sądów gminnych.

Powiat Miechowski podzielony został na sześć okręgów sądowych, z których każdy obejmuje cztery gminy. Następnie na mocy decyzyi senatu z d. 24 maja 1880 r. dla ulżenia gminom w utrzymaniu sądów, postanowiono, aby „wpisowe”, pobierane przez sąd od spraw cywilnych w ilości 1% od sumy i 10 kop. od arkusza, zwracane były zarządom gminnym, a dopiéro brakująca suma na utrzymanie sądu zbiérana była przez specyalną na ten cel wyznaczoną opłatę od mieszkańców. W ten sposób wysokość téj opłaty była zmienną i zależała co roku od ilości spraw cywilnych w sądzie rozpatrywanych. Przytém w praktyce zachodziła trudność z tego względu, że etat na utrzymanie całego zarządu gminnego ustanawia się na początku roku, kiedy jeszcze nie można wiedzieć, jaką będzie ilość spraw cywilnych w ciągu roku, a więc jaki dochód wpłynie z tego źródła.

Wskutek tego, dnia 29 grudnia 1887 roku zapadła nowa decyzya senatu, według któréj „w guberniach Królestwa Polskiego kasy państwowe mają pobiérać na utrzymanie sądów gminnych specyalny podatek, ustanowiony przez zebranie gminy i obciążający ziemię i inne nieruchomości, z zastrzeżeniem, aby podatek ten ściągali na zasadach zwykłych wójci i w całości do kasy powiatowéj go składali".

Na podstawie tego nowego rozporządzenia z polecenia gubernatora kieleckiego, zebrano w roku 1886 dane o wysokości sum, jakie każda gmina otrzymała „wpisowego" w ciągu tegoż roku, aby tą drogą dokładnie oznaczyć wysokość brakującéj na utrzymanie sądu sumy. Tym więc sposobem suma wpisowego za rok 1886 wzięta została za podstawę obowiązującą na przyszłość.—Etat na każdy okrąg sądowy ustanowiono w wysokości 1,650 rs., i stosownie do tego sporządzono rozkład na cały powiat Miechowski, który przedstawiamy szczegółowo w załączonéj tablicy.

(Patrz tablicę na str. 11).

Z tablicy téj widzimy znowu, jak jest nierówny dochód, przypadający gminom z „wpisowego".

Gmina Wierzbno w roku 1886 otrzymała 44 rs. 44 kop., gdy do gminy Słomniki wpłynęło 366 rs. 66 kop. Wskutek tego gmina Wierzbno, która ma płacić według rozkładu 450 rs. po potrąceniu wpisowego 44 rs., składa rocznie z morga 5.6 kop. czyli 405 rs. 64 kop. Słomniki zaś stosownie do rozkładu ogólnego, obliczonego w stosunku do ilości właścicieli 250 realności, płacą 227 rs. 90 kop., a że mają dochodu z „wpisowego" 366 rs. 60 kop. zatém gmina Słomniki na utrzymanie sądu ż a d n y c h c i ę ż a r ó w nie ponosi.

W podobném położeniu znajdują się także i inne gminy; w siedmiu z nich dochód z wpisowego nie dochodzi do stu rubli, w trzynastu gminach wynosi od 100 do 200 rs., zaś wyżéj dwustu dochodu mają cztery gminy, a z tych dwie wyżéj 300 rs.

Przyjęcie za normę dla oznaczenia wysokości podatków na sąd gminny wpływu z wpisowego od spraw cywilnych w jednym tylko roku 1886 nie było racyonalném. Ilość spraw podobnych zmienia się bowiem co roku. Należało więc wziąć jako podstawę przynajmniéj przeciętną z lat sześciu, co dałoby cyfrę bardziéj zbliżoną do rzeczywistości. Powtóre, jeżeli dokonany rozkład w powiecie miał stale obowiązywać gminy, to należało dopełnić obrachunku nie w przybliżeniu, ale z całą ścisłością; obecnie zaś widzimy, jak ani jedna pozycya nie zgadza się z sumą, jaka na gminę przypadać istotnie powinna. Wreszcie, w praktyce okazał się zupełnie chybionym podział powiatu Miechow-

Okręgi sądowe.	Ogólna suma składki, jaka przypada z gminy na sądy gminne według rozkładu sporządzon. w powiecie		Ogólna suma, jaka przypada z gminy na sądy gminne po ścisłym obrachunku		Sumy zebrane z wpisow. i papierów jakie sąd gminny pobrał i zwrócił do kas gmin. w r. 1886, t. j. do 1 stycz. 87		Suma, jaka brakuje gminie do uzupełnienia etatu sądu gminnego		Ilość morg. ziemi uprawnej, opodat. na sąd z doliczeniem przestrz. leśnej i rachując 4 m. lasu na 1 m. upraw.	Liczba ludności w okręgu	Liczba dymów w okręgu	Liczba właścicieli nieruchomości w okręgu	Przeciętna wysok. opłaty z morga	Przeciętna wysok. opłaty z dymu
	Rs.	k.	Rs.	k.	Rs.	k.	Rs.	k.					Kop.	Kop.
Okrąg I.														
Gmina Tczyca . . .	387	89	431	72	103	37	284	52	13590					
„ Rzerzuśnia .	515	93	498	43	230	3	285	90	15696					
„ Wielko-Zagórze	378	95	390	73	157	83	221	12	12301					
„ Miechów . . .	367	23	329	14	170	47	196	76	10364					
	1650		1600		661	70	988	30	51951	25939	3828		3.2	43
Okrąg II.														
Gmina Książ Wielki .	526	76	442	55	307	72	219	4	10281					
„ Kozłów . . .	503	75	515	35	193	89	309	86	11971					
„ Racławice . .	304	84	354	55	129	85	174	99	8236					
„ Nieszków . . .	314	65	337	55	82	73	231	92	7842					
	1650		1600		714	19	935	81	38226	23226	2504		4.3	65¹/₂
Okrąg III.														
Gmina Słomniki . . .	227	90	247	80	366	60	—	—	483			250		
„ Kacice	520	60	553	80	204	9	316	51	9816			560		
„ Łętkowice . .	418	3	378	20	67	85	350	18	8317			382		
„ Pałecznica . .	483	47	470	20	115	99	367	48	8819			484		
	1600		1600		754	53	1034	17	27435	17076	2074	1676	6.2	80
Okrąg IV.														
Gmina Niedźwiedź . .	466	98	459	43	165	21	301	77	8249					
„ Luborzyca . .	404	82	420	33	121	98	282	84	7544					
„ Michałowice .	398	56	407	37	124	55	274	1	7311					
„ Iwanowice . .	379	64	362	87	192	43	187	21	6515					
	1600		1600		604	17	1045	83	29619	19653	2264		5.53	73
Okrąg V.														
Gmina Wierzbno . .	450	8	462	—	44	44	405	64	7260			426		
„ Klimontów . .	463	56	405	39	64	69	398	87	7494			373		
„ Proszowice . .	256	17	236	90	184	57	71	60	743			218		
„ Koniusza . . .	480	19	545	71	52	76	427	43	7943			492		
	1600		1600		346	46	1303	54	23444	14590	1880	1509	7.3	87
Okrąg VI.														
Gmina Igołomia . . .	326	24	308	20	68	25	257	99	3962					
„ Wawrzeńczyce .	400	45	363	28	87	37	313	8	4670					
„ Gruszów . . .	498	53	456	19	102	—	396	53	5868					
„ Kowala . . .	424	78	522	33	120	30	304	48	6717					
	1600		1600		377	92	1272	8	21217	15790	1852		7.9	88¹/₂

skiego na sześć okręgów sądowych w granicach i rozległości, w jakich istnieją obecnie. Podział ten bowiem jest prawidłowy tylko ze względu na liczbę gmin w każdym okręgu, o co oczywiście najmniéj chodzić może. Natomiast okręgi są bardzo różne, tak pod względem ludności (od 25,939 do 14,590), jak też pod względem rozległości (od 51,951 morgów w okręgu pierwszym do 19,217 morgów w szóstym). Nic też dziwnego, że w rezultacie otrzymujemy tak nierówny podział opłat i ciężarów, jak to wykazuje porównanie gmin Wierzbna i Słomnik.

W decyzyi senatu z dnia 24 grudnia 1887 roku spotykamy po raz pierwszy wzmiankę o rozkładzie podatków gminnych z przestrzeni. Jest to być może skutek przedstawionych w tym względzie opinii władz miejscowych, które sposób ten uznały za najbardziéj odpowiadający życzeniom ludności gmin naszych, a to ze względu na wielokrotne w innych sprawach uchwały zebrań gminnych w tym duchu. Wszakże nie należy zapominać, że w danym wypadku z dobrodziejstwa instytucyi sądowych korzystają zarówno właściciele nieruchomości, jak i inni mieszkańcy gmin. Wiemy np., że w drugim okręgu sądowym Kalina Wielka w powiecie Miechowskim było spraw cywilnych wyżéj nad 10 rs., wniesionych przez właścicieli nieruchomości—220, zaś przez mieszkańców, nie posiadających nieruchomości—122; daléj spraw o sumy nie przechodzące 10 rs. od właścicieli nieruchomości przedstawiono 78, zaś od innych mieszkańców 108. Spraw karnych mieli właściciele nieruchomości 306, inni zaś aż 320. Niesłusznem jest więc, ażeby tylko ziemia ponosiła ciężary na utrzymanie instytucyi, z któréj korzystają w równéj, a nawet często w przeważnéj mierze, mieszkańcy, nie posiadający własności gruntowéj.

Przeglądając akta sądowe w Kalinie z r. 1890, znalazłem, że w tym jednym sądzie jedna i ta sama osoba wniosła blizko 40 spraw cywilnych, a że nie posiada własności gruntowéj, przeto nie ponosi kosztów na utrzymanie sądu gminnego. Jest to wszakże człowiek zamożny, obracający znacznemi kapitałami, dzięki któremu nawet nie jeden włościanin wyzuty został z majątku. Charakterystycznem jest wreszcie, że, pomimo iż ciężary na utrzymanie sądów gminnych na mocy rozporządzenia rządowego zmniejszone zostały przed kilku laty do połowy, wójci gmin jednak po większéj części, dla uniknięcia konieczności przeprowadzenia nowego zmniejszonego podziału, pozostawili dawną normę, rezerwując drugą darowaną na „wydatki nieprzewidziane".

Wydatki na „utrzymanie szkół gromadzkich" w gubernii Kieleckiéj przeznaczone są dla 257 szkół, które według powiatów dzielą się jak następuje:

W powiecie	Włoszczowskim	szkół	16
„	Olkuskim	„	20
„	Jędrzejowskim	„	23
„	Kieleckim	„	30
„	Stopnickim	„	46
„	Pinczowskim	„	52
„	Miechowskim	„	70

Na utrzymanie tych szkół płacą mieszkańcy rocznie 27,048 rs. 5 1/2 kop.—Rubryka ta, jak widzimy z tablicy, przedstawia największy z ciężarów, jakie przypadają na gminy, ale zarazem tu także znajdujemy największą nierówność.

Tak naprzykład, gmina Proszowice płaci na szkoły 400 rs., zaś gmina Książ Wielki 3,187 rs. Gmina Kowala, mająca przestrzeni 6,756 morgów, płaci 1,423 rs., zaś gmina Łętkowice przy 8,442 morgach płaci tylko 806 rs., a Tczyca przy 13,590 morgach—951 rs.

Tak wysokie składki na szkoły spotykamy tylko w jednym powiecie Miechowskim i w części powiatu Pinczowskiego; powód zaś tego jest następujący:

Do roku 1886 nie było w powiecie Miechowskim ani jednéj szkoły gminnéj, lecz tylko szkoły wiejskie czyli gromadzkie. Nauczyciele pobierali najwyżéj do 150 rs. pensyi oraz ordynaryę, którą gromady same składały, przyczém do niektórych szkółek dodano po parę morgów ziemi.

W r. 1882 były komisarz do spraw włościańskich Małyszewski, na zebraniu gminném w Pałecznicy, przedstawił włościanom, iż nie umieją korzystać z praw, nadanych im przez Ukaz Najwyższy z 1864 r., gdyż na podstawie Ukazu mogliby szkoły gromadzkie zamienić na gminne, a wtedy ciężar utrzymania takowych przeważnie spadłby na dwory. Zamianę tę pod wpływem komisarza Małyszewskiego zebranie uchwaliło. Następnie po uchwale w Pałecznicy ówczesny naczelnik powiatu Miechowskiego Oreł rozesłał reskrypt do wszystkich wójtów gmin, żądając podniesienia wszystkich etatów nauczycieli szkół gromadzkich i zamiany szkół tych w całym powiecie na szkoły gminne.

Zrazu niemal wszystkie gminy, obawiając się zbyt wielkiego podniesienia podatku na szkoły, żądaniu naczelnika odmówiły. Wtedy polecił on naczelnikowi straży ziemskiéj, aby był obecny na zebraniach gminnych i zwoływał takowe dotąd, dopóki w całym powiecie podniesienie pensyi nauczycielowi i zamiana szkół nie zostaną „dobrowolnie” przez gminy uchwalone.

Tym dopiéro sposobem przeprowadzoną została ta donośna zmiana w ciągu 1886 r. w powiecie Miechowskim, a następnie za przykładem tym poszedł powiat Pinczowski.

Etat nauczycieli ustanowiono w wysokości od 300 do 350 rs. Nierówność zaś ciężarów na utrzymanie szkół w gminach poszczególnych zależy od ich liczby w gminie.

Pozycya 6-ta tablicy naszéj przedstawia „składki zbierane od mieszkańców gmin z polecenia władzy wyższéj". I tu znowu różnice znajdujemy znaczne. W gminach Racławice, Luborzyca i Igołomia wydatki w téj rubryce wynoszą od 128 do 138 rubli rocznie, zaś w Klimontowie, Pałecznicy i Tczycy przenoszą 500 rubli, w Kowali dochodzą do 840, a w Rzerzuśni do 908 rubli—pomimo, iż są to najmniejsze z gmin.

W dobrze mi znanéj gminie Racławicach na pozycyę tę składają się cztery wydatki następujące:

ofiara na szpital w Tworkach	108 rs.
prenumerata „Gub. Wiedomosti"	10 „
na litografię w Miechowie	10 „
na asekuracyę budynków gminnych . . .	10 „
razem .	138 rs.

Lecz objaśnić należy, że w gminie téj powyższe pozycye oznaczone zostały przez komitet, wybrany na zebraniu gminném i złożony z trzech właścicieli większych posiadłości i dwóch włościan. Po przejrzeniu wszystkich dokumentów, jakie otrzymała gmina Racławice do roku 1895, nie znalazło się żadnego więcéj, oprócz powyższych, wymagania ze strony władz wyższych, któreby zmuszało do powiększenia wydatków w téj rubryce.

Jakim więc sposobem mogły być w innych gminach żądane przez władzę tak wysokie składki i na co, — tego żaden z mieszkańców gmin tych nie umiał objaśnić, a dowiedzieliśmy się tylko, że pozycye te ustanawiają sami wójci i pisarze bez współudziału członków gminy.

Pozycya 7-ma „na potrzeby ogólne" jest rubryką najciekawszą a zarazem taką, w któréj panuje dowolność największa. Gmina Koniusza mająca przestrzeni 7.921 morgów wydaje na te „potrzeby ogólne" 47 rs., zaś gmina Gruszów przy 6,108 morgach przestrzeni opłaca 1,432 ruble 87 kop., Luborzyca 1,209 rs. 60 kop., Rzerzuśnia, Nieszków, Michałowice, Książ Wielki wyżéj 800 rs.

Trzeba jednak wiedzieć, że w gminie Koniusza wójtem jest człowiek prawy, cieszący się zaufaniem mieszkańców, kilkakrotnie wybierany na wójta. Zadawalnia się on pensyą 180 rs. jest oszczędny, gdy chodzi o grosz publiczny, mało wydaje na opał kancelaryi, trzyma się ściśle przepisów z 1864 roku co do dostawy podwód, a także co do utrzymania dróg wiejskich, co jest obowiązkiem samych gromad.

To wszystko tłómaczy nam, dlaczego gmina Koniusza na „potrzeby ogólne" wydaje *summa summarum* 48 rubli.

Zobaczmy, jakie w rubryce téj wydatki znalazł komitet wyznaczony w gminie Racławice. Okazało się po sprawdzeniu, że wydano:

1) na podwody dla wójta gminy . . .	180 rs.	— kop.
2) na utrzymanie drogi powiatowéj . .	147 „	20 „
3) na opał i światło dla straży ziemskiéj	96 „	34 „
4) na opał kancelaryi gminnéj i aresztu	62 „	— „
5) na kupno książek kancelaryjnych . .	10 „	— „
razem	495 rs.	54 kop.

Pozycyę 96 rs. 34 kop. „na opał i światło dla straży ziemskiéj", którą gmina Racławice i wszystkie inne przyjęły, uważać należy nietylko za zbyt wygórowaną, ale nadto za niesłuszną i niezgodną z Najwyższym Ukazem z dnia 7/19 kwietnia 1878 r., mocą którego „we wsiach i osadach, gdzie rozmieszczone są sztaby pułkowe, batalionowe, lub téż osobne oddziały, jak: roty, szwadrony, baterye, koszta na opał i światło dla zamieszkałych w tych osadach i wsiach oficerów i innych urzędników, mających prawo do kwatery, ponosi kasa państwowa. W ten sam sposób na rachunek téjże kasy idą koszta opału i światła dla zamieszkałych w tych osadach i wsiach komisarzy i innych urzędników, korzystających z prawa kwaterunkowego."

Mowa tu wyraźnie o oficerach i urzędnikach odpowiednich rang, nie zaś o strażnikach.

Natomiast w paragrafie 6-ym instrukcyi o utrzymaniu straży ziemskiéj powiedziano: „j e ś l i z a j d z i e p o t r z e b a umieszczenia strażników nie w mieście, ale na wsi, to wybiérać należy wieś, w któréj znajduje się zarząd gminny."

Z paragrafu 20-go téjże instrukcyi „o utrzymaniu straży ziemskiéj" widzimy, że opał i światło dla straży ziemskiéj wyznacza się na ogólnych zasadach, istniejących dla wojska w Królestwie Polskiém.

Następnie na skutek odezwy gubernatora płockiego z dnia 30-go marca 1870 r., generał-gubernator wydał w dniu 10 kwietnia 1870 r. następującą rezolucyę: „Strażnikom ziemskim w ich okręgu należy się mieszkanie, składające się z jednego pokoju, z dodaniem drzewa, oświetlenia i słomy według tych przepisów, jakie obowiązywały w r. 1866 dla podoficerów żandarmskich, to jest—co do drzewa: we wrześniu, październiku, listopadzie po 2 łupki dziennie; w grudniu, styczniu i lutym po 2 i pół łupki, co razem ma stanowić 3 sągi drzewa i 49 łupek; co do światła: w trzech pierwszych miesiącach po 3 ft. świéc, w następnych po 3 ft. i pół; słomy zaś po 20 ft. na każdy okrąg miesięcznie."

I z téj więc decyzyi generał-gubernatora widoczne jest, że gminy nie są obowiązane dostarczać ani kwatery, ani opału, ani oświetlenia dla straży ziemskiéj. A jednak pomimo to wszystko, w powiecie Miechowskim wszystkich dwudziestu czterech strażników rozmieszczono po wsiach, łącząc ich po dwóch lub trzech w jedném miejscu. A ponieważ gminy opłacają na ich utrzymanie przeciętnie po 100 rubli rocznie każda, wypada przeto na powiat Miechowski 2,400 rubli wydatków na ten cel.

Gdyby jednak nawet, podciągając strażników pod przywileje przysługujące oficerom i komisarzom, uznać obowiązek gmin dostarczania im światła i opału, to według norm, obowiązujących w kasie powiatowéj dla strażników, zamieszkałych w mieście Miechowie, wypadłoby na 24 strażników:

78 sągów drzewa po 5 rs.	390 rs. — kop.
po $19^1/_2$ ft. świéc po 23 kop. ft. . . .	106 „ 96 „
za słomę	30 „ — „
czyli razem	526 rs. 96 kop.

a zatém na gminę po 24 rs., nie zaś po 100 rs.

W rubryce na „ogólne potrzeby gminne" spotykamy jeszcze nie-mniéj ciekawą pozycyę w gminach Gruszów i Luborzyca, które płacą stały etat w sumie 267 rs. 3 kop. „na odwożenie chorych żołnierzy do szpitala miechowskiego".

Niektóre wioski gminy Gruszów i Luborzycy położone są na granicy austryackiéj i rozmieszczona jest w nich straż pograniczna, która „ma prawo żądać od wójta gminy ułatwienia w dostarczeniu podwód dla chorych żołnierzy za wynagrodzeniem w taksie oznaczoném." Jakim więc sposobem w budżetach gmin Gruszów i Luborzyca znalazła się stała i tak ściśle na kopiejki oznaczona pozycya na ten cel, — znowu zrozumiéć trudno. Nic więc dziwnego, że wobec tak wysokich ofiar, przez gminę Gruszów dobrowolnie na siebie przyjętych, suma rocznéj składki na „potrzeby ogólne" dochodzi w niéj do 1,432 rs. 80 kop. rocznie.

Na tém kończymy rozpatrzenie podatków gminnych, pozostawiając do przyszłego artykułu rozpatrzenie rodzaju i wysokości podatków państwowych oraz porównanie ze sobą dwóch tych kategoryi ciężarów publicznych, które ludność gmin naszych opłaca.

G. Godlewski.



Z poematu

„TWARDOWSKI".

FRAGMENT.

W mądrego świata zgiełkliwéj pustyni
Zamierać zwolna musiał głos poety;
Na wielką skalę wszystko się dziś czyni,
I tylko pieśni zmalały, niestety!
Arcykapłany ludzkich serc świątyni
Przeszli, jak złote po niebie komety,
I lutnie z nimi padły w grobów ciszę,
I wielkich pieśni już się dziś nie pisze!

O, wiem zaprawdę! wiem, że dosyć mamy
Niebiańskich wizyi, złotych snów chimery!
Byli Zygmunty, Juliusze, Adamy!
Byli Getowie, Bajrony, Szyllery!
Lecz cóż ja pocznę, że do niebios bramy
Dusza ma tęskni, jak do raju Peri,
I że wyśpiewać chcę ni mniéj, ni więcéj,
Poemat z wierszy dziesięciu tysięcy!

Niechże mi tedy czytelnik przebaczy
Anachroniczne przedsięwzięcie moje!
Proszę mi wierzyć: sam jestem w rozpaczy!
Sam się o ciebie, mój słuchaczu, boję!
Ale — na honor! — nie mogę inaczéj,
Bo tak mi natchnień powzbierały zdroje!
A dziś, gdy zdolność kupiecka jest w cenie,
Szkoda roztrwonić... nawet i natchnienie!

Długo śpiewałem, jak wiośniane ptaszę,
Dziś orle skrzydła rozwijam do lotu!
Truły mi duszę marne smutki wasze
I bezcelowy haracz łez i potu;
Nad karle boje, zwykłe boje wasze,
Milsze mi sfery piorunów i grzmotu!
Odtrącam dawnych piosnek moich żniwo
I moją twarz wam pokażę prawdziwą!

W przeszłości muszę bohatéra szukać,
Miniony żywot z martwych muszę wskrzeszać,
Bo nie chcę słodko do serc waszych pukać,
Ni minstrelowych tęczy wam rozwieszać!
Ale chce duch mój wspiąć się i rozhukać,
Jak rumak w boju — w bój się pragnie wmieszać
I mknąć do słońca z wielkimi duchami —
Gdzież takie duchy znajdę między wami?

Tam je znalazłem! Tam w przeszłości staréj
Znalazłem orle duchy i poloty!
Z kart ksiąg zbutwiałych w cichy wieczór szary
Zjawiał się u mnie hufiec srebrno-złoty!
I szły postacie dumne, jak cezary,
Albo z symbolem anielskiéj tęsknoty,
Postacie, których nigdy nie zapomnę:
Miłością — wiarą — zapałem... ogromne!

Wśród nich umieszczę bohatéra mego,
A on sąsiadów przerośnie o głowę;
Zwykle to skutki złe bywają z tego,
Co mi poświadczą snadno czasy nowe;

Żal mi niezmiernie pana Twardowskiego
I taką za to mu wypalę mowę:
Każdy być winien jednakowo rosły,
Jakby dobrane konie — albo osły!

O, moich natchnień archaniele biały,
Jak ty mą duszę swym urzekłeś czarem!
Struny po strunach w moich piersiach grały
I serce boskim płomieniły żarem,
I dziś jak wielka lutnia jestem cały,
Jak lutnia, wieszczym uświęcona darem,
I Bóg jéj każe grać ludziom, co smutni,
A moje serce — jest sercem téj lutni.

Or-ot.



Rynek Staromiejski w Warszawie.[1])

Domy i ich historya.

B. Bok zachodni.

(Pomiędzy Zapieckiem a Dunajem).

№ 15 (119).

Ta wielka, narożna kamienica należy właściwie do Zapiecka. Tam też zapisywana jest w taryfach, choć dawne lustracye umieszczały ją w Rynku.

Nazywano tę kamienicę jeszcze w początkach tego wieku „Grottowską" od jednego z właścicieli: Grotthhoffa. Daje ona dokładne pojęcie o wielkości domów staromiejskich. Bok jéj ciągnie się przez całą długość Zapiecka aż do ulicy Piwnéj. Wszystkie tu domy mają taki rozmiar. Czoła ich są wyniosłe, lecz wązkie; na długość za to zdumiewają ogromem.

Więcéj o téj kamienicy zamierzamy podać przy opisie Zapiecka.

---

[1]) Patrz „Ateneum" 1897 r. zeszyt grudniowy.

№ 17 (41).

Ładny fryz poniżéj okien pierwszego piętra wyróżnia ten dom od innych. Wyobrażona jest na nim w płaskorzeźbie scena mitologiczna. Nagie dzieci, może amorki, podskakując i przygrywając, biegną przed kozłem, na którym siedzi malec z przepaską na oczach. Scena to pewnie z Saturnalii lub Bachanalii.

„Markiewiczowską" zwała się ongi ta posesya. Później posiadał ją Falkiewicz, rajca i szafarz miejski—ten sam, który w r. 1642 wystawił kamienicę na rogu Rynku i Krzywego Koła, ozdobioną jego herbem i cyfrą.

Stawał tu ongi gospodą wojewoda wileński, gdyż w porze sejmów cała ta strona Rynku była dla „Litwy" przeznaczona. Panowie koronni mieszkiwali *exofficio* po trzech innych stronach.

W końcu zeszłego stulecia posiadał tę kamienicę Godswiller, którego nazwisko piszą także Gudźweller.

Dopóki Rynek liczył się do „pryncypalnych" punktów miasta, mieściła się tu głośna swego czasu cukiernia pod firmą „Jenny". W pierwszych latach naszego wieku niejaki Ferdynand Ulbrycht miał téż w tym domu „fabrykę kadzideł".

№ 19 (42).

Dom ten w dziejach Warszawy sławny, o charakterze na pół urzędowym—na nieszczęście, nie dochowany w kształcie pierwotnym. Był przez długie wieki własnością miasta i nosił specyalne miano „Kamienicy Wójtowskiéj". Nazwa ta wskazywała jego przeznaczenie. Był urzędowém siedliskiem wójta i odprawianych przezeń sądów.

Wójt czyli *Advocatus* w urządzeniu dawnych miast zajmował miejsce nie tylko ważne; ale najważniejsze. Wszędzie, gdzie rządzono się prawem magdeburskiém—a tak właśnie działo się w Warszawie—wójt był głównym zarządcą i naczelnikiem miasta. Mianowany przez króla, wyobrażał poniekąd jego zastępcę. Sam on wybiérał urzędników, którzy mu w rządzeniu miastem pomagali. W ich liczbie znajdował się przedewszystkiém: „podwójci" *(vice-advocatus)*, następnie radcowie czyli rajcy *(consules)*, ławnicy *(scabini)* i przysiężni *(jurati)*.

Wójt cieszył się rozlicznemi przywilejami. Przedewszystkiém kamienica, o któréj mowa, bywała zawsze jego dożywotnią własnością. Nie płacił z niéj żadnych podatków i nie miał obowiązku ugaszczania panów sejmujących.

W stosunkach ówczesnych, wśród mieszczan przeważnie niemieckiego pochodzenia, którzy handel na pierwszy plan wysuwali, najwyższy urzędnik miasta i w téj dziedzinie zapewnił sobie szeroką swobodę.

Sprowadzany przezeń towar był wolny od cła, co odrazu zapewniało kupczącemu przewagę nad współzawodnikami. I przypuszczamy, że musiały istnieć jakieś, jeśli nie prawa, to zwyczaje, które tę swobodę wójta brały w pewne karby. Inaczéj mocen on byłby cały handel zmonopolizować w swych ręku.

Od roku 1609 wójt warszawski, narówni z innymi członkami zarządu miejskiego, począł być wybieralny. Ustąpił téż on pierwszego miejsca najstarszemu z rajców, zwanemu „prokonsulem" *(proconsul)*, a z niemiecka „burgrabią", „burmistrzem" wreszcie „prezydentem".

Wójt, po złożeniu w ręce prokonsula zwierzchniéj władzy nad miastem, zajmował się już tylko czynnościami sądowemi. W rocie przysięgi, którą składał na Ratuszu Staréj Warszawy, prócz zwykłych formuł, znajdowały się słowa:

„Przysięgam, iż na tym urzędzie wójtowskim sprawiedliwie i wiernie sądy odprawiać będę. Sprawiedliwość tak ubogiemu, jak i bogatemu, czynić i, cokolwiek do urzędu mego należéć będzie, życzliwie wykonywać. A od tego nie odstąpię dla darów, przyjacielstwa, bojaźni, gniewu lub nienawiści".

Kamienica Wójtowska była jakby oficyną Ratusza Staromiejskiego. Tu przez czas długi odbywały się sądy ławnicze; tu również w okolicznościach wyjątkowo ważnych zbierali się obywatele dla naradzenia się nad jakąś poufniejszą sprawą administracyjną lub sądową.

Zdjęła mię kiedyś ciekawość zwiedzić miejsce tyloma pamiątkami uświęcone. Chciałem zobaczyć zbliska choć mury, wśród których rozlegał się ongi wymowny głos Strubiczów, Baryczków, Burnbachów, Gizów, Dzianottich i całego patrycyatu Staréj Warszawy. Po zburzeniu Ratusza staromiejskiego, to miejsce tylko pozostało widomą pamiątką dawnéj magistratury warszawskiéj.

Powiedziano mi, że pierwsze piętro zajmuje starozakonny „kupiec". Poszedłem tam śmiało, a zaledwiem ciężkich drzwi uchylił, olśnił mię widok wielkiéj, sklepionéj komnaty, o potężnych murach i głębokiéj wnęce okiennéj. Oświécała tę wspaniałą komnatę maleńka świéczka łojowa, krzywo osadzona w olbrzymim, srebrnym świeczniku, tak wyglądającym, jakby go z ołtarza—pożyczono. Stanąłem w zadumie i rozrzewnieniu,—z których wyrwał mnie głos bardzo dostojnie wyglądającéj gospodyni domu. „Męża niéma—mówiła—ale jeżeli pan ma dobry fant, to ja mogę tego interesu załatwić"...

Sic transit gloria... Antiquae Varsoviae.

O tym tonie zgrzytliwym wspominam, gdyż, niestety, aż nadto często, pod tą lub gorszą jeszcze formą, drapie on nerwy tych, co pamiątki warszawskie z kurzu stuleci dobywają.

W roku 1647 Kamienica Wójtowska otrzymała libertacyę „od gościa, tak w sejm jako i bez sejmu, *perpetuo*". Właściwie było to tylko potwierdzenie dawnych przywilejów. Już w lustracyi z roku 1564-go czytamy o wójcie staromiejskim, że „ma przywilėj stary od książęcia mazowieckiego Janusza Starszego z wolnościami na dom albo kamienicę w mieście i na włókę roli". Powiedziano téż tam o nim: „Żadnéj posługi nie winien, tylko wojnę służy, jako inszy szlachcic".

Wspomniałem już, że Kamienica Wójtowska nie dochowała się w kształcie pierwotnym. Ta, którą dziś oglądamy, liczy dopiéro półtrzecia wieku. Wzniósł ją na gruzach dawnéj Balcer (Baltazar) Strubicz, burmistrz Staréj Warszawy za Władysława IV-go. Tamta stała się pastwą ognia. Napoczął ją wielki pożar w roku 1607, a gdy została wyreparowana, przyszedł drugi ogień, gwałtowniejszy od tamtego, i w perzynę ją obrócił.

Strubicze należeli do patrycyatu Staréj Warszawy. Pochodzili z Inflant. Jarzembski pisze o nich:

> Strubiczowie nie podlejsi,
> W mądrość, w handle odważniejsi.

Jeden z tego rodu, mianowicie Maciéj Strubicz, żyjący w połowie XVI-go w. znany jest i w piśmiennictwie. Jako uczony geograf, wydał po łacinie opis Inflant i ułożył mapę, zamieszczoną przy jedném z wydań Kromera. Prócz tego, bawiąc przy księciu Albercie Pruskim, przełożył na język polski z rozkazu księcia jego dzieło: „Księgi o rzeczach rycerskich".

W taryfach warszawskich z końca zeszłego i początku bieżącego wieku posesya ta zapisywana jest jako „kamienica miasta Warszawy". Dopiéro w taryfie z roku 1817 występuje, jako prywatny jéj właściciel, Jan Boroński. Około roku 1830 tytuł własności przechodzi na Annę Krenn.

W r. 1825 i późniéj miał tu fabrykę fortepianów Albert Rawski.

№ 21 (43).

O datę wzniesienia tego domu sporu być nie może. Posiada ona swą metrykę marmurową, w jedną ze ścian wmurowaną. Téj erekcyjnéj tablicy szukać dziś trzeba w sieni; pierwotnie zdobić musiała czoło domu.

Dowiadujemy się z pamiątkowego marmuru, że kamienica wzniesiona została przez Pawła Zembrzuskiego, burmistrza i „klucznika" Staréj Warszawy. Napis brzmi w całości jak następuje:

D. O. M.

Suo, amicorum et posteritatis usui,
Patriae ornamento
PAULUS ZEMBRUSKI Klucznik, Proconsul Varsaviensis
In avito et dulci solo majorum suorum;
proprio labore partis sumtibus
Lapideam hanc a fundamentis erexit
Anno a Christo Jesu nato MDCVIII.

Pod napisem wyobrażone jest godło, podobne do herbu Poraj. Stanowią je trzy róże.

Ten Zembrzuski cieszyć się musiał niemałym szacunkiem współobywateli, obierano go bowiem kilkakrotnie burmistrzem. Był prócz tego zawiadowcą kasy miejskiéj. Umarł w roku 1633-im 4-go listopada, mając lat 73.

Ostatniego szczegółu dowiadujemy się z jego nagrobka, znajdującego się w katedrze. Jest on tam wyobrażony w płaskorzeźbie z marmuru białego, umieszczonéj na marmurze czarnym. Klęczy przed krzyżem, ze złożonemi do modlitwy rękami.

Zdaje się, że sędziwy „klucznik" zeszedł do grobu bezpotomnie. Już w kilkanaście lat po jego śmierci, jako właściciel domu występuje Kumarski, pisarz skarbowy, a nieco późniéj Bandynelli.

Zaznaczyć trzeba, że posesya, o któréj mowa, składała się ongi z dwóch domów, większego i mniejszego, które nawet w starych lustracyach zapisywano pod dwoma oddzielnemi numerami. O domu mniejszym pisano przy końcu XVII-go w.: „*ante* Delpinowski, *ad praesens* Szelerta"; o większym: „*ante* Klucznikowski, *ad praesens* Bandynelego".

Ślad tego rozdwojenia zachował się jeszcze w pierwszéj drukowanéj taryfie z roku 1784. Wymieniono tam dwukrotnie № 43, pisząc przy pierwszym: „Kamienica Urodzonego Rogalskiego"; przy drugim: „Kamienica tegoż" [1]).

W liście, pisanym do mnie na krótko przed śmiercią przez ś. p. Teofila Fukiera, znanego kupca i obywatela, a zawierającym nieco notatek kronikarskich, czytam, że w roku 1810 Błeszyński, komisarz

---

[1]) Ta okoliczność wyjaśnia również fakt, który inaczéj byłby dziwnym, że kiedy dawniéj na téj stronie Rynku zapisywano domów 10, obecnie jest ich mniéj o jeden. I w ogólności liczba domów staromiejskich, z pozoru niewzruszona, uległa w ciągu wieków dość znacznemu zmniejszeniu. Za Zygmunta Augusta Rynek liczył 39 posesyi, obecnie ma ich tylko 35. Ubyły: Ratusz, dwie kamienice włączone do sąsiednich posesyi oraz jedna (na rogu Jezuickiéj) darowana przez Withoffa Jezuitom i wcielona do ich *Collegium*.

skarbowy, nabył ten dom od sukcesorów Szubalskiego i połączył z sąsiednią kamienicą. Wówczas to pozorny rozdział został ostatecznie usunięty, i wówczas też, jak się zdaje, marmurowa tablica z nad głównego wejścia przeniosła się do sieni.

Po Błeszyńskim kamienicę „Klucznikowską" posiadał Wien. Od Wiena nabył ją Piotr Jenny, fabrykant czekolady—jeden z trzech, których w owym czasie posiadała Warszawa. Tu miał on fabrykę, cukiernię zaś w domu sąsiednim — może dlatego, że w jego posesyi na długoletnich kontraktach siedzieli: wdowa Bereżyńska, „fryzyerka i perukarka", oraz Bułakowski, właściciel handlu win i korzeni.

Kamienica ta ma jedno jeszcze wspomnienie.

Kiedy Hugo Kołłątaj, intelektualny twórca Konstytucyi 3-go maja, po dniach świetności i tryumfów znosić musiał najsroższe urągania losu, tu, na pierwszém piętrze, u Błeszyńskiego, który był jego przyjacielem, spędzał ostatnie lata życia.

Wycierpiawszy podwójne więzienie, pozbawiony całego mienia, skołatany, a jednak nie upadły na duchu, przybył do Warszawy, aby obmyć się z błota potwarzy i choćby część majątku odzyskać. Walcząc o honor i byt, eks-podkanclerzy cierpiał wielki niedostatek, prawie nędzę... — gdy zaś zdawało się, że już uśmiecha się doń zwycięstwo, śmierć go zaskoczyła. Umarł 28-go lutego 1812 r. „Nie wzbudził on szacunku dla siebie, — pisze ks. Kurowski — do którego wielkie poświęcenia, nauka i talenta nadawały mu prawo od mieszkańców Warszawy; głosy zelżywe towarzyszyły mu do grobu i mała liczba znajomych..."

№ 23 (44).

O téj kamienicy niewiele mamy do powiedzenia. Nie uświęciło jéj żadne wspomnienie historyczne; żaden też z posiadaczów jéj nie wsławił się niczém znamienitém.

Była niegdyś własnością Urbana, „aptekarza królewskiego", i stąd nazywano ją „Urbanowską". Potém posiadał ją Korycki, o którego stanowisku i znaczeniu nic zgoła nie wiemy.

„Rewizya Gospód" z roku 1669 znalazła w niéj: izb sześć, „komnat" trzy, sklepów trzy, piwnic dwie, kuchni trzy. Stawał w niéj gospodą Marszałek Nadworny W. Ks. Litewskiego.

W XVIII-ym wieku nabył tę kamienicę „szlachetny" Andrychiewicz. Następnie przez lat blisko sto pozostawała w ręku rodziny Gudheitów.

Około roku 1840 mieściła się tu gospoda krawiecka.

№ 25 (45).

Dla wielu nową i dziwną będzie wiadomość, że przodkowie prastaréj rodziny Fukierów nie posiadali domu będącego obecnie jéj własnością, lecz dzierżyli kamienicę sąsiednią, którą tu właśnie opisujemy. Dzisiejsza kamienica Fukierowska znajduje się w ręku téj rodziny dopiéro od pierwszych lat bieżącego wieku.

Na liście posesyonatów Staréj Warszawy powtarzają się często też same nazwiska. Obywatelstwo staromiejskie było jakby jedną wielką rodziną. Członków téj rodziny, prócz związków pokrewieństwa, łączyły silniejsze nieraz od nich ogniwa wspólnych tradycyi, wspólnéj doli i niedoli. *Homo novus* bywał tu zawsze rzadkiém zjawiskiem, a zanim go dopuszczono do bratniego koła, składać musiał bardzo szczegółowe i bardzo uciążliwe legitymacye.

Domy przechodziły często z rąk do rąk, ale tranzakcye odbywały się zawsze pomiędzy swoimi. Przypuszczać można, że najczęstszym ich powodem było wyposażanie córek, choć i pieniężne kombinacye grać tu mogły pewną rolę.

Do najruchliwszych pod tym względem należeli Strubicze. Już się z tém nazwiskiem spotykaliśmy; spotkamy się z niém jeszcze kilkakrotnie.

I ten dom, zanim przeszedł na własność Fukierów, był w posiadaniu Strubicza. O Fukierach obszerniéj mówić będziemy przy opisie następnéj posesyi; tu zaznaczamy, że Fukier, który około roku 1650 był nabywcą domu, zapisywany jest w lustracyach, jako „rajca warszawski."

O całe stulecie wcześniéj posiadał ten dom Franciszek Rola. Wyjmujemy ten szczegół z kroniki domu sąsiedniego (№ 46), przy którego libertacyi w r. 1566 zapisano, że stoi „pomiędzy domami sławetnego Franciszka Roli", *inter domos famati Francisci Rolia.* Ten Rola był rajcą warszawskim. Wiemy też skądinąd o innym Roli, również rajcy. Temu ostatniemu było na imię Marcin; urząd swój sprawował on wcześniéj, za burmistrzowstwa Andrzeja Kazuba.

Kamienica ta podczas sejmu przeznaczana była „na Wielką Pieczęć W. Ks. Litewskiego". W połowie XVIII wieku znajdowało się w niéj: izb dziewięć, sklepów dwa, piwnic dwie, kuchni dwie.

Dalsze losy tego domu nie przedstawiają nic ciekawego. W końcu zeszłego wieku posiada go „sławetna" Rydlowa, potém jest własnością Magdaleny Baum.

№ 27 (46).

Dwie są tylko w Rynku Staromiejskim kamienice, których kronikę wywodzić możemy *ab urbe condita:* „Wójtowska" i „pod świętym Markiem". Rodowód wszystkich innych — o ile zechcemy oprzéć go nie na legendach, lecz na faktach — nie sięga po za epokę Zygmunta Starego.

I o tym domu, w dawnych aktach nie nazywanym inaczéj jak „Korbowska *lapidea*", wiemy, że wystawił go Grzegorz (*Gregorius*) Korb w początkach XVI-go wieku. Ten Korb, z zawodu winiarz, przybył do Polski z Wrocławia i, przyjąwszy w Warszawie obywatelstwo miejskie, na zawsze tu pozostał. Jako kupiec winny, razem z budową domu zajął się urządzeniem i napełnieniem piwnic, — których istnienie można obliczać tym sposobem blisko na cztery wieki.

Kamienica Korba stanęła niezawodnie na miejscu jednego z domów drewnianych, któremi za książąt Mazowieckich Rynek przeważnie był zabudowany. Była ona od początku piękna i ozdobna. Sobieszczański w jednym ze swych szkiców ulotnych twierdzi, że dla téj właśnie ozdobności została libertowana. Twierdzenia tego nie można w żaden sposób uznać za słuszne. Piękność i wygodne urządzenie domu czyniły go tém pożądańszym na czasową siedzibę dla jaśnie oświeconych i jaśnie wielmożnych dygnitarzów W. Księstwa Litewskiego.

Libertacya inny miała powód. Były nim zasługi właściciela położone dla miasta i dla dworu królewskiego, który w owym czasie często gościł w Warszawie.

Korbowie zajęli wydatne miejsce wśród patrycyatu Staréj Warszawy. Najtrwaléj i najpiękniéj zapisał się w kronice miasta Piotr Korb, żyjący w pierwszéj połowie XVII-go wieku i, jak się zdaje, ostatni z rodu Korbów. Piastował on kolejno urzędy: rajcy, burmistrza i wójta Staréj Warszawy. Na ostatniém stanowisku śmierć go zaskoczyła. Umarł w roku 1625 na zarazę morową.

Ten Korb, niezależnie od innych prac publicznych, zajmował się ze szczególną troskliwością wzmacnianiem murów i upiększaniem wież miejskich. Współczesne pisma urzędowe mówią o nim: „Zacnie szlachetny i chlebodawca wielki, który na szafarstwie swém ozdobił miasto wieżami cudnemi. Czujny w sprawach miejskich i pilny urzędnik ten i o wójtostwo pilnie się miastu starał."

Po Korbach, właścicielem domu był Piotr Kłos (według staréj współczesnéj pisowni Klos, albo Kłosz). W jednéj osobie obywa-

tel i kupiec, konserwował on i pomnażał skarby piwniczne odziedziczone po Korbach.

Z tym Kłosem żył w przyjaźni i zażyłości Stanisław Grochowski, poeta. Książki mu na kolędę posyłał; pisywał do niego listy rymowane; dla zmarłéj jego żony ułożył nagrobek. W żartobliwym wierszu Grochowskiego, p. t. „O przygodzie Piotrowéj”, o tym właśnie Piotrze jest mowa. Kłos był protestantem i z tego powodu nazywany był przez poetę: „*Herr Piotr*”.

W roku 1647 potwierdzono na sejmie libertacyę tego domu. Był on wówczas własnością wspominanego już kilkakrotnie Balcera Strubicza, burmistrza, który nabył ją od Kłosa.

W roku 1669 występują jako właściciele „Strubiczowscy sukcesorowie”. Dodajmy, że w rewizyi gospód w tymże roku odbytéj zapisano pod tym numerem: izb trzy, sklepów cztery, piwnic dwie, kuchni dwie. Stawał tu starosta żmudzki.

W tymże czasie wymieniani są jako właściciele: J. Richard i jego żona Maryanna, nie wiadomo jednak, czy należeli oni do sukcesorów Strubicza, czy téż byli bezpośrednimi ich następcami. Richard, z zawodu winiarz, gospodarował pilniéj jeszcze w piwnicach, niż w saméj posesyi; sławna téż była w swoim czasie jego winiarnia. Po śmierci Richarda, kamienica przechodzi na własność Stanisława Razickiego, sekretarza Jana III go Razicki był, jak się zdaje, krewnym Richarda, może jego zięciem. Umarł w r. 1687, a wdowa po nim, Zofia Razicka, sprzedała dom Dawidowi Zapio i jego małżonce Maryannie, *primo voto* Richardowéj. Od Zapiów dom przeszedł do Benedykta Wemmera, wnuka Zapiowéj. Zmiana ta nastąpiła w roku 1705. W dziesięć lat późniéj właścicielem stał się Aleksander Wemmer, który jednak zaraz w roku następnym odprzedał go komu innemu.

Nowym nabywcą był Jan Ernest Schindler, superintendent ceł J. K. Mości. Pamiątką po tym ostatnim jest znajdująca się dotąd na szczycie domu chorągiewka blaszana z literami J. E. S. i rokiem 1718. W roku tym kamienica została wyrestaurowana i zapewne — ku nienagrodzonéj szkodzie archeologii i historyi—częściowo przekształcona. Takiż sam napis znajduje się nad schodami pierwszego piętra.

W ręku Schindlera pozostawał dom do roku 1781, w którym nabył go Antoni Gaszyński, szambelan Stanisława Augusta. Ale już w roku następnym nowonabywca odprzedał go Jakóbowi Rabemu, ławnikowi Staréj Warszawy. I dopiéro z rąk tego ostatniego, który był wujem kupca Floryana Fukiera, opisywana kamienica przeszła (w roku 1810-ym) do rodziny Fukierów, — w których posiadaniu dotąd pozostaje.

Floryan Fukier (dziad obecnego właściciela domu) zajmował miejsce najwydatniejsze wśród swych staromiejskich współobywateli,— nie wahał się też Alojzy Żółkowski (ojciec) nazywać go „panem Starego Miasta”. Spotykamy to wyrażenie w wierszyku autora „Momusa”, przypisanym Fukierowi, a wydrukowanym niedawno z rękopisu przez p. J. Heppena. Zakończenie wierszyka brzmi:

Miéj familię zdrową, ładną,
Niech ci długi nie przepadną,
Bądź zawsze w dobrym humorze
Choć cię zedrą na komorze —
Zgoła bądź szczęśliw i basta,
Ty — panie Starego Miasta!

Fukierowie warszawscy wywodzą swój ród od Fuggerów niemieckich — choć podobno wywodu tego dokumentami poprzéć by nie mogli. Rodzina Fuggerów, któréj członkowie i w korony dziewięcioperłowe i w mitry przystrajali się, dotąd istnieje, na dwie główne linie rozdzielona. Dziś arystokratyczna, niegdyś była typowo mieszczańska. Głową jéj był prosty tkacz wiejski, mieszkający pod Augsburgiem. Zbogaceni potomkowie tkacza stali się finansowymi potentatami, którzy, na podobieństwo dzisiejszych Rotszyldów, trzymali w ręku, a raczéj w kieszeni, baronów, książąt, a nawet panujących. Zamek *Fuggerau* w Tyrolu oraz piękny pałac zwany *Fuggerei* w Augsburgu są prastaremi pamiątkami, nazwisko Fuggerów potomnym przekazującemi.

Według tradycyi, jedna linia Fuggerów, mniéj zamożna i mniéj w przedsięwzięciach swych szczęśliwa, przeniosła się w wieku XV-ym do Polski. Jedni Fuggerowie osiąść mieli w Krakowie, gdzie nabyli posiadłości miejskie i wiejskie i gdzie przepolszczono ich na Fukarów. Inni przenieśli się do Warszawy, przyjęli tu obywatelstwo i dali początek dotąd istniejącéj, całkowicie już polskiéj rodzinie Fukierów. Niektórzy twierdzą, że te dwie gałęzie złączyły się następnie w jedną; według innych Fukierowie warszawscy powstali bezpośrednio z przesiedlonych do nas krakowskich Fukarów.

Fukierowie, nazywani także Fokierami, trudnili się w Warszawie handlem oraz uprawiali gospodarstwo rolne na gruntach miejskich. Spotyka się niekiedy nazwiska ich w magistraturze, godności jednak burmistrza i wójta żaden nie osiągnął.

Oprócz kamienicy w Rynku, posiadali Fukierowie na przedmieściach kilka dworów i dworków. W miejscu, gdzie dziś znajduje się pałac, ogród i plac Krasińskich, istniała w początkach wieku XVII-go

kolonia Fukierów, złożona z dworu, ogrodu i zabudowań gospodarskich, zwana „Fukierowskie”, albo „Na Fukierowskiém”.

W roku 1623 umarł na zarazę morową Michał Fukier, obywatel Staréj Warszawy, właściciel kilku posesyi.

Wedle powszechnego mniemania piszących o Warszawie, Fukierowie już za Zygmunta Augusta prowadzili „bardzo znaczny handel winem węgierskiém i zamorskiém”.

W rejestrze kupców, ułożonym przez magistrat warszawski w roku 1789, wymieniono jako pierwszorzędne składy win: Kurowskiego na Krakowskiém-Przedmieściu (wcześniéj nieco mieszkał winiarz tego nazwiska na Starém Mieście), Maruszewskiego na ulicy Freta i Fukiera w Rynku Staromiejskim.

W czasach, gdy pito u nas dużo wina, zwłaszcza węgierskiego, i gdy najważniejsze sprawy prywatne i publiczne załatwiały się *inter pocula* — pod łukowém sklepieniem Fukierowskiéj winiarni, przy żółtém, drgającém świetle lamp olejnych, rzucających na ściany cienie Rembrandtowskie, odbywały się wieczorami istne sejmiki. Ileżby dał malarz dzisiejszy, gdyby mógł był choć jedno takie zebranie obejrzéć w naturze!

W każdéj epoce zmieniały się stroje i typy, ale nigdy nie przedstawiały takiéj bezbarwnéj, jałowéj, do ziewania usposabiającéj szarzyzny, jak za dni naszych.

Ksiądz Kurowski, bliski czasów Stanisława Augusta, pisze: „Tu dawniéj licznie uczęszczała szlachta na posiłek, stąd magnaci do swoich stołów brali kosztowne nektary, tu wypoczywali urzędnicy magistratu po dziennéj pracy, zapijając sądowe i domowe kłopoty szacownym darem Bacha. Tu niekiedy wysokiego urodzenia i stopni, głośni w kraju mężowie w skromném odzieniu zwiedzali skrycie zakład głośny w Polsce i w Warszawie.”

Dziś w winiarni Fukierowskiéj nie ma ani dawnych tłumów, ani dawnego gwaru. Wstrzemięźliwsi jesteśmy i cichsi. Do staréj kamienicy Korbowskiéj ciągnie dzisiejszych ludzi: albo coraz rzadsze obecnie smakoszostwo, albo dawna, zachwiana już przez naukę wiara w cudowne działanie „Bachowego soku”, albo nakoniec—ciekawość.

I dziś pomiędzy gośćmi Fukiera panuje wielka rozmaitość, — nie przedstawia się ona jednak tak malowniczo, jak ongi. Przekupka staromiejska i gruby majster rzeźnicki wstępują tu nierzadko, w godzinach rannych, na „lampkę”. Piją prędko, zwykle nie siadając nawet, i, otarłszy usta wierzchem dłoni, śpieszą do zajęcia. Czasem zasiądzie dębowe ławy liczniejsze grono rzemieślnicze: jakaś kompania majstrów, wracająca z sesyi cechowéj, jacyś członkowie bractwa, radzący o spra-

wieniu nowéj chorągwi, jakaś wreszcie rada familijna, biedząca się nad kwestyą „działów". Kiedyindziéj obsiadają stoliki ludzie sędziwi, wierzący, że wino jest „mlékiem starców". Światło lampy wiszącéj nie wystarcza im; każą sobie jeszcze świécę zapalać. Są między nimi starzy obywatele warszawscy, wysocy urzędnicy na emeryturze, kapitaliści, nigdy nie wiedzący co zrobić z pieniędzmi swemi i czasem. Ktoby rozmowy tego grona, nieraz bardzo żwawe i głośne, zapisywał, zebrałby ciekawy materyał do kroniki naszego miasta.

Co pewien czas odwiedza winiarnię jaka znakomitość. Wypija butelkę drogiego wina (a są tam butelki kosztujące po 50 i 60 rubli), kilka butelek każe sobie zapakować i odesłać, wreszcie prosi, aby pokazano piwnice. Takim gościem znakomitym bywa raz szach perski, kiedyindziéj Matejko; raz Don Carlos, król bez tronu, kiedyindziéj wielki tragik Rossi; kiedyindziéj znakomitość literacka: Pol, Syrokomla, Kaczkowski...

Dzień, w którym wstąpił w te mury Matejko, był świętém dla zakładu i rodziny. Mistrza, który wczesnym rankiem wybrał się na zwiedzenie Starego Miasta, napotkał wypadkiem sędziwy Fukier, również ranny ptaszek. Poznawszy, pozdrowił, w objęcia chwycił i do siebie zaprosił. Niebawem Matejko znalazł się przy stole, w otoczeniu całéj rodziny kupca. Na stole zjawiła się butla dziwnego kształtu, grzybami obrosła, z przywieszoną do szyjki metryką pergaminową, stwierdzającą, iż z wieku XVI-go pochodzi. W butli było wino „hetmańskie", największa składów Fukierowskich osobliwość. Potém artysta zaproszony został do obejrzenia piwnic — rzeczy, godnéj zaprawdę widzenia.

Piwnice Fukierowskie, dziś bardzo obszerne, dawniéj nie były takiemi. Właściciel zmuszony był przez czas długi trzymać nadmiar win po za domem. Dopiéro w roku 1850, gdy dom sąsiedni został nabyty przez jego wspólnika, postanowiono piwnice obu posesyi połączyć. Przy przebijaniu dzielącego je muru natrafiono na dwie niespodzianki: na ukryte w murze dukaty oraz na futrynę, wskazującą, że dawniéj już istniało przejście z jednéj piwnicy do drugiéj. Ślad takiego połączenia znaleziono téż w murze, dzielącym tę drugą posesyę od następnéj.

Ostatnia okoliczność nasuwa domysł, że przed wiekami wszystkie piwnice domów staromiejskich łączyły się ze sobą. Byłoby to łatwe do zrozumienia w epoce, gdy Warszawa, opasana murem i na małéj przestrzeni skupiona, stanowiła rodzaj twierdzy, narażonéj na częste napady. W danéj chwili każda kamienica stawać się tam mogła redutą, a jako reduta, posiadać musiała tajemne wyjście dla oblężonych.

Posuwając domysł daléj, przypuszczać można istnienie większych, niezależnych od piwnic podziemi, w których zagrożona ludność kryła mienie swe i sama szukała ukrycia. Podziemia te kończyć się mogły korytarzami podziemnemi, przez które w potrzebie mieszkańcy wyjść mogli z oblężonego miasta i szukać schronienia w gęstych borach, otaczających Warszawę.

Przy sposobności dodajmy, że w kilku punktach Starego Miasta natrafiono na niewątpliwy dowód istnienia piwnic o dwóch kondygnacyach: wyższéj i niższéj. To również dowodzi, że miasto, ściśnione murem i nie mogące powiększać się wszerz, rozrastało się na wysokość i na głębokość.

W sieni kamienicy Fukierowskiéj zawieszony jest u stropu mały, misternie wyrobiony z drzewa okręcik. Jest to wyrób gdański, służył zaś ongi za godło kupieckie. Na Giełdzie w Gdańsku dużo takich okręcików oglądać można.

Okręcik Fukierowski pamięta jeszcze niezawodnie czasy Jerzego Korba, — który może własną zawiesil go tu ręką. Oprócz okręciku, zdobi sień figura Dzieciątka Jezus, siedzącego na baranku, oraz łeb jeleni, w jedną ze ścian wmurowany. Dwóch ostatnich godeł historyą domu wytłómaczyć nie można. Może przeniesione tu zostały skądinąd.

Godne są jeszcze uwagi: stare żelazne ganki i balustrady schodowe oraz w saméj winiarni dwa pyszne szkice *à deux crayons* Aleksandra Orłowskiego, z czasów poprzedzających jego wyjazd do Petersburga. Może młody artysta, lubiący hulać, a żyjący podówczas w wielkim niedostatku, zapłacił niemi kupcowi za wypite z towarzyszami wino?...

№ 29 (47).

Mikołaj Giza, sekretarz królewski oraz starszy ławnik, *archiscabinus*, S. Warszawy, był posiadaczem téj kamienicy w początkach wieku XVII-go. On ją téż może i wymurował, dom bowiem Franciszka Roli, który tu stał za Zygmunta Augusta, był prawdopodobnie drewniany. O tym ostatnim akta współczesne mówią wyraźnie *domus*, a nie *lapidea*.

Mikołaj Giza umarł dość młodo; potém, przez lat blisko dwadzieścia dom pozostawał w ręku wdowy po nim. Rewizya gospód w „kamienicy pani Giziney" zapisuje: izdeb dziewięć z przegrodami, komorę, salę, sklepów dwa, piwnic dwie, kuchni trzy, „kromnic" dwie. Stawał tu Podkanclerzy Litewski.

W wieku XVIII-ym posiada tę kamienicę Nowicki; potém jest własnością jego sukcesorów; wreszcie przez długie lata pozostaje w ręku Filipeckich.

W roku 1793-im, po śmierci księdza Łuskiny, do tego domu została przeniesiona redakcya „Gazety Warszawskiej” Mieściła się ona jednak tu krótko, bo tylko od 1 października do 31 grudnia.

№ 31 (48).

Dość rzucić okiem na tę wielką, ciężką, osadzistą, potężnemi skarpami umocnioną budowlę, aby przekonać się, że co najmniéj pięć stuleci na barkach dźwiga. W istocie, jest to najstarszy z warszawskich zabytków budownictwa. Zwykłe u nas barbarzyństwo w rzeczach estetyki i starożytnictwa odarło częściowo tę budowlę z jéj wspaniałéj szaty archaicznéj, i w dzisiejszym jednak kształcie wyróżnia się ona uderzająco od wszystkich, młodszych od siebie, lub niezdarnie odmłodzonych kamienic.

Nazwa „kamienicy pod Świętym Markiem”, jaką przez czas długi domowi temu dawano, jest znacznie młodsza od niego samego. Sięga ona zaledwie połowy XVII-go wieku, gdy Włoch, rodem z Wenecyi, stawszy się właścicielem domu, herb swego miasta na jego czole umieścił.

Za rzecz pewną można uważać, że ta kamienica stoi od początków wieku XIV-go. Wystawili ją książęta Mazowieccy na rezydencyę dla siebie i na dwór gościnny dla przyjaciół.

Za rządów Janusza Starszego, ożenionego z Danutą, córką W. Ks. Litewskiego Kiejstuta, ten ostatni, uchodząc z niewoli krzyżackiéj, tu przez czas pewien przemieszkiwał. Było to w roku 1361-ym. Syn Kiejstuta, Witołd, w téj kamienicy bawił około roku 1380. Nie doznawszy godnego siebie przyjęcia, odjechał do Płocka do księcia Ziemowita, nad którego przełożył znów Krzyżaków, udawszy się pod ich opiekę do Malborga.

Zdaje się, że wspominany w dziejach „Ostatniéj Księżnéj Mazowieckiéj”, tak zajmująco opowiedzianych przez A. Pawińskiego, „Dom czyli Zamek książęcy mniejszy, zwany Ogródkiem” — jest tą właśnie kamienicą. Ów „Ogródek”, po przyłączeniu Mazowsza do Korony, oddany został przez Zygmunta Starego księżnie Annie na „wolne używanie”. Po zamążpójściu Anny, król, stosownie do warunku z góry postawionego, zamierzał odebrać udzielone jéj „uczciwe opatrzenie panieńskie” i, między innemi, usunąć ją z domu książęcego. Doszło

wówczas do sceny gwałtownéj, w któréj występował nawet woźny z pachołkami. Ta scena zakończyła się tryumfem księżnéj, za którą ujęli się mieszczanie warszawscy; ostateczne jednak zwycięstwo pozostało, gdyż pozostać musiało, przy królu.

Za przypuszczeniem naszém przemawia i ta okoliczność, że ówczesny Zamek warszawski był drewniany, szczupły, i król, obejmując go wraz z księstwem w posiadanie, dzielićby się nim nie mógł. Przytém przemieszkiwanie rodziny książęcéj po za obrębem Zamku było we zwyczaju — co stwierdza fakt, że książę Janusz, rodzony brat Anny, zakończył życie w przyległéj Zamkowi *Mansionarii*, to jest kamienicy księży Mansyonarzy od Ś-go Jana. Zaznaczmy mimochodem, że Pawiński mylnie nazywa tych ostatnich „Misyonarzami".

Dawna kamienica książąt Mazowieckich (*Lapidea Ducum Masoviae*), stawszy się własnością królewską, przeznaczona została na pomieszczenie znaczniejszych urzędników. Odnowiono ją téż w tym czasie i odpowiednio przerobiono. Upamiętniony jest ten fakt w położonéj nad wejściem dacie: *1535 r.*

Bok kamienicy, odsłoniony na całą długość od strony Dunaja, a ciągnący się aż do Piwnéj, okazuje, jak wielka i krzepka jest ta budowla. Wystające skarpy, głębokie wnęki przy drzwiach, wiodących wprost z ulicy do piwnic (sklepów), nieregularnie rozmieszczone różnéj wielkości okna, wreszcie kryty murowany ganek, wygodny do ostrzeliwania napastników—dają całemu domowi pozór niby twierdzy.

Wspomniany ganek, według twierdzenia niektórych dziejopisów Warszawy, był niegdyś niezbędnym dodatkiem wszystkich domów na rożnych, stojących wprost bram miejskich. Musi być w tém twierdzeniu pewna niedokładność, bo najpierw, na dwóch tylko domach ganki takie (zwane inaczéj „łożami") dochowały się, na innych zaś śladu ich nie ma, powtóre drugi z istniejących ganków, na rogu Celnéj, obrócony jest nie wprost, lecz bokiem do miejsca dawnéj bramy.

Róg kamienicy, którą opisujemy, ozdobiony jest kamienną wypukło-rzeźbą, która przedstawia świętą Annę, trzymającą Pana Jezusa i Najświętszą Panienkę. Styl téj rzeźby wskazuje średniowieczne jéj pochodzenie. Skąd jednak tu się wzięła? Przypuszczać można (a na przypuszczenia w pierwotnéj historyi Warszawy jest niestety aż nazbyt wiele miejsca), że umieszczono ją na pamiątkę i dla uczczenia jakiéjś Anny, księżnéj Mazowieckiéj.

Księżen Mazowieckich tego imienia było pięć: Anna księżniczka Oleśnicka, żona Władysława I-go, Anna Hunowska, wojewodzianka Bełzka, żona Bolesława IV-go, Anna Krakowianka i Anna Radziwiłłówna, obie małżonki Konrada III-go, wreszcie Anna, ostatnia księżna Ma-

zowiecka, o któréj wyżéj wspomniano. Wielka starożytność rzeźby czyni prawdopodobném przypuszczenie tylko co do pierwszéj z tych pięciu.

Lud warszawski na swój sposób tę rzeźbę pobożną tłómaczy. Widzi on w niéj poprostu: matkę z dwojgiem bliźniąt i na téj zasadzie dom cały nazywa kamienicą „pod Bliźniętami". Z właściwą téż sobie naiwnością, nie licząc się z warunkami miejsca i czasu, przyczepia do tego domu i do tych rzekomych „bliźniąt" legendę a raczéj bajkę o Warze i Sawie.

War i Sawa mieli być dziećmi ubogiego leśnika, mieszkającego w tém miejscu w czasach, gdy wielka puszcza rozciągała się na miejscu późniejszéj Warszawy. Któryś z królów, zbłądziwszy na polowaniu, miał w domku leśnika znaleźć pożądane schronisko, a przez wdzięczność zająć się jego dziećmi. Za otrzymane od króla pieniądze zbudowano piękny dwór, gdy zaś obstąpiły go inne dwory i dworki, powstała stąd osada, która następnie dała początek Warszawie. Jest to, dość ładne, jako bajka; wątka jednak historycznego napróżno-by kto w tém szukał.

Inna bajka, późniejszego pochodzenia, nazywała tę kamienicę dawnym kościołem Aryanów. Źródłem jéj były niezawodnie umieszczone na domu wyobrażenia świętych. Zbił tę bajkę jeszcze ks. Kurowski. Przypomniał on tym, co ją powtarzali: najpierw, że u Aryanów żadne wyobrażenia religijne, tak w rzeźbie jak w obrazach, nie były używane; powtóre, że wyraźne w tym względzie postanowienie książąt Mazowieckich zabraniało, tak w Warszawie jak w całém księstwie, wszelkich sekt religijnych.

I jedna jeszcze bajka wylęgła się na tym podatnym do baśni gruncie. Jest ona zupełnie innego rodzaju; należy do kategoryi bajek ciężko-uczonych, które często do dzieł poważnych przechodzą, a niekiedy w nich i pozostają. Komuś wydało się, że rzeźba przedstawia *Babę*, bóstwo Słowiańskie uosabiające matkę całéj przyrody. Doszli nawet, że jest to „Baba Złota", czyli letnia — przeciwstawienie „Baby Żelaznéj", czyli zimowéj, nazywanéj u nas „Babą-Jędzą". Twórcy téj bajki nie wzięli pod uwagę, że cały charakter rzeźby nie ma w sobie nic pogańskiego, i że kamienica czasów pogańskich sięgać nie może.

Nie bajką, ale błędem jest wiadomość, że w kamienicy téj, za Zygmunta III-go, mieściła się *pierwsza* mennica warszawska. Zagórski w „Monetach Dawnéj Polski", opisując pod Nr. 215 szeląg z roku 1622 z głoskami S. R., mówi: „Szelągi tego stempla pochodzą z mennicy warszawskiéj, po raz pierwszy roku 1622, dla wybijania w niéj drobniejszéj monety, otworzonéj, w któréj był mincarzem Jan Schmidt.

Według podań, istnieć miała w Rynku Starego Miasta, w kamienicy narożnéj, dziś liczbą 48 oznaczonéj". Wiadomość powyższą prawie dosłownie powtarza F. M. Sobieszczański. Od niego przeszła ona do wszystkich niemal piszących o Warszawie. Tymczasem mennica szelążna, czyli do wybijania szelągów, otwarta została w Warszawie po raz pierwszy zupełnie gdzieindziéj, a mianowicie: na rogu Krakowskiego Przedmieścia i ulicy „Gnojowéj" (dziś Bednarskiéj). Pomieścił ją tam Zygmunt III-ci w domu, a raczéj pałacu, ofiarowanym sobie przez sukcesorów Andrzeja Boboli. Zasługa tego odkrycia należy się Weinertowi, który jeszcze przed wydaniem swych „Starożytności" umieścił o tém wiadomość w „Bibliotece Warszawskiéj".

Cokolwiekbądź mennica w owém miejscu długo nie istniała. Już w roku 1632, zaraz po śmierci Zygmunta III-go, królewicz Władysław, za zgodą rodzeństwa, z tego dworu czy pałacu uczynił darowiznę Adamowi Kazanowskiemu. W akcie darowizny powiedziano, że gmach ten „przez pewien przeciąg czasu do użytku bicia monety był urządzony". Forma tego zdania wskazuje, że już w owym czasie fakt należał do przeszłości. Być może, iż następnie mennica na Stare Miasto została przeniesiona—ale nie było to już pierwsze jéj pomieszczenie.

Wspomniałem wyżéj o Wenecyaninie, który dawną kamienicę książąt Mazowieckich herbem swego miasta przyozdobił. Wenecyaninem tym był Tytus Liwiusz Boratini, zarządca i dzierżawca mennicy za Jana Kazimierza. On to i Andrzéj Tympf, dzierżawca mennicy poznańskiéj, zadali najcięższy cios finansom Rzeczypospolitéj. Obu ich nazwiska utrwaliły się w numizmatyce naszéj. „Boratynkami" nazywano szelągi miedziane, bite od roku 1659 do 1666, które nie miały ani połowy wartości nominalnéj; „tymfami" — złotówki, czyli trzydziestogroszówki, które w rzeczywistości nie były warte więcéj, niż groszy 13. Gdy nadużycie stało się zbyt rażącém, przezorni Gdańszczanie osadzili Tympfa w więzieniu, skąd uwolniony, wyniósł się z całą rodziną zagranicę. Boratini, z prawdziwie włoską przebiegłością, potrafił nie tylko wykręcić się od kary, ale jeszcze dojść do znaczenia i dostojeństw. Na sejmie r. 1652 zaprzysięgał on swą niewinność — a jednak Lengnich w „Historyi Prus" twierdzi z dowodami w ręku, że oszukał skarb Rzeczypospolitéj na 3 miliony złotych.

Wracając do naszego przedmiotu, z zupełną pewnością utrzymywać możemy, że „boratynki" nie były wybijane w kamienicy Boratini'ego. Za Jana Kazimierza mennica warszawska mieściła się na przeciwnym krańcu miasta: w części Zamku Ujazdowskiego.

Możliwe jest jednak, że w swéj kamienicy staromiejskiéj wybijał Boratini monetę srebrną, ale dopiéro od r. 1667. W roku tym milio-

nowy już naówczas „arendarz" finansów Rzeczypospolitéj, „wygodziwszy" téj ostatniéj „znaczną sumą *in vim* arendy", otrzymał pozwolenie na otwarcie mennicy szóstakowéj, która była przez czas pewien zamknięta. Podskarbi W. Koronny został zobowiązany, aby o ilości wybitych szóstaków „dostatecznie Rzeczpospolitą informował"; wyznaczono téż komisarzów, którzy mieli wskazywać wzór monety i realną jéj wartość ustanawiać. Po abdykacyi króla, mennica warszawska, pospołu ze wszystkiemi mennicami krajowemi, została zamknięta. Skarbowi Koronnemu i Litewskiemu zlecono, aby obmyśliły sposoby poprawienia monety i lepszego urządzenia mennic na przyszłość „*sine praeiudicio* Urodzonego Boratiniego". Za Michała Korybuta, mennica warszawska wcale czynna nie była. Niewielką ilość monet bito jedynie w Bydgoszczy, Gdańsku, Toruniu i Elblągu.

Boratini był wierzycielem Rzeczypospolitéj na znaczną sumę. Aby rachunki z nim wyrównać, oddano mu administracyę mennicy krakowskiéj, z któréj dochód szedł wyłącznie na pokrycie należności, przyznanych mu na sejmie 1667 r. Stąd to aż do zamknięcia wszystkich mennic krajowych, to jest do roku 1685, na monetach koronnych Jana III zjawiają się nieustannie fatalne głoski T. L. B.

Wynika z powyższego, że w kamienicy, którą opisujemy, mennica istniała przez czas bardzo krótki.

Aby skończyć z Boratinim, dodajmy, że rodzina jego jeszcze w początkach XVI-go wieku, prawdopodobnie razem z Boną, przybyła do Polski. Tytus Liwiusz Boratini otrzymał *indygenat* na sejmie 1658 r. Mianowano go téż starostą Osieckim.

„Arendarz" mennic był nietylko znakomitym — po dzisiejszemu wyrażając się — finansistą, ale też i znacznéj miary uczonym. Jako uczony, wyrobił sobie uznanie i stanowisko, które następnie, jako finansista, wyzyskał. Oprócz rozprawy: „Informacya o mennicy szelągowéy" (*folio*, k. 16, 6 m., 1663), którą przedrukował Wiszniewski w „Historyi Literatury", Boratini wydrukował w Wilnie (1675 r.) po włosku, traktat z zakresu fizyki: „*Misura universale*", wspomniany w dziele Ciampi'ego, traktującém o Polakach, wsławionych we Włoszech, i Włochach w Polsce. Ostatnią książkę Boratiniego, znaną dotąd w jednym tylko egzemplarzu, opisał szczegółowo T. Żebrowski w warszawskim „Przeglądzie bibliograficzno-archeologicznym" (t. I, str. 402) [1]).

Wreszcie wspomnieć trzeba i o wiadomości, podanéj przez Sobie-

---

[1]) W r. 1897 Krakowska Akademia Umiejętności ogłosiła tę pracę w przekładzie polskim, pod tyt. „T. L. Buratini'ego Miara Powszechna", 8-o, str. VI i 32 z 4-ma tablicami rysunków. (*Przyp. Red.*).

szczańskiego, który pisze, że Boratini „wypracował projekt założenia akademii (?) na jednéj z kęp wiślanych pod Warszawą.” Może to była akademia... rybołówstwa?

Aż do roku 1832, jako pamiątka po Boratinim, ozdabiało dom godło Wenecyi: święty Marek klęczący, z chorągwią w ręku, przed nim lew z otwartą księgą, noszącą napis: *Pax tibi Marce Evangelista meus*.

Innym jeszcze, starożytniejszym od poprzedniego znakiem pyszniła się ta kamienica do owego czasu. Było nim wyobrażenie „Pogoni”.

Wszystkie te szacowne pamiątki, istne relikwie Warszawy, we wspomnianym roku usunął, zniszczył i zatarł niejaki imćpan Franciszek Tietz, nowonabywca domu. Jako człek dbały o to, aby jego „nieruchomość” pięknie się przedstawiała, nie poprzestał on na tém, ale jeszcze całą attykę domu kazał, swoim smakiem, przerobić. Ten pan Tietz nie jest u nas wyjątkiem; jest może raczéj—typem.

Rzecz dziwna: dlaczego ani w Lustracyi z roku 1655, ani w późniejszéj o lat czternaście Rewizyi, przy kamienicy téj nie wymieniono nazwiska Boratini'ego? W pierwszéj wskazana jest jako właścicielka: Mincerowa, w drugiéj napisano: „kamienica narożna *ante* Szalapskiego, *ad praesens* Mincerowska”. Możnaby na téj podstawie zbudować przypuszczenie, że Boratini albo wcale tego domu nie posiadał, albo posiadał go już po roku 1669. Oba fakta do wiary nie podobne. Możnaby jeszcze przypuszczać jedno, że dom należał do Boratini'ego pomiędzy datą Lustracyi i Rewizyi — czemuż jednak w takim razie nie napisano w téj ostatniéj: *ante* Boratini'ego? Odkładając na późniéj dochodzenie téj zagadki, zajmijmy się tymczasem osobą wymienionéj w obu dokumentach Mincerowéj. Nazwisko to w dziejach kamienicy ważne, gdyż nazywano ją przez czas długi „Mincerowską”.

Mincerowa, właściwie Mintzerowa, była wdową po Dawidzie Mintzerze, sekretarzu królewskim, który umarł w r. 1652, mając lat 40. Żona, Maryanna z domu Horlemus, znacznie męża przeżyła. W katedrze znajduje się tablica marmurowa, szeroko wysławiająca zasługi publiczne Dawida Mintzera. Umieściła ją tam wdowa wraz z synem Felicyanem.

Sobieszczański twierdzi, że „dom, przez wiele lat nazywany kamienicą pod świętym Markiem, za Sasów mianowany został od nowego właściciela Mincerowskim”. Jeżeli zasłużony historyk Warszawy nie myli się co do czasu, znaczyłoby to, że jeszcze w połowie zeszłego wieku dom pozostawał w ręku potomków Dawida Mintzera, lub też, że do jednego z nich z cudzych rąk powrócił.

Za Stanisława Augusta właścicielem kamienicy był Lobert, prezydent Staréj Warszawy. W tym czasie mieściła się tu głośna „traktyjernia" francuska Quellusa, w któréj na obiadach i kolacyach bywało „wielu panów orderowych z zaproszoną kompaniją, z chwałą i estymacyją dla tegoż kuchmistrza, że w wybornych sosach i smakach osobliwszych potrawy daje, i do tego w takiéj okazałości i paradzie stoły trzyma, jak i panowie zwykli miéć stoły swoje". Ostatnich szczegółów dowiadujemy się z ogłoszeń o téj jadalni, umieszczanych w „Gazecie Warszawskiéj". Dodano téż tam, że panowie mogą z zupełném zaufaniem udawać się do traktyerni „naprzeciwko Ratusza", gdyż „pan Quellus nie przyjmuje, chyba tylko dystyngowane osoby".

Po Lobercie, właścicielami kamienicy byli: Morytz, następnie Wnorowski.

Niemałą osobliwością tego domu są piwnice podwójne, to jest umieszczone jedne nad drugiemi. Kształt ich i ślady dawnego urządzenia wskazują wyraźnie, że służyły ongi za więzienie. Okoliczność ta czyni tém prawdopodobniejszym pogląd mój, że ta kamienica była „Ogródkiem" książąt Mazowieckich. „Ogródek" nie znaczy w tym razie nic innego, jak g r ó d e k, czyli mały g r ó d; grody zaś jednoznaczne były z zamkami, a każdy z pierwotnych zamków posiadał podziemia, w których jeńców trzymano.

Jako fakt drobny, ale w stosunkach warszawskich niezwykły, zapiszmy, że około roku 1820 mieścił się tu sklep bławatny, pod firmą: Lewi Beer Bernstein. Było to może pierwsze wtargnięcie żywiołu żydowskiego do téj dzielnicy—która dziś gęsto już jest nim zaludniona.



MECHANIKA SPOŁECZNA.

Socyologia znajduje się dotychczas, właściwie mówiąc, w stanie jak najbardziéj opłakanym, głównie dla braku metody, któraby pozwoliła objąć proces społeczny, jako całość. Każdy z autorów, pracujących w téj dziedzinie, chwyta się jakiegoś jednego czynnika, który ogłasza za główny i panujący w rozwoju społecznym — geograficzny, ekonomiczny, umysłowy, moralny, prawny, polityczny, naśladownictwo, walkę ras i t. d. i t. d.

To pozwala każdemu wystawić swój odrębny system — zbudowano ich dziesiątki. Socyologowie jednak nie chcą wiedzieć, iż te „główne czynniki" bynajmniéj się nawzajem nie wykluczają, iż nie są w sprzeczności, lecz i owszém tworzą tylko różne strony tegoż samego procesu. Wszystkie systemy, zbudowane w ten sposób, przypominają te mapy geograficzne, które mnichowie ruscy rysowali w XV wieku. Miasto Moskwa zajmowało na nich połowę obszaru, przedstawiającego Europę, z zaznaczeniem Kremlu i głównych cerkwi, reszta Rosyi — ćwierć mapy, a pozostałą ćwierć — Europa.

Główną przyczyną takiego stanu rzeczy jest to, iż w socyologii dotychczas panuje metoda badań, że tak powiem, literacka; co się tyczy naukowéj, któraby objęła proces społeczny, jako całość, z zachowaniem proporcyonalności w rolach odrębnych jego części, to o tém jeszcze mowy dotychczas prawie nie było. Za jedyną próbę tego rodzaju można byłoby uważać analogie biologiczne, utożsamiające społeczeństwo z organizmem, gdyby metoda ta nie była w samej swéj podstawie

błędną. Zjawiska biologiczne i socyologiczne, lubo pochodzą z tegoż samego pnia rozwojowego, na tyle jednak się różnią i przedstawiają cechy tak odrębne, iż nawet analogie częściowe i względne, upatrywane przez Spencera, Lilienfelda i Nowikowa, muszą być uważane za powierzchowne i pozbawione trwalszego gruntu. A cóż dopiéro mówić o utożsamieniu zupełném, jakie nam dają Schaeffle, Espinas lub Worms, poszukujący w społeczeństwie: serca, żołądka, nerek i Bóg wié nie czego. Po odrzuceniu téj metody, pozostaje tylko metoda matematyczna i mechaniczna, a to dla powodów następujących: wszystkie zjawiska, jakiekolwiekbądź, podlegają ogólnym prawom mechaniki, zarówno zjawiska nieorganiczne, organiczne, psychiczne, jak i społeczne. I nie widzimy absolutnie żadnéj możności zastosowania do tych ostatnich metody naukowéj, po za sprowadzeniem ich do ogólnych praw mechaniki.

Pod tym względem Giddings [1]) slusznie powiada: „Analiza oderwana, przedsięwzięta przez Cournota, Jevonsa, Walrasa a kontynuowana przez ekonomistów austryackich i amerykańskich, pokazała, iż zjawiska motywu i wyboru ekonomicznego, a więc czynności i stosunki na nich oparte, mogą być określone nie tylko naukowo, ale i matematycznie. Jeżeli socyologia chce dopiąć ścisłości naukowéj, powinna wziąć za wzór ten przykład przekonywający metody ścisłéj. Należy przyznać, iż większa część prac socyologicznych nie może się obronić od zarzutu tych, którzy zaprzeczają możności istnienia nauki ogólnéj o społeczeństwie". Socyologia sprawia takie wrażenie — zdaniem tego autora — jakoby nie umiała przedstawić społeczeństwa inaczéj, jeno wyliczając jego części i że nie jest w stanie wykazać ich jedności wewnętrznéj. Krytyki te wydają się nam zupełnie usprawiedliwionemi i w pracy niniejszéj chcielibyśmy pokazać, w jaki sposób socyologia mogłaby pójść w ślady przekonywającego przykładu, jaki nam daje ekonomia polityczna czysta.

I. Teorya równowagi ekonomicznéj i społecznéj.

Jestto aksyomat, iż siłami głównemi, które kierują jednostką żyjącą w społeczeństwie są egoizm i altruizm. Jeżeli będziemy rozpatrywać jednostki, jako molekuły agregatu społecznego, to dwie te siły mogą być rozpatrywane, jako grające tęż samą rolę, co przyciąganie i odpychanie w jakimkolwiekbądź agregacie materyalnym lub

---

[1]) Giddings. Principes de Sociologie. Paris 1897.

kosmicznym. O tych ostatnich Spencer powiada: „Nie można pojąć materyi inaczéj, jak objawiającą się siłę przyciągania i odpychania... Zmuszeni jesteśmy pojmować wszystkie przedmioty, jako złożone z części, które się przyciągają i odpychają nawzajem, gdyż takiém jest doświadczenie nasze względem wszelkich przedmiotów.[1])

Egoizm i altruizm są dwoma przejawami elementarnemi energii biologicznéj, jak przyciąganie i odpychanie — energii kosmicznéj. Energia biologiczna wyraża zdolność do wykonania pracy jakiéjkolwiek, fizycznéj (muskularnéj), lnb umysłowéj (nerwowéj); posiada ona równoznaczniki mechaniczne, które nauka kiedyś ściśle określi (które jednak dla mechaniki społecznéj czystéj nie są nam potrzebne); jest ona produktem ogólnéj energii kosmicznéj.

Energia biologiczna kierowana jest w każdéj jednostce i w każdym agregacie społecznym dążnością do zdobycia *maximum* przyjemności czyli szczęścia możliwego. Siła, z jaką każda jednostka dąży do przyjemności, lub użyteczności osobistéj, podmiotowo pojętéj, może być uważana za wyraz jéj energii biologicznéj. Prof. Edgeworth słusznie powiada w tym względzie: „Przyjemność wzniosła się w biegu ewolucyi ponad inne energie człowieka, ponad energię członków, ponad energię nieświadomą serca, a nawet ponad energię świadomą mózgu; określa ona ich działalność, jak sprężyna delikatna, gotowa każdéj chwili wywołać wybuch miny.” Przyjemność, ta siła najwyższa, kieruje wszystkiemi organami spekulacyjnemi i czynnemi ciała ludzkiego, które Edgeworth przedstawia, jako wóz kierowany przez woźnicę. System takich wozów i woźniców stanowi przedmiot nauki społecznéj. Przyciąganie pomiędzy siłami kierującemi (woźnicami), kolizye między wozami przedstawiają w całéj ich złożoności pewną prawidłowość. „Pojęcie człowieka, jako maszyny kierowanéj przez przyjemność, *Man as a pleasure machine*, może usprawiedliwić i ułatwić użycie terminów mechanicznych w nauce społecznéj”.[2])

Można jednak zarzucić, iż nauka ta nie posiada pierwszéj podstawy rachunku, a mianowicie jednostki miary. Jednostka ta istnieje jednak przynajmniéj *in abstracto*. Przyjemność i przykrość mają dwa wymiary: natężenie i czas. Dla rachunku moralnego należy jednak obrać trzeci wymiar, gdyż należy porównywać przyjemność jednéj osoby z przyjemnością drugiéj, by obliczyć przyjemność średnią całéj

---

[1]) Spencer: *Premiers Principes* p. 240. Zauważmy, że jeżeli przyciąganie i odpychanie kosmiczne jest hipotezą, egoizm i altruizm są danemi doświadczenia bezpośredniego. Pod tym względem mechanika społeczua znajduje się w położeniu dogodniejszém, niż mechanika niebieska.

[2]) Edgeworth: *Mathematical Psychics* p. 25.

grupy. Jestto postulat sprawiedliwości i wynik ewolucyi społecznéj. Należy przyjąć, iż przyrost przyjemności, odczutéj przez jedną osobę, równy jest przyrostowi przyjemności odczuwanéj przez inną[1]).

Sprowadziwszy rozmaite przyjemności różnych osób do pewnéj średniéj przyjemności — co jest w teoryi zupełnie możliwe — łatwo obliczyć ilość przyjemności, odczutéj przez pewną grupę społeczną. Praktycznie rachunek ten przedstawia jeszcze trudności nieprzezwyciężone, ale dla mechaniki czystéj jego praktyczne wykonanie jest zupełnie zbyteczne. „Jesteśmy w stanie—słusznie powiada Edgeworth—zauważyć, iż tu istnieje więcéj, tam mniéj przyjemności, szczęścia, a to wystarcza". Mamy więc pewne dane o przyjemności, jakkolwiek nader nieokréślone: z temi danemi można jednak rozumować naukowo w socyologii, w sposób abstrakcyjny i nie numeryczny. Wszak matematyka ma do czynienia nie tylko z funkcyami określonemi, ale i z nieokréślonemi.

Z takich właśnie materyałów zbudowany został system zupełny ekonomii czystéj. Zobaczmy, w jaki sposób ona postępuje.

Stara się okréślić warunki równowagi układu ekonomicznego, złożonego z jednostek, porównywając go z układem materyalnym, gdzie molekuły związane są siłami przyciągania i odpychania. Każdą jednostką kieruje dążność do *maximum* możliwéj użyteczności podmiotowéj, a współzawodnictwo jednostek wystarcza dla okréślenia ceny dóbr (materyalnych i niemateryalnych) a także ich podziału, sposobem automatycznym.

Podział ten może się odbyć w sposób dwojaki. Jeżeli siły przyciągania, czyli altruizmu, przeważają, podział — zwany Gossenowskim — będzie miał na celu zaspokojenie wszystkich potrzeb w sposób jednakowy, inaczéj mówiąc, po podziale — natężenia ostatnich potrzeb zaspokojonych będą u wszystkich jednostek jednakowe względem wszelkich dóbr. Podział ten jest komunistyczny. Może on się odbyć albo grą automatyczną sił egoizmu i altruizmu z przewagą tych ostatnich (jak to w rodzinie widzimy), albo téż w drodze przymusu, np.

---

[1]) Żądanie to Edgewortha — jakkolwiek słuszne — nie wydaje nam się, żeby było niezbędną podstawą mechaniki społecznéj. Wychodząc z założenia, iż tylko taż sama osoba może porównywać różne swe potrzeby, można zbudować system równań równowagi społecznéj, gdyż i w takim razie można odnaleźć stopy przemiany energii (ceny ekonomiczne?), które dla wszystkich jednostek są wspólne. (Por. nasz „System ekonomii matem." Ateneum, Grudzień 1897). W ten właśnie sposób postępujemy w Dodatku do tej pracy, zawierającym „Równania równowagi społecznéj".

wskutek interwencyi władzy państwowéj. Jeżeli natomiast przewaga znajduje się po stronie sił egoizmu, podział innego rodzaju — zwany podziałem Jevonsa[1]) — się ustanowi. Dobra rozpadną się śród osób walczących na części proporcyonalne do ich energii biologicznych lub według natężenia ostatnich ich żądz, które po podziale nie będą już równe. Jestto podział indywidualistyczny. Ale w jednym i drugim wypadku, jeżeli współzawodnictwo jednostek jest wolne, w rezultacie otrzymaném zostanie *maximum* użyteczności podmiotowéj całego agregatu w chwili ustanowienia równowagi, jakie wogóle przy danych okolicznościach otrzymane być może. Każda z równowag daje *maximum* użyteczności, możliwe przy przewadze bądź sił egoizmu, bądź sił altruizmu. Ale obiektywnie *maxima* te mogą być różne, wyrażając się np. w różnych ilościach dóbr otrzymanych przez jednostki. *Maxima* te nie będą jednak urzeczywistnione, jeżeli wolna gra wysiłków naruszoną zostanie przez jakikolwiekbądź monopol. Monopolista otrzymuje więcéj, niżby otrzymał przy wolném współzawodnictwie, inni zaś członkowie społeczeństwa — mniéj. Dodać należy, iż ustanowienie monopolu zawsze jest równoznaczne zniszczeniu pewnéj ilości dóbr, inaczéj mówiąc cały agregat nie może zdobyć swego poprzedniego *maximum*, które istniało przed wprowadzeniem monopolu, które jest *maximum maximorum*. Monopol daje także pewne *maximum*, ale takie, które wypływa z nowych warunków, mniejsze jednak niż przy stanie wolnéj konkurencyi.

Zauważmy, iż wszystkie te *maxima* są czysto subiektywne, t. j. obliczone jedynie na zasadzie wrażeń bezpośrednich osób zainteresowanych. Zdobyte one zostają tylko w chwili ustanowienia równowagi. System ekonomiczny jest w równowadze, gdy wszelkie naruszenie położenia, w którém się znajduje, wywołuje w nim siły, które wracają go do poprzedniego położenia. Dwie siły akcyi i reakcyi, które dążą do ustanowienia równowagi są to z jednéj strony dążność do *maximum* użyteczności, z drugiéj przykrości wszelkiego rodzaju, które związane są z tém dążeniem. Gra naturalna spożycia, oszczędzania i produkcyi dąży przy stanie wolnéj konkurencyi do tego, by powrócić układ do stanu równowagi. W rzeczywistości nie jest ona nigdy osiągnięta, gdyż, w miarę tego jak do niéj się zbliżamy, wszystkie warunki tech-

---

[1]) Jevons. *Theory of political economy.* I Gossen i Jevons zajmują się tylko wymianą dwu dóbr przez dwie osoby. Można jednak roztoczyć też same prawa na wymianę jakiéjkolwiekbądź ilości dóbr pośród jakiéjkolwiekbądź ilości osób. To uogólnienie podziału Jevonsa uskutecznione zostało przez Walrasa (*Elements d'économie politique*).

niczne i potrzeby się zmieniają. Stan rzeczywisty jest więc stanem ciągłych wahań koło pewnego punktu środkowego, który sam się przemieszcza. Równowaga ekonomiczna jest więc równowagą ruchomą. Takie są ogólne wyniki, do których dochodzi ekonomia czysta.

Ten system równowagi może być rozszerzony i pojęty nie tylko z punktu widzenia czysto ekonomicznego, ale i ze społecznego w ogóle. Istotnie, każda jednostka dąży do osiągnięcia nie tylko *maximum* dobrobytu ekonomicznego, ale i do zaspokojenia postulatów wszelkiego rodzaju (politycznych, prawnych, moralnych, estetycznych i t. d.), wogóle szczęścia. Dla téj siły czynnéj stanowią przeciwwagę przykrości wszelkiego rodzaju, które z dążeniem tém są związane. Jest więc dążność do równowagi, mogąca się ustanowić z przewagą bądź sił altruizmu (podział Gossena), bądź — egoizmu (podział Jevonsa). Społeczeństwa przedhistoryczne przedstawiają wypadek pierwszy, historyczne—drugi. W rzeczywistości obiedwie siły—przyciągania i odpychania—są zawsze obecne, tylko pierwsze wyrażają się raczéj w dążeniach moralnych, altruistycznych każdego społeczeństwa, drugie—w dążeniach egoistycznych, i one jednocześnie dążą do zapewnienia *maximum* użyteczności społecznéj.

Ponieważ obiedwie siły działają na każdą jednostkę jednocześnie, równowaga społeczna jest z konieczności skomplikowaną i *maximum* użyteczności społecznéj, zdobyte w ten sposób, jest jednocześnie *maximum* ekonomiczne i moralne. Ekonomiści - matematycy chcą często rozdzielać dwie te rzeczy, które są nierozdzielne. Niepodobna rozpatrywać jednostek, jako kierowanych wyłącznie przez „ich własny interes", w znaczeniu czysto ekonomiczném, gdyż niema takich jednostek na świecie. W ten sposób oddziela się moralność od ekonomii, jako dwie dziedziny odrębne. Przeczymy temu stanowczo. Prawda, iż jednostki kierują się zawsze „swym własnym interesem", ale należy nadać tym słowom znaczenie, które obejmuje wszystkie potrzeby, nie tylko egoistyczne, ale i altruistyczne. I dla tego *maximum* użyteczności społecznéj, dopięte w chwili ustanowienia równowagi, jest jednocześnie i ekonomiczném i moralném. Nie zgadzamy się więc z Edgeworthem, który w użyteczności ekonomicznéj chciałby widzieć tylko starania mające na widoku dobro osobiste, a w moralnéj — te, które mają na widoku dobro społeczne. W rzeczywistości nawet starania czysto osobiste zapewniają *maximum* użyteczności nietylko osobistéj, ale i społecznéj. Tak samo zabiegi altruistyczne sprawiają zadowolenie nie tylko społeczne, ale i osobiste.

Maximum użyteczności zapewniane przez równowagę społeczną jest czysto subjektywne, mające na widoku dobro bezpośrednie społeczeństwa, co najdaléj jednego pokolenia. Co się tyczy dobra przed-

miotowego rasy, społeczeństwo nie ma o niém żadnéj i wiadomości bezpośredniéj, i jego dobro natychmiastowe ekonomiczne i moralne — może być w niezgodzie z jego dobrem obiektywném. W rezultacie możemy powiedziéć, iż równowaga społeczna dąży do zapewnienia *maximum* użyteczności osobistéj i społecznéj. Z drugiéj strony zasada Lagrange-Bertrand'a powiada nam, iż każdy układ materyalny dąży, w chwili ustanowienia równowagi, do wydania *maximum* energii, zgodnego z warunkami istniejącemi. Toż samo można powiedziéć nie tylko o układzie ekonomicznym, ale wogóle o układzie społecznym. Dla tego téż dynamika społeczna może być rozpatrywana, jako część dynamiki w ogóle[1]. Prof. Edgeworth wyraża to w sposób następujący:

---

[1] Prof. Edgeworth doskonale sformułował w ten sposób zadanie mechaniki społecznéj, nie wskazał tylko należycie charakteru funkcyi, które w systemie społecznym odpowiadają funkcyom układu materyalnego. Parete, który następnie powrócił do téj kwestyi równowagi społecznéj, w drugim tomie swego „*Cours d'économie politique*", sądzi, iż nie mamy jeszcze pojęcia ani o charakterze, ani o wartości tych funkcyi. Co do mnie jednak, sądzę iż charakter tych funkcyi może już być oznaczony, co téż tu uczynić zamierzam.

Równania równowagi społecznéj mogą być wyprowadzone z zasady „ruchów możliwych" (*principe du mouvement virtuels*) w połączeniu z zasadą d'Alemberta.

Niechaj X, Y, Z będą *trzy siły* działające na punkt materyalny masy m; niechaj dt oznacza czas, w ciągu którego punkt przebiega linię, któréj składowemi są dx, dy, dz. Z zasady d'Alemberta wypada, iż istnieje równowaga pomiędzy siłami działającemi a siłami bezwładności:

$$-m\frac{d^2x}{dt^2},\quad -m\frac{d^2y}{dt^2},\quad -m\frac{d^2z}{dt^2}.$$

Inaczéj mówiąc:

$$X-m\frac{d^2x}{dt^2}=0;\quad Y-m\frac{d^2y}{dt^2}=0;\quad Z-m\frac{d^2z}{dt^2}=0.$$

Wprowadzając warunek przemieszczeń możliwych punktu, otrzymujemy równanie Lagrange'a

$$\left(X-m\frac{d^2x}{dt^2}\right)\delta x+\left(Y-m\frac{d^2y}{dt^2}\right)\delta y+\left(Z-m\frac{d^2z}{dt^2}\right)\delta z=0,$$

gdzie δx, δy, δz są to przemieszczenia możliwe (*déplacements virtuels*), nadane punktowi x, y, z.

Jeżeli chodzi nie o jeden punkt, lecz o system materyalny, stawiamy znak Σ.

Przejdźmy obecnie do systemu społecznego. Opiérać się tu będziemy na sposobie „uogólnienia rzutów" (*généralisation des coordonnées*): dx zamiast być zmienną przestrzeni będzie zmienną jakąkolwiek wrażenia. W takim razie $\frac{dx}{dt}$ będzie natężeniem wrażenia, a ponieważ wrażenia zmieniają się z czasem (przyjemność słabnie, a zmęczenie, przykrość rośnie), więc miarą siły będzie pochodna natężenia względem czasu pomnożona przez masę: $m\frac{d^2x}{dt^2}$ etc. W układzie społecznym jednostki grają rolę punktów;—siły, które działają na nie X, Y, Z są to po-

„Zasada największego szczęścia (przyjemności), która stanowi szczyt najwyższéj etyki i ekonomii, jest zupełnie analogiczna z zasadą maksymalnéj energii, która stanowi jedno z najwyższych uogólnień fizyki... Mechanika społeczna zajmie kiedyś miejsce obok mechaniki niebies-

---

trzeby, życzenia jakiekolwiekbądź, ekonomiczne, polityczne, moralne, religijne etc.; siły bezwładnosci $-m\frac{d^2x}{dt^2}$, $-m\frac{d^2y}{dt^2}$, $-m\frac{d^2z}{dt^2}$ są to przykrości, które jednostka powinna sobie zadawać, by zaspokoić każdą z tych potrzeb, są to fatygi, prace i wyrzeczenia się wszelkiego rodzaju. Miarą sił bezwładności jest $m\frac{d^2x}{dt^2}$ etc. również jak i sił czynnych, tylko ze znakiem odwrotnym t. j. $-m\frac{d^2x}{dt^2}$, $-m\frac{d^2y}{dt^2}$ etc.

Wymiarami przyjemności i przykrości są: $\frac{dx}{dt}$ natężenie czucia, dt przyrost czasu i m masa materyi czującéj. Jest rzeczą psychofizyologii mierzyć czucie, przyjemność i przykrość i nadać wszystkim funkcyom powyższym charakter numeryczny. Ale dla mechaniki społecznéj czystéj, racyonalnéj jestto rzeczą zbyteczną: wystarcza byśmy określili dokładnie charakter tych funkcyi, a możemy rozumować matematycznie, jakkolwiek nie numerycznie. Oczywiście, iż jednostki, stanowiące układ społeczny, muszą być uważane za jednakowe. W takim razie równowaga przyjemności i przykrości wyraża się jak następuje:

$$\sum\left[\left(X-m\frac{d^2x}{dt^2}\right)\delta x+\left(Y-m\frac{d^2y}{dt^2}\right)\delta y+\left(Z-m\frac{d^2z}{dt^2}\right)\delta z\right]=0.$$

Ponieważ natężenie przyjemności spada z czasem, a przykrości wzrasta, więc istnieje zawsze równowaga pomiędzy przyjemnością a przykrością, począwszy od wrażeń najprostszych i kończąc na kombinacyi wrażeń najbardziéj skomplikowanych jednostki lub układu społecznego; δx, δy, δz są to dla systemu materyalnego ruchy możliwe zgodne ze związkami *(les liaisons)* układu; dla systemu społecznego są to zmiany możliwe w natężeniu potrzeb, zgodne z reakcyami, jakie istnieją pomiędzy jednostkami. Otóż reakcye te, stosunki pomiędzy jednostkami, są dwojakiego rodzaju: mogą one być oparte na wolném współzawodnictwie, albo na monopolu — dwa wypadki, które należy zawsze rozróżniać w jakimkolwiek układzie społecznym; rolę „sił związkowych" *(forces des liaisons)* odgrywają głównie narzędzia pracy i bogactwo (wchodzi tu jednak i środek naturalny, oprócz sztucznego).

Dla jednostki, która porównywa swe przyjemności i przykrości, stanowią one pochodne cząstkowe funkcyi U, która przedstawia jéj użyteczność całkowitą. Jeżeli różne jednostki mogą porównywać wzajemnnie swe przyjemności i przykrości, to użyteczność całkowita układu społecznego będzie $\Sigma\ U$. Należy dowieść, iż wszystkie siły działające na układ społeczny, wewnętrzne i zewnętrzne, znajdują swój wyraz w użyteczności całkowitéj układu — uczynimy to w rozdziale III niniejszéj pracy.

Walras wyprowadza swe równania równowagi ekonomicznéj w sposób niezależny, i one przedstawiają zadziwiającą analogię z równaniami Lagrange'a. My

kiéj; obie górować będą na wysokości zasady maksymalnéj energii, która jest szczytem najwyższym nauk społecznych, również jak i nauk fizycznych... Jak w każdym agregacie materyalnym ruchy każdéj cząsteczki, bądź wolnéj, bądź związanéj z innemi, podlegają zasadzie energii maksymalnéj, tak również i ruchy każdéj duszy, bądź egoistycznie wyodrębnionéj, bądź kierowanéj przez sympatyę, realizują wciąż *maximum* energii przyjemności. Mechanika społeczna całkiem jeszcze należy do przyszłości. Piękno jéj starszéj siostry jest oczywiste; rysy rodzące się drugiéj są jeszcze zasłonięte".

Rozpatrujemy wię‹ społeczeństwo, jako agregat jednostek - molekuł; każda z nich podlega akcyi wielu sił, któremi są potrzeby człowieka, jego życzenia; ich współzawodnictwo dąży do dostarczenia i jednostkom i społeczeństwu maksymalnéj użyteczności. Głównemi pomiędzy siłami, które kierują jednostką, są egoizm i altruizm.

Zobaczymy w rozdziale następnym, jak od tych potrzeb zależą wszelkie inne a mianowicie: ekonomiczne, polityczne, prawne, płciowe, moralne, estetyczne, religijne i umysłowe. Zobaczymy, iż pomiędzy wszystkiemi temi potrzebami istnieje ścisła zależność i cały system kompensacyi. Tymczasem zastanowimy się nad równowagami częściowemi, które się ustanawiają dla każdéj z tych potrzeb i które, wszystkie razem wzięte, dają jedną ogólną równowagę społeczną. Zauważmy, iż teorya nasza jest zupełnie ogólną i stosuje się nie tylko do ludzi, lecz i do agregatu zwierząt jakichkolwiek. Schematycznie mamy więc prawo przedstawić sobie agregat molekuł, znajdujących się pod działaniem potrzeb powyżéj wskazanych. Byłoby daleko zresztą ściśléj przedstawić sobie społeczeństwo jako system wozów kierowanych przez woźniców, jak to czyni prof. Edgeworth, ale w danéj chwili komplikowałoby to niepotrzebnie sprawę.

Dla każdéj z potrzeb wyżéj wspomnianych istnieje współzawodnictwo jednostek, dochodzące, jak rzekliśmy, do równowag cząstkowych i do jednéj równowagi ogólnéj, którą porównać można z poziomem idealnym oceanu. W miarę tego, jak równowaga ta dąży do swego ustanowienia, wszystkie siły wewnętrzne i zewnętrzne, działające na system, zmieniają się; musi więc ustanowić się nowa równowaga odpowiadająca nowym warunkom, która znowu naruszona zostaje i t. d.

---

wolimy jednak związać równania równowagi społecznéj wprost z równaniami Lagrange'a, by nadać charakter teoryi ogólniejszy i módz wprowadzić funkcye energii potencyalnéj i kinetycznéj, które w sposób naturalny wypływają z równań Lagrange'a, a z równań Walrasa wyprowadzone być nie mogą. (Porówn. Dodatek w końcu pracy).

Ewolucya społeczna polega właśnie na tym szeregu następujących po sobie stanów równowagi: może ona być nazwana równowagą ruchomą (*équilibre mouvant*). Zobaczmy wszakże, jakie są warunki ogólne określające każdy z tych stanów. Mogą się one ustanowić albo z przewagą sił altruizmu (podział Gossenowski), albo z przewagą sił egoizmu (podział Jevons'a).

Pierwszy z nich jest charakterystyczny dla społeczeństw przedhistorycznych, drugi — dla historycznych. Różnicę tę wywołuje zmiana stosunków (związków!) między siłami zewnętrznemi a zewnętrznemi. W społeczeństwie przedhistorycznèm do sił zewnętrznych należy głównie natura, nad którą człowiek nie ma żadnéj prawie jeszcze władzy; może więc przeciwdziałać zgubnym jéj wpływom tylko drogą solidarności jak najściślejszéj. Dla tego téż musi się ustanowić równowaga komunistyczna (podział Gossenowski) w tych warunkach dla każdéj potrzeby zosobna i dla wszystkich razem. Natomiast w społeczeństwie historycznèm siły zewnętrzne przedstawia głównie środek sztuczny (bogactwa, narzędzia pracy etc.), który jest produktem agregatu społecznego i znajduje się pod jego władzą, co pozwala zwolnić siły przyciągania, altruizmu i pozostawić więcéj swobody siłom odpychania, egoizmu. Zbytecznèm jest dodawać, iż niema granicy ścisłéj pomiędzy społeczeństwem przedhistorycznèm a historycznèm, ani téż pomiędzy dwoma typami równowag, które w nich przeważają. Jest więc i równowaga pośrednia między obiedwiema. Ale w żadnym wypadku równowaga nie może być dopięta, jeżeli w dziedzinie jakiéjkolwiek istnieje monopol, gdyż nie pozwala on urzeczywistnić zasady użyteczności maksymalnéj: otóż, ponieważ każdy agregat dąży do urzeczywistnienia tego maksymum, więc gra automatyczna sił społecznych dąży do zniszczenia monopolów.

Widzieliśmy poprzednio, jak równowaga się ustanawia z punktu widzenia ekonomicznego przez współzawodnictwo potrzeb odpowiednich (użycie, praca i posiadanie); może ona być trojaką: komunistyczną, indywidualistyczną i pośrednią między niemi. Z punktu widzenia potrzeby płciowéj *maximum* użyteczności społecznéj może także być dopięte bądź posiadaniem wspólnèm kobiét (*promiscuité*), bądź posiadaniem indywidualistycznèm, t. j. monogamią. Każda z tych form może w równym stopniu przedstawiać *maximum* użyteczności społecznéj. W Australii jesteśmy jeszcze świadkami przejścia od jednéj z tych równowag do drugiéj. Obiedwie natomiast mogą być naruszone przez poligamię, która stanowi monopol—dlatego też dąży ona do zaniku. Wolne współzawodnictwo wysiłków realizuje się w społeczeństwie pierwotnèm prawem, które każdy mężczyzna ma na każdą kobiétę (z ograniczenia-

mi mniéj lub więcéj znacznemi), a w społeczeństwach współczesnych— prawem, które każdy mężczyzna posiada na jedną z pomiędzy kobiét (naturalnie z ograniczeniami) i prawem rozwodu. Prawa te mogą w jednym i drugim wypadku być zrównane dla płci obu, stawiając kobiétę w téż same warunki współzawodnictwa, co i mężczyznę. Wskazane powyżéj ograniczenia można téż rozpatrywać, jako wypadek równowagi pośredniéj. W każdym z tych wypadków położenie i ruchy jednostek są różne, co wyraża się różnicą stanów świadomości. Tak skutkami równowagi płciowéj nowożytnéj są uczucia miłości, wstydu, godności płciowéj, uczucia, które były zupełnie inne w społeczeństwie pierwotném: nasze pojęcia wierności, wstydu i t. d. nie miały tam żadnego sensu. Uczucia ludzkie są pochodnemi równowagi społecznéj i po za nią nie mogą być zrozumiane. Również potrzeba panowania może dać miejsce równowagom rozmaitym: komunistycznéj, indywidualistycznéj i pośredniéj. Przewaga społeczeństwa nad jednostką jest charakterystyczną dla czasów pierwotnych, przewaga interesów jednostkowych nad społecznemi—dla ustrojów, opartych na *liberum veto*, wreszcie demokracye nowożytne przedstawiają równowagę pośrednią, która się wyraża w zwierzchności państwowéj i w swobodzie osobistéj. I w téj dziedzinie mogą być monopole, jak arystokracya i t. p., które grą automatyczną sił społecznych dążą do zaniku.

Potrzeba sprawiedliwości wytwarza równowagę prawną, która także może miéć różne formy użyteczności maksymalnéj lub monopolu. Skutkami tych równowag będą w pierwszym wypadku uczucia wzajemnego szacunku, godności osobistéj etc., w wypadku zaś monopolu— dumy i arogancyi z jednéj strony, uniżoności — z drugiéj etc. Potrzeba altruizmu, względem któréj także istnieje współzawodnictwo (dość posłuchać rozmów w jakiémkolwiek towarzystwie, gdzie o jednym powiadają, iż jest nazbyt dobry, o drugim, iż zamało i t. d., by się o tém przekonać), wytwarza różne rodzaje wspomnianych powyżéj równowag i różne formy dobroci, ludzkości, lub ich deformacye chorobliwe: ascetyzm, dobroć mistyczną i t. d. Wreszcie potrzeba podrażnienia nerwowego i wiedzy daje początek, dzięki rywalizacyi jednostek, zjawiskom estetycznym, religijnym i umysłowym. Nie wdając się w szczegóły — które wymagałyby osobnéj pracy — zauważymy tylko, iż *maximum* użyteczności społecznéj z punktu widzenia umysłowego otrzymujemy przez oświatę powszechną.

Powrócimy w dalszym ciągu do tego przedmiotu. Wszystkie użyteczności częściowe, ekonomiczne, polityczne, prawne, płciowe, moralne, estetyczne, religijne i umysłowe w ten sposób wytworzone mogą być porównywane jedne z drugiemi i stanowią części jednéj użyteczno-

ści społecznéj całkowitéj. Musi więc istniéć jedno źródło wspólne, z którego wszystkie te formy społeczne pochodzą i które pozwala ustanowić między niemi cały system kompensacyi. Źródło to istnieje, jak to wykażemy w rozdziale następnym.

II. Przemiany energii społecznéj.

Z poprzedniego widzimy, iż układ społeczny składa się z pewnéj ilości jednostek, które znajdują się pomiędzy sobą w stosunkach akcyi i reakcyi. Każda jednostka posiada pewną energię biologiczną, t. j. zdolność wykonania pracy fizycznéj lub umysłowéj. Nasze uczucia i myśli mogą bowiem także być rozpatrywane, jako rodzaje ruchu nerwowego. Energia biologiczna może posiadać również, jak i energia kosmiczna, dwie formy: potencyalną i kinetyczną. Ta ostatnia polega na ruchu, tamta na wysiłku — jest to ruch napięty. Każda z tych dwu form może przejść w drugą, bez straty ani zwiększenia się ogólnéj sumy energii, zawartéj w danym układzie. Objaśnia się to w ten sposób, iż każdy układ stara się powrócić do pierwotnego stanu, jeżeli wywołujemy w nim pewne odkształcenie. Dąży on wówczas do wyzwolenia całéj nowéj energii, któréj mu w ten sposób udzielono. Jeżeli jednak dążność ta napotyka przeszkody, pozostaje w stanie napięcia, czyli energii potencyalnéj, równéj sumie pracy czyli energii kinetycznéj, któréj użyto dla wywołania odkształcenia i która się wyzwoli, gdy przeszkoda usunięta zostanie. Wszystko to bardzo dobrze może być objaśnione przykładem sprężyny zgiętéj i która powraca do pierwotnego stanu, gdy przeszkoda usuniętą zostanie.

Toż samo powiedziéć można o energii biologicznéj. Pewną jéj część zawsze powstrzymują przeszkody, które system społeczny i otoczenie naturalne przedstawiają, znajduje się ona w stanie wysiłku; są to instynkty, o ile nie objawiają się przez świadomość (t. j. ruch nerwowy i mięśniowy niedostrzegalny), ani przez czyn (t. j. przez ruch mięśniowy oczywisty). Do tego stanu należą wszystkie instynkty, głównie zaś egoizmu i altruizmu — kierowane dążnością do największéj przyjemności [1]. Gdy przeszkody, bądź wewnętrzne, bądź zewnętrzne,

---

[1]) Jednostkę należy rozpatrywać jako mechanizm, w którym produkcyjność jest zastosowana do natężenia téj dążności. Jest ono wskazówką umieszczoną przez naturę na tym mechanizmie i która każdéj chwili pokazuje, jaką ilość paliwa należy dorzucać, by on normalnie funkcyonował. I produkcyjność i świadoma dążność do przyjemności są swoją drogą zastosowane do energii potencyalnéj nieświa-

układu społecznego przemieszczają się, wysiłki te objawiają się ruchem nerwowym świadomości i ruchem mięśniowym czynu. Są to formy kinetyczne energii społecznéj, które stanowią uczucia, myśli i czyny. Jeżeli one powtarzają się w sposób jednakowy w pewnéj ilości jednostek agregatu społecznego, stanowią funkcyę uorganizowaną czyli formę społeczną.

Społeczeństwo jest całością funkcyi uorganizowanych, ale nie organów funkcyonujących — jest ono mechanizmem, nie zaś organizmem.

Obiedwie formy energii biologicznéj, potencyalna i kinetyczna, stanowią energię społeczną, która zdaniem naszém—i to stanowi cechę charakterystyczną naszego systemu — nie zawiéra żadnego innego rodzaju energii. Wprawdzie przypływa tu wciąż pewna część energii kosmicznéj otoczenia, lecz ta tylko wówczas nabiéra wartości społecznéj, gdy zamienia się na energię biologiczną. Do téj nader ważnéj kwestyi powrócimy w następnym, trzecim rozdziale. Tymczasem, przyjmując, iż energia społeczna jest równoznaczna z biologiczną, zobaczmy, jakim przemianom podlega ta ostatnia w układzie społecznym zamkniętym. Wiemy, iż ten lub ów szczegół naszéj analizy ulegnie zmianie pod wpływem późniejszych badań faktycznych, ale to nie ma żadnego znaczenia dla mechaniki społecznéj czystéj, którą tu wyłącznie mamy na widoku.

Energia biologiczna charakteryzuje się, jak rzekliśmy, przyciąganiem i odpychaniem jednostek. Formami pierwotnemi i elementarnemi tego przyciągania i odpychania są głód i miłość, dwie siły zasadnicze, rządzące światem ożywionym. Są one głównem źródłem wszystkich objawów psychicznych, chociażby najsubtelniejszych, odbywających się w jednostce, i wszystkich objawów społecznych, chociażby najbardziéj skomplikowanych, które się dzieją w gromadzie jednostek. Podlegają jednemu tylko kierownictwu: dążeniu do *maximum* przyjemności czyli użyteczności podmiotowéj. Z pośród tych sił, głód ma jednak znaczenie donioślejsze i ogólniejsze. Chwytanie pokarmu, wchłanianie go, trawienie — to zjawisko najogólniejsze, na którém życie polega. Procesy wzrostu i rozmnażania są tylko odmianami procesu trawienia.

Weźmy amebę, jedną z najniższych istot żyjących. W miarę tego, jak ona wchłania coraz więcéj pokarmu, ciało jéj rośnie, ale tylko

---

doméj. Jakkolwiek fizyologia tę ostatnią mało jeszcze badała, to dla mechaniki społecznéj czystéj wystarcza fakt, iż różne rasy posiadają różną produkcyjność możebną.

do pewnych granic. Doszedłszy do określonych rozmiarów, ameba dzieli się na dwie połowy. Rozmnażanie jest więc tylko dalszym ciągiem trawienia i wzrostu. Na niższych szczeblach świata organicznego rozmnażanie odbywa się przez dzielenie i pączkowanie. Na wyższych mamy do czynienia z zapładnianiem, do czego potrzebne są dwie różnorodne jednostki. Ale nawet w tym wypadku rozmnażanie rozpoczyna się wówczas dopiéro, gdy rodzice dopięli pełni swego rozwoju, t. j. gdy nie mogą już osobiście wzrastać drogą wchłaniania pokarmu. Rozmnażanie jest więc zawsze tylko rzutem na zewnątrz procesu trawienia.

Chwytanie i wchłanianie pokarmu jest procesem czysto egoistycznym, stawiającym jednostkę w warunki wrogie względem otoczenia zewnętrznego. Jestto dziedzina nienawiści i walki o byt. Natomiast rozmnażanie jest źródłem uczuć zupełnie innego rodzaju, uczuć sympatyi, która jest zresztą tylko rozszerzonym egoizmem, tak samo jak proces materyalny rozmnażania jest tylko rozszerzoném trawieniem [1]). Dziecko jest częścią rodziców, która oddziela się od nich, gdy ci dopięli ostatecznéj granicy swego wzrostu. Kochając dzieci, rodzice kochają siebie: nic téż dziwnego, iż opiekują się niemi i starają się uczynić je podobnemi do siebie wychowaniem. Uczucia sympatyi, tak wytworzone i mające początkowo za źródło związek krwi, rozszerzają się z czasem na istoty obce. Ameba dzieli się na dwie części, każda z tych ostatnich znowu na dwie i t. d. bez końca. Powstałe w ten sposób komórki elementarne grupują się w sposób dwojaki: albo jako kolonie komórek mniéj więcéj niezależnych, albo jako skomplikowane organizmy, interesujące nas przeważnie, jako całość. Komórki mają dążność naturalną do wytworzenia jednego z tych dwu rodzajów obcowania, gdyż w ten sposób ułatwiają sobie walkę o byt ze światem zewnętrznym, walkę o pokarm. Wewnątrz związku panuje sympatya, oparta na tożsamości krwi; względem świata zewnętrznego związek pała natomiast egoizmem i nienawiścią, kierowanemi przez głód. Toż samo ma miejsce z istotami bardziéj złożonemi.

Związek biologiczny dzieci z matką może być mniéj lub więcéj długotrwały. Gdy płód od niéj wreszcie się oddziela, występuje troskliwość rodziców, głównie matki o dzieci, a także wpływ wychowania

---

[1]) Rozmnażanie jest tylko dalszym ciągiem trawienia, tak samo altruizm jest tylko rozszerzonym egoizmem. I dlatego równowaga społeczna urzeczywistnia równocześnie *maximum* użyteczności ekonomicznéj i moralnéj: nie należy rozdzielać dwóch tych rzeczy, jak to czynią niektórzy autorowie. Obiedwie podlegają wspólnemu kierownictwu: dążeniu do *maximum* przyjemności.

na własne potomstwo. W ten sposób na wyższych szczeblach świata zwierzęcego związek fizyologiczny wzmacnia się i komplikuje związkiem socyologicznym. Ten ostatni jest jednak tylko przetworzeniem i dalszym rozwojem tamtego: troskliwość o dziatwę, karmienie jéj, a także wychowanie mogą być rozpatrywane z ogólnego punktu widzenia, jako dbałość rodziców o siebie samych, utrwalonych, jeżeli tak rzec można, przez rozmnażanie. Upodobnienie młodego i starego pokolenia, oprócz dziedziczności, odbywa się inną jeszcze drogą. Potomek znajduje się w warunkach życia i otoczenia podobnych tym, w których żyli przodkowie. Dlatego może mieć miejsce dodawanie z pokolenia w pokolenie wytworzonych oddawna przyzwyczajeń i to jest początkiem tradycyi w szeregu pokoleń. Z drugiéj strony wspólne wychowanie młodzieży i ich gry dają początek solidarności pomiędzy rówieśnikami.

Łatwo jednak spostrzedz, iż wszystkie te rodzaje uczuć społecznych są tylko skutkami rozmnażania się: zarówno związek pomiędzy rodzicami a dziećmi, jakotéż między rówieśnikami, braćmi i siostrami, może być rozpatrywany, jako związek pomiędzy różnemi częściami tegoż ciała, które tylko nie może rosnąć po za pewne granice i dlatego rozpada się na części. Ale przywiązanie między częściami i późniéj pozostaje nieosłabioném. Takie są najprostsze przejawy, prawie czysto biologiczne, pociągu rozrodczego, miłości. Takież przejawy głodu to nienawiść, okrucieństwo, nie znające z początku żadnych wędzideł i dochodzące do pożerania wszystkiego co żyje i co znajduje się po za granicami danego związku społecznego.

Zobaczmy obecnie, w jaki sposób te dwa brutalne popędy, wysubtelniając się coraz bardziéj, wytworzyły zjawiska psychiczne i społeczne nader skomplikowane. Zacznijmy od pierwszego, od głodu. Jest on oczywiście źródłem wszystkich potrzeb ekonomicznych i wszystkich uczuć brutalnie-samolubnych, żarłoczności, chciwości, zawiści i t. d. Ta żarłoczność pierwotna wyrażała się naprzód w pożeraniu zwierząt i ludzi-wrogów, w antropofagii. Tu głód wywierał swe skutki aż do swych granic ostatecznych, nie spotykając żadnych przeszkód. Ta chęć pożerania, gdy napotkała wroga, na tyle silnego, iż pożréć się nie dał, ale nie dość silnego, by przeciwnie sam mógł pożréć napastnika, ani téż nawet, by w zupełności wyłamać się z pod jego mocy, zamieniła się na chęć władzy. Pierwotny stosunek, jaki istniéć mógł między ludźmi szczepów wrogich, to stosunek pożérającego do pożéranego. Ten apetyt, powstrzymany i zawieszony w swym popędzie, wyraził się w chęci panowania. Panowanie człowieka nad człowiekiem wyrażało pierwotnie tylko to, iż nie mógł go ostatecznie zjeść, musiał się zada-

walać darciem zeń skóry i wyzyskiwaniem w sposób bardziéj zgodny ze względną siłą poddanego. Ten ostatni zgadzał się na wyzysk i poddaństwo, gdyż inaczéj zrobić nie mógł, ale ostatecznie zbuntowałby się, gdyby go chciano użyć na kotlety. Władza pierwotna jest więc pewną równowagą dwóch głodów i dwu sił. Że takiém było historyczne pochodzenie władzy, widzimy z tego, iż ludy pierwotne naprzód zjadały jeńców i dopiéro z czasem instynkt żarłoczności, powstrzymywany, zamienił się na potrzebę panowania: z jeńców robiono niewolników. Jasném jest także, iż własność, chęć posiadania jest tymże apetytem hamowanym: jestto głód, którego zaspokojenie rozkłada się na czas dłuższy, a nie jest uskuteczniane doraźnie i natychmiastowo.

Chęć panowania jednych nad drugimi — wyraz egoizmu, mającego głód za podstawę — wywierająca się wewnątrz danéj grupy złożonéj i mitygowana sprzecznemi interesami członków jéj, przyjęła postać innego uczucia, zazdrości. Zawiść jest chęcią pożerania lub mienia w swéj władzy tegoż, co inni posiadają. Zawiść dobrze uorganizowana jest źródłem sprawiedliwości, która jest równowagą pewnéj ilości egoizmów, dość silnych, by pożéranie jednych przez drugie było niemożliwe, lecz naodwrót, by się wzajemnie szanowały i znosiły. W ten sposób sprawiedliwość, prawo, jest pewną równowagą egoizmów mniéj więcéj jednakowych, działa ona między członkami danéj klasy społecznéj, gdy natomiast władza jest inną równowagą, która się ustanawia między egoizmami siły niejednakowéj, np. między dwiema klasami, różniącemi się mieniem lub siłą biologiczną.

Bądź co bądź widzimy, iż potrzeby ekonomiczne, polityczne i prawne mają swą podstawę w egoizmie, który polegał pierwotnie na apetytach osobistych najbardziéj brutalnych. Cała odnośna psychologia jednostek i wszystkie odnośne instytucye społeczne wyrastają pierwotnie z tego pnia. Dla objaśnienia wszystkich tych zjawisk, egoizm i głód jednostek i grup społecznych jest niezbędny.

A teraz zobaczmy, jakie uczucia i potrzeby pochodzą z miłości, z popędu rozrodczego. Widzieliśmy, iż naprzód ukazują się przywiązanie rodzicielskie, troskliwość o dziatwę, żywienie jéj i wychowywanie. Tu są podstawy właściwe wszelkich afektów moralnych i społecznych. Rodzina jest ich zdrojem. Przywiązanie rodziców, a raczéj matki do dzieci, jest jedyném uczuciem nieegoistyczném, które zna natura. Uczucie to, roztaczając się na osoby znajdujące się po za rodziną i subtylizując się coraz bardziéj, dało początek moralności i solidarności społecznéj. Z czasem solidarność ta otrzymuje inne jeszcze podstawy, ale tu nam chodzi o źródło pierwotne. Maudsley słusznie uważa pociąg rozrodczy, jako źródło rozwoju uczuć społecznych. „Gdyby odjęto—

powiada — człowiekowi instynkt rozmnażania i wszystko co zeń duchowo wypływa, wyrwanoby z jego życia wszelką poezyę, a być może i wszelką ideę moralną." Krafft-Ebing [1]) uważa tenże pociąg za „główną przyczynę uczuć altruistycznych, które objawiają się naprzód ku osobie płci innéj, następnie ku dzieciom i które wreszcie roztaczają się na całe społeczeństwo ludzkie". Lippert [2]) jest zdania, iż rodzina stanowi główne źródło wszelkiéj troskliwości społecznéj o jednostkę.

Ale z tegoż samego źródła pochodzi początkowo cała prawie estetyka. Darwin uważał słusznie dobór płciowy za główny zdrój piękna, upierzenia błyskotliwego ptaków, grzyw zwierzęcych, strojów ludzkich i t. d. Zwierzęta posiadają niewątpliwie poczucie piękna i stroju, wyrobione w tym kierunku. Celem zwabienia samic wiele ptaków-samców rozpościéra z dumą swe piękne ogony lub czuby. Z tych samych powodów śpiéwają i wykonywują bardzo złożone nieraz melodye. Pochodząc z tego źródła, śpiéw nabiéra dla nich z czasem samodzielnego znaczenia: ptaki śpiewają by śpiewać, rywalizują nawet między sobą na turniejach muzycznych. Również taniec jest znany niektórym ptakom. Samce często popisują się wobec samic ze skokami, pozami, ukłonami, gestami. Podobne fakty obserwować można codziennie u naszych gołębi i synogarlic. Wspomniéć także należy budowle i skomplikowane ozdoby, które wznoszą niektóre ptaki, by zapewnić wygodę, urok swym uroczystościom miłosnym. Letourneau [3]) opisuje je w sposób następujący: Niektóre ptaki australijskie, należące do trzech pokrewnych sobie gatunków, budują w tym celu pomieszczenie, niekiedy do czterech stóp długie i czterdzieści pięć centymetrów wysokie. Mocna podstawa, złożona z patyków, dźwiga na sobie taką willę. Zarówno samce, jak i samice, zajęte są wspólnie przy téj robocie, samce tylko biorą się do dzieła z większym stosunkowo zapałem. Gdy gniazdo jest ukończone, architekci pracują nad jego ozdobieniem, a wtedy każdy gatunek wykazuje pewne sobie właściwe upodobania. Jeden z nich oddaje np. pierwszeństwo przedmiotom o barwach żywych i wesołych, jak niebieskie pióra papug, białe kostki i muszelki, które umieszcza między gałązkami lub umiejętnie układa w pobliżu otworu gniazda. Po skończeniu téj pracy, ozdoby owe nie posiadają jeszcze ostatecznéj swéj postaci, ptaki wciąż zmieniają je dla lepszego urzeczywistnienia swego ideału. Ciekawe te budowle, wywołane przez po-

---

1) *Psychopathia sexualis.*

2) *Kulturgeschichte.*

3) *L'évolution littéraire.*

pęd miłosny, wiążą się niewątpliwie z pierwocinami estetyki. Są to niewątpliwie wyobrażenia myślowe, uzewnętrznione i sztucznie urzeczywistnione tak, jakby potrafili to uczynić i ludzie.

To samo powiedzieć należy i o ludzkości: głównem źródłem piękna jest dobór płciowy, dobór najpiękniejszych typów biologicznych. Pięknem zdobywają możność i prawo rozmnażania się. A ponieważ myśl jest tylko przystosowaniem ciała do warunków zewnętrznych, pięknu ciała i jego ruchów odpowiada piękno myśli, elegancya wewnętrzna. Obadwa te rodzaje piękna — wewnętrzne i zewnętrzne— idą razem u ras czystych, jak to widzimy z przysłowia greckiego „καλὸς κἀγαθός”. W ludzkości tylko krzyżowanie bezładne rozdzieliło je i możemy znaléść piękną duszę (mózg) w brzydkiém ciele, lub odwrotnie. To źródło pierwotne piękna, czysto biologiczne, pociąg płciowy, zamienia się z czasem dzięki ciśnieniu społecznemu na piękne myśli, piękne dzieła, na poezyę i sztukę.

Nareszcie to samo źródło biologiczne, popęd płciowy, daje początek uczuciu mistycznemu. Krafft-Ebing [1]) doskonale analizuje ich pokrewieństwo. „Obiedwie te ekstazy, — powiada — gdy dochodzą do stopnia nader wysokiego, mogą przechodzić jedna w drugą. Obadwa te stany duchowe mogą także zwyrodnieć w skłonność ku okrucieństwu czynnemu lub biernemu...” „Dojrzałość płciowa wywołuje żądzę gorącą wcielenia nowych stanów duchowych. Obok poezyi pojawia się mistycyzm. Ekstazy mistyczne są najczęstsze w tym właśnie wieku.” Pokrewieństwo to udowodnione być może masą innych faktów: dewocya kobiét zaczyna się lub wzrasta zwykle w wieku krytycznym; erotomania zwyradnia się często w mistycyzm: że tylko wspomnimy Don Juana, który z rozpustnika staje się mnichem; mistycyzm idzie w parze ze zmysłowością nie tylko w kultach wschodnich, ale także w poezyi, naprzykład u romantyków, u dekadentów, lub w muzyce Wagnera. „Ponieważ nieskończoność wspólna jest tym dwu stanom duchowym—miłości i mistycyzmowi—więc obadwa rozwijają się z potęgą nieprzepartą... Nadzieja szczęścia niezmierzonego i potrzeba bezgranicznego poddaństwa odgrywają w obudwu rolę również wielką” — powiada Krafft-Ebing.

Piękno powinno być rozpatrywane wraz z innemi formami idealizmu—z moralnością i mistycyzmem—gdyż wszystkie zależą w swych procesach fizyologicznych od siły rozrodczéj. Porządek, w jakim siła ta przetwarzała się w swe odpływy idealne, był prawdopodobnie następujący: moralność, estetyka, mistycyzm. Jest rzeczą nadzwyczaj praw-

[1]) *l. c.*

dopodobną, iż wielka solidarność i natężenie uczuć altruistycznych, które panują w ulach i mrowiskach, są skutkami atropii płciowéj większości ich członków. Uczucia rodzinne są kanalizacyą częściową téjże potrzeby: mogą one istniéć tylko między osobami, które nie obcują płciowo. W miarę tego, jak zakazy stosunków płciowych rozpowszechniały się w ludzkości pierwotnéj, obejmując grupy coraz liczniejsze z zanikiem t. zw. *promiscuité*, powstrzymane w pewnych punktach potrzeby zamieniły się na przywiązanie rodzicielskie, braterskie i na uczucia pokrewieństwa bardziéj oddalonego. W taki sposób ustanowił się nareszcie cały system uczuć rodzinnych i moralnych. Moralność była prawdopodobnie pierwszym kanałem, którędy siły rozrodcze ludzkości, niegdyś potężne i wyuzdane, znalazły swe ujście. Ale lawa w wulkanie znajduje, obok głównego krateru, ujścia drugorzędne. Toż samo i tu: siły te powstrzymywane, więzione coraz bardziéj, szukały odpływu w estetyce i mistycyzmie. Jest rzeczą nader charakterystyczną, iż Mortillet [1]) dopatruje pierwsze ślady kultury estetycznéj i religijnéj w ludzkości pierwotnéj dość późno. Według tego autora odnajdujemy pierwsze amulety dopiéro w epoce Robenhauzeńskiéj, ślady zaś kultury estetycznéj są wcześniejsze (epoka Magdaleńska). Jest rzeczą możliwą, iż nauka znajdzie kiedyś synchronizmy w postępach sztuki i religii pierwotnéj, a w rozwoju zakazów w stosunkach płciowych. Tymczasem jesteśmy jeszcze w krainie hipotez, ale wolno przypuszczać, iż mistycyzm był zjawiskiem najpóźniejszém: znajdujemy go wyłącznie prawie u ludzi; w innych gatunkach zwierzęcych nie istnieje wcale, albo też w formie zarodka nader zresztą problematycznego; gdy tymczasem estetyka i poczucie piękna, jako produkty doboru płciowego, są potężnie rozwinięte w naturze całéj. Piękno jest więc odpływem zdrowym popędów rozrodczych, natomiast mistycyzm—zwłaszcza, gdy przekracza pewne granice—jest już niewątpliwie zjawiskiem chorobliwém. Tarnowskij, Krafft-Ebing i inni psychiatrzy uważają go wprost za „równoznacznik kliniczny” tychże popędów. Mistycy dążą zwykle do połączenia „duszy” (czynnik kobiécy) z „bóstwem” (czynnik męski).

W sumie rzecz się przedstawia jak następuje: pociąg płciowy nie zaspokojony, napotykający przeszkody, zamienia się na cały szereg objawów duchowych, często chorobliwych, graniczących z psychozą, a nazywanych miłością. Dzieje się to nietylko w jednostce, ale i w społeczeństwach. „Miłość nieszczęśliwa” zamienia się w niektórych jednostkach na poświęcenie — kobiéty stają się w takich wypadkach często siostrami miłosierdzia —w innych na piękno: nieszczęśliwa

---

[1]) Mortillet. *Le préhistorique*.

miłość budzi często poetów—w innych nareszcie na uczucie religijne: wielu mistyków w ten sposób się objawiło. Toż samo w ludzkości całéj: z popędu płciowego pochodzi uczucie moralne, estetyczne i mistyczne. Z drugiéj strony widzieliśmy, iż z głodu powstają potrzeby i instytucye ekonomiczne, polityczne i prawne. Wreszcie inteligencya, nauka jest tylko przystosowaniem jednostek do wszystkich tych form społecznych: im bogatsza jest treść biologiczna jednostek, tém wszechstronniejsze będą te przystosowania, tém większą będzie ich zdolność analizy i syntezy. Inteligencya pochodzi z tegoż źródła biologicznego, co i inne formy świadomości i społeczności. I w taki sposób odbywa się przemiana energii biologicznych potencyalnych w kinetyczne. Jak promień światła białego, przechodząc przez pryzmat, rozkłada się na wszystkie barwy widma świetlnego, tak energia biologiczna rozkłada się pod ciśnieniem społeczném na stany ekonomiczne, jurydyczne, polityczne, moralne, estetyczne, religijne i umysłowe, a każdy z nich otrzymuje, dzięki warunkom wewnętrznym i zewnętrznym agregatu społecznego, wszystkie formy swego rozwoju.

Jak energia kosmiczna może dać początek jednocześnie zjawiskom światła, ciepła, elektryczności i t. d., tak również energia biologiczna może dać początek zjawiskom moralnym, estetycznym, religijnym, politycznym i t. d. [1]) Każda molekuła materyalna może być pod wpływem jednoczesnym wszystkich form powyższych energii kosmicznéj, które przechodzą jedne w drugie. Również każda jednostka, molekuła społeczna, może przedstawiać jednocześnie wszystkie formy powyższe energii społecznéj, które zamieniają się jedne w drugie. Widzieliśmy poprzednio, iż zjawiska moralne, estetyczne i religijne są jaknajściśléj związane z pociągiem płciowym, gdy zjawiska ekonomiczne, polityczne i prawne—z głodem, nie chcemy jednak nadawać znaczenia nazbyt ścisłego temu szkicowi transformacyi: 1) dlatego, iż pociąg płciowy i głód nie są jedynemi formami egoizmu i altruizmu, jakkolwiek są ich formami pierwotnemi i najpotężniejszemi: nie chcemy więc wyprowadzać moralności jedynie z pociągu płciowego — jest ona raczéj przejawem zasady maksymalnéj energii, który się urzeczywistnia w zjawiskach sympatyi; dla tegoż powodu zjawiska ekonomiczne, polityczne i jurydyczne nie pochodzą jedynie z głodu, lecz są raczéj przejawem zasady maksymalnéj energii, urzeczywistniającéj się w zjawiskach egoizmu; 2) przyciąganie i odpychanie nie idą nigdy zosobna, ani w świecie fizycznym, ani

---

[1]) Niema oczywiście specyalnych energii politycznych, ekonomicznych, moralnych i t. d. Wszystkie one są tylko formami téj samej energii biologicznéj, które ujmujemy nie bezpośrednio, lecz drogą złożonéj syntezy psychicznéj.

w świecie materyalnym: tak, popęd płciowy może być źródłem zazdrości, t. j. egoizmu, a natomiast głód może wiązać ludzi dla celu wspólnego (jak u wilków, które tworzą stada zimową porą); różne formy świadomości, nawet będąc wytworzone przez dwa źródła wyżéj wspomniane, pociąg płciowy i głód, mogą następnie zamieniać się jedne w drugie, jak to ma miejsce z różnemi formami energii kosmicznéj. Wypada stąd, iż energia ekonomiczna może przejść w moralną lub odwrotnie, a polityczna może się stać źródłem estetycznéj lub religijnéj i t. d.; 3) wreszcie przekształcenie głodu i miłości w wyliczone powyżéj formy energii społecznéj jest zasadnicze, ale ono odbywa się za pośrednictwem zastosowań do warunków otoczenia naturalnego i sztucznego, które muszą w energii biologicznéj wywoływać zawsze odpowiedni równoznacznik. Kwestyą tą zajmiemy się w rozdziale następującym.

Rozpatrywaliśmy dotychczas układ społeczny, jako złożony z pewnéj ilości jednostek równych i jednakowych. W rzeczywistości jednak każdy układ społeczny składa się co najmniéj z dwóch ras odrębnych, które różnią się pomiędzy sobą energią biologiczną. Należy więc rozpatrywać je, jako dwa systemy społeczne, znajdujące się w stosunkach akcyi i reakcyi. Otóż praca sił, energia kinetyczna ogólnego systemu, zawierającego obiedwie rasy, równa będzie różnicy ich energii potencyalnych. Ale te energie kinetyczne są to tylko formy świadomości i społeczności, które pochodzą z współzawodnictwa ras i jednostek, które wyczerpują ich energię potencyalną. By transformacya energii, możebnych na czynne nastąpiła, trzeba, by między rasami stanowiącemi agregat społeczny istniała różnica w energiach potencyalnych [1]). Gdy różnica ta wyczerpaną zostaje, ewolucya społeczna powinna się zatrzymać. Tak każdy agregat zamknięty powinien teoretycznie dążyć do nieruchomości. Cała różnica energii możebnych zamienia się na czynne, świadomości i społeczności, ale suma ogólna energii społecznéj pozostaje niezmienną: odbywa się tylko przemiana formy. Z wyczerpaniem powyższéj różnicy, formy świadomości i społeczeństwa krystalizują się, kostnieją, a i rozwój umysłowości musi się zatrzymać, gdyż inteligencya polega tylko na przystosowaniu jednostek do mniejszéj lub większéj ilości powyżéj wyliczonych równowag społecznych cząstkowych. Im więcéj takich równowag jednostka odbija w sobie (t. j. im więcéj ruchów, które im odpowiadają, wykonywa), łącząc je

---

[1]) Clausius: Le potentiel et l'énergie potentielle. Niechaj W_1 i W wyrażają energie potencyalne dwóch ras: wyższéj i niższéj, składających system społeczny zamknięty. Różnica $W_1 - W = \triangle Q$ zamienia się na przyrost energii kinetycznéj agregatu: na użyteczności ekonomiczne, polityczne, prawne, moralne i t. d.

harmonijnie, témbardziéj jest inteligentna. Inteligencya polega więc na dwu procesach: na przystosowaniu jednostki do równowag cząstkowych—jest to analiza—i na połączeniu harmonijném wszystkich tych ruchów cząstkowych w jedną całość—jest to synteza—która odbija równowagę złożoną. Rozumie się inteligencya odbija i jednoczy także ruchy środka zewnętrznego, naturalnego i sztucznego. Wszystkie te ruchy jednostki są to formy jéj świadomości, stanowiące jéj energię kinetyczną.

Oczywista, że im większa jest energia potencyalna jednostki, im wyższa jest jéj rasa, tém więcéj równowag potrafi odbijać, tém większą będzie ilość jéj stanów świadomości, harmonijnie połączonych. Tak jednostki rasy niższéj potrafią zastosować się do niewielkiéj tylko ilości równowag wspomnianych. Zaś dla odbijania i łączenia całości równowag społecznych i kosmicznych potrzebna jest niesłychana koncentracya energii biologicznéj możebnéj, którą znajdujemy tylko u geniuszów, z ich olbrzymią zdolnością syntezy.

Z drugiéj jednak strony ewolucya społeczna polega na wytępianiu ras wyższych, na zamianie ich energii możebnéj na czynną, która rozchodzi się po całym agregacie społecznym. Zwyrodnienie geniusza, stwierdzone przez naukę, jest pośrednim dowodem tego prawa. Nauka, ta inteligencya usystematyzowana, jest równowagą pomiędzy jednostkami o niższéj energii możebnéj, odbijającemi drobną ilość równowag społecznych i kosmicznych, a jednostkami o energii możebnéj wyższéj, która wyraża się w syntezie. Pomiędzy temi jednostkami istnieje jednak wspólność usiłowań, która dąży do ustanowienia równowagi, wytwarzającéj *maximum* użyteczności umysłowéj. Jest to zamiana wyższych energii możebnych na czynne oświaty społecznéj i w agregacie społecznym zamkniętym dąży do wyczerpania geniusza naukowego, szerokich syntez i twórczości nie tylko naukowéj, ale i moralnéj, estetycznéj, religijnéj i t. d., w których czynnik syntetyczny przeważa. Jeżeli to w rzeczywistości nie zawsze się dzieje, to dlatego, iż niéma agregatów społecznych zupełnie zamkniętych. Ale przykład niektórych starożytnych cywilizacyi, jak Assyryi, Egiptu i t. d., które skończyły na nieruchomości, może posłużyć za potwierdzenie tego prawa.

Ale zanim pewien agregat społeczny dochodzi do téj równowagi umysłowéj ostatecznéj, która się wyraża w oświacie powszechnéj i w wyczerpaniu geniusza, przebiega on cały szereg równowag uprzednich z przewagą różnych swych czynników antropologicznych, co wyraża metodę naukową każdéj epoki. Wreszcie zauważyć należy, iż równowaga naukowa jak najściśléj związana jest z innemi równowagami społecznemi i że wszędzie otrzymujemy ten sam rezultat: zamianę energii

biologicznych możebnych na społeczne czynne. W miarę tego jak energia potencyalna rasy wyższéj zamienia się na czynną, którą owłada drogą imitacyi [1]) cały agregat społeczny, własności fizyczne téj rasy rozkładają się drogą krzyżowania bezładnego. Niéma cudów w społeczeństwie, jak i nigdzie. Można miéć rasy wyższe, przedstawiające coraz wyższą koncentracyę energii możebnych, albo téż można je zamieniać na energie czynne, t. j. formy świadomości i społeczności, z których korzystać będą rasy niższe. To przekształcanie energii możebnych na czynne, odbywa się drogą walki ras [2]), która w tym samym agregacie społecznym przybiéra formy walki klas. Proces ten, który można uważać za jeden z zasadniczych i najlepiéj dowiedzionych w nauce społecznéj [3]), znajduje więc ostateczne swe wyjaśnienie w różnicy, jaką przedstawiają różne rasy i klasy społeczne pod względem energii potencyalnéj i kinetycznéj. Pozostałości ras tak przekształconych stają się antropologicznie bezwartościowe i wyrażają się w zwyrodnieniu: należą tu po części chorzy, waryaci i przestępcy, od których agregat społeczny stara się uwolnić na różne sposoby, gdyż stają na przeszkodzie procesowi dalszéj przemiany energii. Walka ras i klas o użycie społeczne jest, jak rzekliśmy, głównym sposobem téj przemiany. Odbywa się ona jednak i mnóstwem innych dróg: tak zakazy pierwotne pożycia płciowo nieuporządkowanego zamieniły pociąg płciowy na odpływy idealne, moralność, estetykę, mistycyzm i t. d. Bądźcobądź—proces społeczny dąży, jak nam to antropologia pokazuje, do wytępienia ras wyższych. Cel ten dopięty zostaje jeszcze krzyżowaniem bezładném członków ras wyższych z rasami niższemi, które to krzyżowanie jest biologicznie fatalne dla pierwszych, może jednak z punktu widzenia społecznego być pożądane, rozpraszając energię skoncentrowaną geniusza i nadając jéj formy różne talentów.

Otóż formy te bardzo dobrze zastosowują się do potrzeb podziału pracy; tworzą one syntezy częściowe niezbędne w odrębnych dziedzinach pożycia społecznego. Syntezy te są nie mniéj potrzebne, niż syntezy ogólne, które przejściowo geniusz wykonywa [4]). Wskazane zjawi-

---

[1]) Teorya Tarde'a o naśladownictwie bynajmniéj nie objaśnia wszystkich zjawisk społecznych, jak sądzi ten autor. Ma ona, jak widzimy, zastosowanie tylko nader ograniczone.

[2]) Tu należy teorya walki ras Gumplowicza, a także teorya „Walki klas" Marxa.

[3]) Achille Loria: Les bases économiques de la constitution sociale.

[4]) Lapouge, który w dziele swém „*Les sélections sociales*" bardzo dobrze wykazał wpływ szkodliwy krzyżowań bezładnych z punktu widzenia antropolo-

ska — walka klas i krzyżowanie bezładne — dążą niechybnie do wytępienia ras wyższych. Tenże cel dopięty zostaje innemi jeszcze drogami: 1) doborów społecznych: w ogólnéj równowadze społecznéj i w poszczególnych równowagach częściowych istnieje dążność do zdobycia *maximum* użyteczności bezpośredniéj, do wytępienia wszelkich monopolistów i do pozostawienia przy życiu jednostek o energii biologicznéj równéj (nie jakościowo, lecz ilościowo): tu należą wszystkie zjawiska doborów ekonomicznych, politycznych, prawnych i t. d., które ostatniemi czasy były bardzo dobrze zbadane i pokazują wszędzie zanik „eugenistów" [1]); 2) wreszcie tenże cel dopięty zostaje zwyrodnieniem, spowodowaném przez zastosowanie jednostek do heterogenizmu społecznego, do podziału pracy: tu należy cała t. zw. patologia profesyonalna. Wszystkie te zjawiska należą do mechaniki społecznéj bądź atomowéj, bądź molekularnéj [2]), i prowadzą do wyrównania różnic ilościowych w energii biologicznéj, w celu wytworzenia *maximum* użyteczności subiektywnéj agregatu społecznego. Wszelkie różnice energii biologicznych możebnych zamieniają się w ten sposób z czasem na energie czynne świadomości i form społecznych i zwiększają coraz bardziéj użyteczność podmiotową agregatu. Ale wszystkie te procesy mogą być fatalne jednocześnie z punktu widzenia użyteczności obiektywnéj ras, postępu biologicznego.

III. Dynamika społeczna [3]).

Przemiany energii społecznéj odbywają się nie tylko dzięki akcyom i reakcyom sił wewnętrznych agregatu, ale także dzięki akcyom

---

gicznego, nie zwrócił żadnéj uwagi na ich wpływ zbawienny z punktu widzenia społecznego.

[1]) *Ibidem*. Robimy zresztą zastrzeżenie co do określenia „eugenistów" (Porówn. pracę naszą „Dobory społeczne" w Dodatku do „Przegl. Tygodn.", 1897). Uważamy zresztą całą stronę teoretyczną i ogólną pracy Lapouge'a za słabą: autor ten sądzi, iż wyczerpuje socyologię sprawą krzyżowań bezładnych i doborów społecznych. Jest to wielkie złudzenie. Brak teoryi ogólnéj i syntetycznéj wywołał u niego to nieporozumienie.

[2]) Rasa czysta gra rolę pierwiastka. Jak molekuła składa się z atomów, tak jednostka jest wytworem ras antropologicznie czystych.

[3]) Dynamika społeczna obejmuje szereg następujących po sobie równowag statycznych, o których mówiliśmy w pierwszym rozdziale téj pracy i które zmieniają się wraz ze zmianą sił wewnętrznych i zewnętrznych agregatu. Nauka całkowita o siłach zrównoważonych lub nie — stanowi dynamikę. Statyka jest tylko jéj częścią: bada ona funkcye i struktury względnie stałe. Drugą częścią dynamiki jest cynematyka: bada ona ruchy zmienne w kierunku i natężeniu, t. j. transfor-

i reakcyom sił wewnętrznych i zewnętrznych. Należy więc analizować wpływ tych ostatnich na tamte. Do sił zewnętrznych należy zaliczyć: 1) środek naturalny, 2) środek sztuczny, głównie narzędzia pracy i bogactwa i 3) inne agregaty społeczne. Można nawet powiedzieć, iż przekształcenia sił wewnętrznych mogą się odbywać tylko pod wpływem zmian zachodzących w siłach zewnętrznych, przez dążność do ustanowienia jednéj wielkiéj równowagi między temi a tamtemi. Rozdzieliliśmy te zjawiska tylko sposobem analitycznym, by połączyć je późniéj syntezą. Sprawę akcyi i reakcyi między siłami wewnętrznemi a zewnętrznemi agregatu społecznego traktował Spencer [1]). Ewolucya społeczna jest według niego tylko formą ewolucyi kosmicznéj, która się objawia integracyą materyi z utratą ruchu i akkumulacyą ruchu z rozproszeniem materyi. Są to skutki naturalne zasady zachowania ruchu i materyi, dzięki któréj w przestrzeni mogą się odbywać tylko ciągłe rozpodziały materyi i energii, aż do ustanowienia jednéj równowagi doskonałéj.

Spencer pokazuje, jak z tych akcyi i reakcyi pomiędzy agregatem społecznym a środowiskiem musi koniecznie wypływać dyferencyacya i integracya społeczna. Ewolucya społeczna, przedstawiona tak w terminach ewolucyi kosmicznéj, nie mogła złączyć się z mechaniką, lecz musiała szukać oparcia w teologii. Istotnie, ta obszerna równowaga ogólna nie może oprzéć się na równaniach Lagrange'a, gdyż tu nie mamy żadnego pojęcia o charakterze funkcyi. Nie mamy bowiem jeszcze żadnéj jednostki miary wspólnéj dla stanów duchowych z jednéj strony i dla zmian energii kosmicznéj—z drugiéj.

Dlatego téż powodu wszelka próba zbudowania mechaniki społecznéj w terminach energii kosmicznéj — jak to próbuje poniekąd uczynić Giddings — musi także być chybioną, a dla znalezienia podstawy dla mechaniki społecznéj należy postępować w sposób zupełnie inny.

Mamy zupełne prawo rozpatrywać system społeczny, jako utworzony jedynie z jednostek, które znajdują się w stosunkach akcyi

---

macye funkcyi i struktur społecznych. Takie są podziały racyonalne, które mechanika społeczna powinna przyjąć. Zauważmy mimochodem, iż nie należy mieszać statyki społecznéj z wykładem struktury społecznéj, a dynamiki — z badaniem funkcyi — jak to czynią niektórzy autorowie. Funkcye bowiem są normalnie w równowadze i każda z nich, dopóki nie ulegnie gruntownym modyfikacyom, może być uważana za zjawisko statyczne. Istotnie, to równowaga funkcyi zachowuje stałość struktury. Statyka kończy się dopiero wraz z ich zmianami i transformacyami. Porów. Giddings, *l. c.*, p. 56 i nast.

[1]) Spencer. *Premiers Principes.*

i reakcyi, a energię społeczną, jako złożoną wyłącznie z dwóch form energii biologicznéj, możebnéj i czynnéj, poprzednio określonych. A cóż się staje wówczas z bogactwem, z narzędziami pracy, drogami, kanałami i t. d.? Stanowią one to, cośmy nazwali środkiem zewnętrznym sztucznym. I nie jest to bynajmniéj postępowanie dowolne, jest ono całkiem zgodne z rzeczywistością. Właśnie ta okoliczność — różnica w roli, jaką odgrywa „bogactwo" — wyodrębnia układ społeczny od organizmu biologicznego. Między jednostkami a bogactwem materyalném istnieje daleko większa swoboda stosunków, niż między komórkami a materyą międzykomórkową, która, zdaniem pp. Lilienfelda, Nowikowa i innych, gra rolę tego bogactwa w organizmie biologicznym. Dlatego w tym ostatnim ono się znajduje pośród sił wewnętrznych, w układzie społecznym — pośród sił zewnętrznych, obok środka naturalnego. Ale czyż dlatego środek sztuczny nie ma wpływu na system społeczny i na jego energię? I owszem, tylko że jego energia fizyczna, również jak i energia kosmiczna otoczenia naturalnego, musi naprzód wywołać reakcyę energii biologicznéj jednostek, lub zamienić się w nią — tylko wówczas staje się ona częścią energii społecznéj układu. Inaczéj energie zewnętrzne fizyczne, kosmiczne, pozostają bez wpływu na układ społeczny i bez wartości społecznéj. Tak np. energie kosmiczne środka naturalnego muszą uczynić wrażenie na zmysły człowieka, co zamienia pewną część jego energii możebnéj nieświadoméj na energię czynną świadomości, wrażeń artystycznych, wierzeń religijnych, myśli naukowych, które, przechodząc od człowieka do człowieka, mogą się stać formami społecznemi. Ale jeżeli w naturze istnieją siły nieznane, które nie działają na energię biologiczną i nie wywołują w niéj reakcyi równoznacznéj, to nie mają wartości społecznéj. Tak promienie *X* nie posiadały żadnéj wartości społecznéj, dopóki Roentgen ich nie odkrył.

Tylko w ten sposób środek naturalny i środek sztuczny mogą wpływać na formy społeczne: ekonomiczne, polityczne, prawne, itd., tylko wywołując reakcyę energii biologicznéj istniejącéj, bądź możebnéj, bądź czynnéj. Wreszcie środowiska te mogą nawet zwiększyć energię społeczną, ale przeszedłszy uprzednio przez odpowiednią transformacyę biologiczną. W taki sposób np. rośliny pokarmowe muszą być spożyte i zwiększyć energię biologiczną potencyalną jednostek, by stać się częścią energii społecznéj; stają się one nią także i przez to, iż wzbudzają chęć spożycia ich, lub świadomość ich posiadania, lub badanie ich własności itd. Jeżeli jednak w naturze znajdują się bądź materye pokarmowe, bądź kruszce drogocenne nieznane, które przez to nie mogą ani

wywołać reakcyi w energii biologicznéj istniejącéj, ani téż jéj zwiększyć, przemieniwszy się w nią, to nie mają żadnéj wartości społecznéj. Bogactwo, które agregat społeczny posiada, znajduje swój wyraz w jego użyteczności społecznéj, tylko wpływając na jego energię biologiczną, kinetyczną lub potencyalną. Również bogactwo, które posiada jednostka, wpływa na jéj energię biologiczną, możebną lub czynną, i pośrednio na jéj udział w ogólnéj użyteczności społecznéj, która rozdziela się automatycznie pomiędzy jednostkami, odpowiednio do ich energii. Jest więc rzeczą niepotrzebną rozpatrywać energię kosmiczną środka naturalnego i sztucznego, jako stanowiące bezpośrednio części składowe energii społecznéj, gdyż zawsze muszą one wystąpić w formie energii biologicznéj, jeżeli posiadają wartość społeczną. Przyjemność i użyteczność są równoznaczne wyrazy energii biologicznéj; możemy więc sprowadzić wszystkie zjawiska społeczne do użyteczności, do przyjemności i przykrości. W takim razie zastosowanie równań Lagrange'a do dynamiki agregatu społecznego staje się możliwém i mechanika społeczna otrzymuje podstawę trwałą.

Widzieliśmy, drogą jakich to równowag pomiędzy siłami wewnętrznemi a zewnętrznemi energia możebna ras zamienia się na czynną, któréj jedną z form jest myśl, obejmująca analizę i syntezę. Synteza ta jest tém obszerniejszą, im rasa jest wyższą. Ta energia czynna daje początek wynalazkom, wogóle inowacyom, które powstają poczęści pod formą świadomości w agregacie społecznym (teorye naukowe, estetyczne, wierzenia religijne, moralne etc.), a poczęści materyalizują się w narzędziach pracy i bogactwie i stanowią środek zewnętrzny sztuczny. Ten ostatni reaguje na siły wewnętrzne, to téż musi się ustanowić między temi i tamtym równowaga, która zresztą jest wciąż zmienna. Ten środek sztuczny jest źródłem daleko energiczniejszém przekształceń społecznych, niż środek naturalny, który jest stosunkowo daleko bardziéj stały. Środek sztuczny, wpływając rozmaicie, swemi zmianami, na energię czynną (np. posiadania) różnych części społeczeństwa, staje się téż źródłem walki klas, która w danym razie oparta być może już nie na różnicy energii potencyalnéj lecz kinetycznéj różnych warstw społecznych. W obudwu wypadkach, t. j. gdy walka ta opiera się bądź na różnicy czysto rasowéj, bądź na różnicy posiadania—proces trwa aż do ustanowienia jednego wspólnego poziomu energii społecznéj dla wszystkich.

Mamy więc przemianę energii możebnych ras i energii środka naturalnego na energię środka sztucznego (narzędzia, bogactwa i t. d.), a następnie retransformacyę tych ostatnich na energię kinetyczną układu społecznego, która przedstawia formy świadomości i społeczności.

Wszystkie te procesy — akcye i reakcye między rasami składającemi agregat społeczny, między temi siłami wewnętrznemi a zewnętrznemi środka naturalnego i sztucznego—należą do dynamiki społecznéj. Do niéj także należą akcye i reakcye pomiędzy rozmaitemi układami społecznemi: i tu odbywa się walka i wymiana różnych form energii biologicznéj możebnéj i czynnéj, aż do ustanowienia wspólnego poziomu i jednéj równowagi powszechnéj.

W miarę tego, jak energia możebna ras wyczerpuje się i zamienia na idee, wynalazki, które bądź bezpośrednio, bądź za pośrednictwem narzędzi pracy (środek sztuczny) rozpowszechniają się w postaci energii czynnéj po całym agregacie, następuje to, że albo presya klasy panującéj się zmniejsza dzięki wyczerpaniu biologicznemu, albo téż że energia społeczna klasy poddanéj wzrasta dzięki wpływom środka sztucznego. W jednym i w drugim wypadku egoizm klasy poddanéj otrzymuje więcéj swobody, t. j. większą amplitudę ruchów: wyraża się to w zmianie idei moralnych, prawnych, politycznych i t. d., które odbijają tylko położenie i ruchy każdéj jednostki i każdéj klasy społecznéj w równowadze ogólnéj układu. Środek naturalny i rasy są czynnikami najogólniejszemi ewolucyi społecznéj: znajdują się w stanie reakcyi bezustannéj i wzajemnéj — energia biologiczna czerpana jest w kosmicznéj i wciąż się w nią zamienia. Co się tyczy form świadomości i społeczności, są one funkcyami rasy (widzieliśmy jak one pochodzą z energii biologicznéj), a za jéj pośrednictwem—środka sztucznego i naturalnego. Środek sztuczny wreszcie jest funkcyą nader skomplikowaną wszystkich tych czynników: środka naturalnego (materyały surowe) rasy, form świadomości i społeczności.

Środek sztuczny nie tylko więc nie jest zmienną niezależną ewolucyi społecznéj, ale i owszem jest jéj funkcyą. Jeżeli on swoją drogą wpływa potężnie na tę ewolucyę, to tylko za pośrednictwem rasy, gdyż wszystkie energie fizyczne, zawarte w tym środku, muszą naprzód otrzymać równoznaczny wyraz biologiczny, potencyalny lub kinetyczny, zanim nabiorą wartości społecznéj. Toż samo rzec można o energii kosmicznéj środka naturalnego. Rasa jest więc czynnikiem centralnym ewolucyi społecznéj, w którym wszystkie inne muszą się wyrazić. Nie chcemy przez to powiedzieć, by ona była czynnikiem jedynym, gdyż zamiana energii biologicznych możebnych na czynne odbywa się nie tylko dzięki zmianom w stosunkach ras, ale także dzięki zmianom w środku sztucznym i naturalnym. Jak sprężyna nagięta zamienia swą energię możebną wysiłku na energię czynną ruchu, w miarę tego jak się zmienia natężenie i położenie przeszkody, która ją zgina, tak energie możebne ras zamieniają się na czynne świadomości i społeczności,

zależnie od zmian, zachodzących w środku naturalnym i sztucznym. Zmiany pierwszego nie są znaczne, ale drugiego są olbrzymie. Dlatego też odgrywa on rolę tak potężną w ewolucyi społecznéj.

W procesie przekształceń energii społecznych należy więc rozpatrywać bezustannie cały cykl sił wewnętrznych i zewnętrznych, znajdujących się w stanie akcyi i reakcyi bezustannéj, nie używając terminów przyczyny i skutku, które tu są zupełnie nie na miejscu. Należy brać wszystkie warunki bez wyjątku, wewnętrzne i zewnętrzne—chodzi tylko o dowiedzenie, iż istnieją one w ilości dostatecznéj dla określenia równowagi społecznéj, co uczynić może tylko matematyka [1])—i niema żadnego powodu do uważania za jedyne źródło przekształceń społecznych jednego tylko czynnika, jak to robią materyaliści ekonomiczni [2]) z jednéj strony, a szkoła antropologiczna [3])—z drugiéj.

Wszak i sama technika, czyli środek sztuczny, nie może postępować, jeżeli wyższe energie biologiczne ras są wyczerpane i nie mogą przechodzić w czynną syntezę wynalazków. To nie każda rasa może poczynić wszelkie wynalazki: tak np. małpy nawet najwyższych gatunków nie wynalazły użycia ognia. Każda inowacya zawsze jest zawarunkowana przez pewien stopień rozwoju biologicznego (rasę), nie zaś tylko rozwoju społecznego. Otóż są to dwa ruchy niezależne. Możnaby jeszcze pozostawić na stronie czynnik-rasę, jako pochodny i drugorzędny, gdyby ona się rozwijała zawsze równolegle do rozwoju społecznego, otóż one często wykonywują ruchy sprzeczne: gdy ten

---

[1]) Porów. w Dodatku: „Równania równowagi społecznéj".

[2]) Zasadę transformacyi energii społecznéj częściowo przeczuwał Engels („*Herrn Dührings Umwälzung in der Wissenschaft*"), następnie powtórzył Labriole („*Essais sur le materialisme historique*") i inni. Autorowie jednak kładą główny nacisk na energię zawartą w narzędziach wytwarzania, sądząc, iż człowiek może się zmieniać nieograniczenie wraz ze zmianą tych narzędzi, wogóle środka sztucznego. Jestto pogląd w znacznym stopniu mylny. Niedawno zrobione doświadczenia pokazały, iż zmieniając temperaturę, w któréj się rozwija zarodek motyla, można wytwarzać odmiany rozmiarów dość znacznych, ale zawsze ograniczonych. Temperatura nie tworzy tych odmian, ona pozwala im się tylko przejawiać. One istniały już w samym zarodku *in potentia*: te energie potencyalne zamieniają się rozmaicie na energie kinetyczne, w zależności od zmian środka, w danym razie od zmian temperatury. Również w człowieku istnieje potencyalnie wszystko, co środek może zeń wydobyć. Każda rasa ma pewną amplitudę zmian, ale o granicach trwałych. Okoliczność ta nie była brana pod uwagę przez materyalistów ekonomicznych. Uważamy więc za fałszywy z gruntu pogląd, iż rasa antropologiczna wywiera tylko wpływ na różnice tempa rozwojowego społeczeństw, iż jest ona tylko lepszym lub gorszym przewodnikiem tych samych prądów ekonomicznych. Nie! Ona może także być ich twórczynią!—

[3]) Teorye t. zw. „Antropo-socyologii" najlepiéj wyłożone zostały przez Lapouge'a, *l. c.*

ostatni postępuje, pierwsza może się cofać, nie tylko teoretycznie jest to możliwem, ale i historya o tém nam świadczy. Możnaby stąd wywnioskować, iż rasa i w takim razie jest funkcyą rozwoju społecznego: spada, gdy on rośnie. Tak, ewolucya społeczna może wyczerpać rasę, jak w Rzymie starożytnym, i zatrzymać się, ale i ona sama swoją drogą ponownie się odradza z przybyciem ras nowych (barbarzyńców). Rasy więc mogą stać się także źródłem ewolucyi społecznéj.

Równolegle do dwóch form energii społecznéj: możebnéj i czynnéj, które stanowią energię społeczną całkowitą, należy odróżniać dwie formy użyteczności społecznéj: biologiczną i psychiczną, od których zależy całkowita użyteczność społeczna. Teorya, którą wyłożyliśmy, pozwala porównywać różne rodzaje użyteczności społecznych, psychicznych i biologicznych i sprowadza wszystkie zjawiska do całkowitéj użyteczności społecznéj. Pozwala ona przez to nietylko objąć proces społeczny, jako całość, ale także określić naukowo zadania i cele społeczne. A mianowicie: należy zachowywać miarę odpowiednią pomiędzy dwiema formami energii społecznéj: czynna nie powinna się rozwijać na karb możebnéj (rasy), ani téż odwrotnie. Istnieje więc punkt, który zapewnia *maximum* całkowitéj użyteczności społecznéj. W rzeczywistéj ewolucyi empirycznéj punkt ten nigdy prawie osiągnięty nie zostaje: istnieją wahania mniéj lub więcéj znaczne, które zapewniają przewagę bądź użyteczności biologicznéj, bądź psychicznéj, ze szkodą dla *maximum* użyteczności społecznéj całkowitéj — może nawet zdarzyć się bardzo znaczne odchylenie ich od siebie ze szkodą społeczną: a mianowicie, gdy walka klas wyczerpuje całą wyższość biologiczną klasy panującéj, która nie jest zastąpiona ani przez elementy lepsze z klas niższych, ani przez inne przychodzące z najazdem, przewaga klasy panującéj staje się niczém nieusprawiedliwionym monopolem, zwykłą eksploatacyą, i klasa ta nie organizuje już pracy narodowéj, nie jest w stanie obronić agregatu społecznego od najazdów zewnętrznych i t. p. Zauważyć można zwykle w końcu każdéj wielkiéj epoki historycznéj wyczerpanie klas wyższych, na szczęście jednak przybywają rasy nowe, które zastępowały miejsca tamtych, i proces społeczny trwał w dalszym ciągu. Antropologia przewiduje jednak wyczerpanie zupełne ras wyższych, co zwolna powstrzyma ewolucyę społeczną, wywołując zastój zupełny we wszystkich dziedzinach. Wtedy mechanika społeczna stosowana będzie miała za zadanie zaradzić temu stanowi rzeczy a zarazem postawić w sposób naukowy rozstrzygnięcie kwestyi społecznéj. Zadanie to może być sformułowane w sposób następujący: ponieważ formy społeczne są tylko odprowadzeniem sił biologicznych od ich zadań naturalnych, wytworzenia ras wyższych, należy znaleźć punkt,

gdzie ewolucya biologiczna byłaby w harmonii z ewolucyą społeczną. Oczywista rzecz, iż odchylenie sił indywidualno-biologicznych ku celom społecznym jest zdrowe i pożyteczne tylko o tyle, o ile postęp biologiczny jest jeszcze możliwy i rasy wyższe powstawać mogą. Na tym punkcie należy powstrzymywać transformacyę energii możebnych w czynne społeczne. Jak inżynier-mechanik wskazuje na manometrze punkt największego ciśnienia, pod karą pęknięcia kotła, tak inżynier społeczny będzie musiał ustanowić punkt, po za którym rozwój biologicznie-indywidualny nie będzie powstrzymywany przez rozwój społeczny.

Takie będą zadania antropo-techniki i socyotechniki, które wypływać będą z mechaniki społecznéj, ostatecznie ustanowionéj, jako nauka.

DODATEK

Równania równowagi społecznéj.

Niechaj X, Y, Z etc. będą składowe (użyteczności cząstkowe) równoważnéj (użyteczności całkowitéj) wszystkich sił działających na jednostkę, czyli punkt agregatu społecznego masy m.

Wiadomo z zasady d'Alemberta, iż:

$$X - m\frac{d^2x}{dt^2} = 0, \quad Y - m\frac{d^2y}{dt^2} = 0, \quad Z - m\frac{d^2z}{dt^2} = 0 \text{ etc.}$$

$-m\frac{d^2x}{dt^2}$, $-m\frac{d^2y}{dt^2}$, $-m\frac{d^2z}{dt^2}$ etc. są to siły energii, które, jak wiadomo, (Newton), mogą być bierne lub czynne. W naszym wypadku są to ilości energii biologicznéj przetworzone przez jednostkę. Nazwijmy je dla krótkości q_x, q_y, q_z etc X, Y, Z etc. są to przyjemności, których jednostka sobie dostarcza za pomocą tych transformacyi. Jeżeli weźmiemy przyrosty tych przyjemności dX, dY, dZ etc., to są funkcyami ilości q_x, q_y, q_z etc. (gdyż natężenie opada wraz z ilością przyjemności, jak nam doświadczenie codziennie pokazuje). Można więc postawić

$$dX = \varphi_x(q_x), \quad dY = \varphi_y(q_y), \quad dZ = \varphi_z(q_z) \text{ etc.}$$

Z drugiéj strony mamy:

$$\frac{Y}{X} = \frac{m\frac{d^2y}{dt^2}}{m\frac{d^2x}{dt^2}} = \frac{q_y}{q_x} \quad \text{a więc i} \quad \frac{\frac{d^2y}{dt^2}}{\frac{d^2x}{dt^2}} \quad \text{czyli} \quad \frac{dY}{dX} = \frac{q_y}{q_x}$$

Nazwijmy $\frac{q_y}{q_x}$ stopą transformacyi p_y użyteczności Y w użyt. X

Mamy więc także $\frac{dY}{dX} = p_y$ czyli $dX = \frac{dY}{p_y}$ czyli wreszcie $\varphi_x(q_x) = \frac{\varphi_y(q_y)}{p_y}$

W ten sam sposób $\varphi_x(q_x) = \frac{\varphi_z(q_z)}{p_z}$ i wogóle można powiedzieć, że dla jednostki $\varphi_x(q_x) = \frac{\varphi_y(q_y)}{p_y} = \frac{\varphi_z(q_z)}{p_z} = \ldots$ (I)

Jeżeli użyteczności istnieje liczba n, to równań odpowiednich zbudować można $n-1$. Należy jednak dodać jeszcze następujące:
(II) $q_x + p_y\, q_y + p_z\, q_z + \ldots = 0$ które wyraża, iż użyteczności wprost zamieniły się jedne na drugie, bez zysku ani straty ilościowéj.

Otrzymujemy w ten sposób n równań, które wystarczają dla określenia n niewiadomych q_x, q_y, q_z, etc. *dodatnich*, jeżeli jednostka dodaje je do tych, które już posiada, lub *ujemnych*, jeżeli je od takowych odejmuje.

Wogóle, jeżeli potrzeby które rozpatrujemy są następujące:

	X (ekon.),	Y (polit.),	Z (juryd.),	S (moral.),	T (estet.),	U (relig.),	W (umysł.)
Ilości przetworzone	q_x	q_y	q_z	q_s	q_t	q_u	q_w
Stopa transformacyi	p_x	p_y	p_z	p_s	p_t	p_u	p_w
Użyteczności elementarne	dX	dY	dZ	dS	dT	dU	dW

to mamy dla każdego z członków społeczeństwa n równań powyżéj wskazanych. Jeżeli istnieje Q członków, to równań tych mamy nQ. Należy obecnie zauważyć, że za jednostkę śród stóp transformacyi należy przyjąć nie koniecznie p_x, lecz można także p_y, p_z i t. d.; za każdym razem wszystkie inne stopy odpowiednio się zmienią, ale w każdym z tych wypadków należy określić $n-1$ stóp transformacyi. Dla określenia ich mamy prawo równości akcyi i reakcyi, czyli że w stanie idealnéj równowagi społecznéj ilość każdego rodzaju przyjemności, żądana przez jednych, równą jest ilości ofiarowanéj przez innych: każdy stan duchowy jednostki lub sumy jednostek wywołuje w otoczeniu społecznêm równą mu reakcyę. Inaczéj równowaga społeczna nie mogłaby się utrzymać.
Mamy więc $q_{1x} + q_{2x} + q_{3x} + \ldots = 0$, $q_{1y} + q_{2y} + q_{3y} + \ldots = 0$ etc. (III), gdzie $1, 2, 3 \ldots$ wskazują członków społeczeństwa.

Równań takich można zbudować n, ale w rzeczywistości one sprowadzają się do $n-1$, gdyż jedno z nich już istnieje w równaniach (II), a mianowicie w równaniach:

$$q_{1x} + p_y\, q_{1y} + \ldots = 0, \quad q_{2x} + p_y\, q_{2y} + \ldots = 0 \text{ etc.}$$

Mamy więc wszystkiego $nQ+n-1$ równań odrębnych, które określają nQ niewiadomych q_{1x}, $q_{2x} \ldots$ etc. i $n-1$ niewiadomych p_x, p_y etc.

Zauważmy, że jeżeli w tym systemie równań przyjmujemy p_x za jednostkę, to określają one równowagę ekonomiczną, jeżeli p_y, to równowagę polityczną, jeżeli p_z, to jurydyczną, p_s —moralną, p_t — estetyczną, p_u — religijną, p_w — umysłową i t. d. Tak się téż dzieje w rzeczywistości.

Równowaga społeczna obejmuje wszystkie te równowagi cząstkowe, a ponieważ każda z nich jest dobrze określona, to i ogólna równowaga społeczna także nią jest.

Zauważmy w końcu, że w X, Y, $Z \ldots$ wchodzą wszystkie użyteczności bez wyjątku, t. j. stany duchowe odpowiadające dobrom bądź materyalnym, bądź niemateryalnym, tym które są bezpośrednio lub pośrednio spożywane, tym które służą do jednokrotnego, lub wielokrotnego użytku, czyli transformacyi.

Wszystkie dobra materyalne grają rolę z w i ą z k ó w *(forces de liaisons)*, ale ponieważ one na równi z niemateryalnemi są tylko użytecznościami, więc równania wyrażające te związki znajdują się już na równi z innemi w naszym ogólnym systemie równań, który obejmuje ich tyleż co i niewiadomych, i problemat równowagi społecznéj jest w zupełności określony. Sprawa stałaby zupełnie inaczéj, gdybyśmy nie mogli sprowadzić wszystkiego jedynie do energii biologicznéj, lecz gdybyśmy do układu społecznego wprowadzili także - jak to czyni p. He-

ryng [1])—energię kosmiczną układów otoczenia. Wówczas zadanie byłoby całkiem nieokreślonem i o mechanice społecznéj mowy by być nie mogło.

Zajmowaliśmy się dotychczas wyłącznie wypadkiem doskonałéj wolnéj konkurencyi, ale pokazać można, iż równowaga społeczna utrzyma się i w wypadku monopolów. Kwestyę tę również jak i rozbiór specyalnych równowag cząstkowych odkładamy do prac następujących.

Ponieważ, jak to z całego poprzedniego wykładu widać, w energii biologicznéj, nieświadoméj, jednostki zawarte są wszystkie jéj stany duchowe, to tę energię Φ uważać można za tak zwaną funkcyę sił (*la fonction des forces*), zaś przyrosty użyteczności cząstkowych dX, dY, dZ etc. należy uważać za jéj pochodne cząstkowe, są to siły, które działają na punkt agregatu społecznego. Oznaczmy przez Σ sumę, która obejmuje cały system takich punktów, czyli jednostek, i postawmy:

$I = - \Sigma \Phi$, I jest to, co w teoryi mechanicznéj ciepła nazywa się *ergiel'em* (Clausius) i co w zupełności odpowiada naszéj energii potencyalnéj ras.

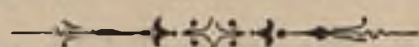
Dr Leon Winiarski

Privat-docent Uniwersytetu Genewskiego.



[1]) Z. Heryng: „Logika ekonomii". Autor, wprowadzając do układu społecznego energię kosmiczną obok biologicznéj, nie byłby w żaden sposób w stanie wykazać, iż jego układy społeczne są dobrze określone, t. j. zawierają tyleż równań (warunków), co i niewiadomych, nie byłby w stanie wykazać, jakie funkcye odpowiadają w jego układach społecznych funkcyom układów materyalnych w równaniach Lagrange'a, nie byłby w stanie pokazać, jakie są związki (*les liaisons*), jaka funkcya sił. I dlatego określenie energii potencyalnéj i kinetycznéj ekonomicznéj, które on podaje, jest zupełnie dowolne i na niczém nie oparte. Zdaniem naszém, funkcye te do układów ekonomicznych zastosowane jeszcze być nie mogą natomiast do społecznych—mogą, ale tylko w sposób, powyżéj wskazany.

GERHARD HAUPTMANN.



I.

Imię Gerharda Hauptmanna od kilku lat rozbrzmiéwa w Niemczech i odbija się głośném echem w sercach wielu tysięcy, jednak dopiéro od ukazania się „Dzwonu zatopionego", Niemcy powitały w nim nietylko swego pierwszego współczesnego poetę, co mogłoby być niczém, ale poetę prawdziwie wielkiego, godnego stanąć obok swoich genialnych poprzedników. Od czasu Heinego mowa niemiecka nie wydała dźwięków jednocześnie tak silnych i miękkich, od czasu Göthego myśl niemiecka raz tylko przedtém przemówiła z równą potęgą i odczuciem prądów prawdziwie narodowych: w dramatach lirycznych Ryszarda Wagnera. To téż zapoznanie się z osobistością artystyczną téj miary wydaje mi się pełne interesu dla naszego społeczeństwa. Niedawno p. Flach ogłosił w „Przeglądzie Polskim" pracę większych rozmiarów o Hauptmannie (w lecie 1897 r.), nie daje ona jednak pełnego obrazu działalności poety, którego postaci brak właściwego oświetlenia, i nie wyczerpuje przedmiotu. Dzieła Hauptmanna zresztą nadają się do bardzo różnorodnego zapatrywania i z różnych punktów widzenia mogą być sądzone. W niektórych tendencya socyalno-demokratyczna jest tak silnie akcentowana, że aż przechodzi w polemikę, w innych artyzm modernistyczny, jednocześnie realny i pełen symbolów, niepo-

jętym staje się dla tych, co przywykli do form dawnych i wyjść z nich nie umieją.

„Wer den Dichter will verstehen,
Muss in Dichter's Lande gehen!...“

Musimy więc wejść w tę duszę niespokojną, w tę organizacyę nerwową, nawskroś artystyczną, w to serce czujące bardzo głęboko niedole i nędze społeczne. Musimy téż poznać wpływy, które na umysł ten działały i prowadziły go po drodze stopniowego rozwoju, przypatrzyć się otoczeniu i atmosferze duchowéj, wśród któréj wyrabiał się i dojrzał.

Życie Hauptmanna przedstawia ciekawe studyum dla tych, którzy interesują się psychologią dusz artystycznych. Fantastyczne od lat dziecinnych, pełne przeskoków i wahań w wyborze swéj drogi, płynie to życie dość długo wśród ciągłéj rozterki duchowéj i pytania, któréj sztuce dać się wreszcie opanować, poezyi czy plastyce? „Obie panują nad nim i wydzierają go sobie wzajemnie, — w pracowni rzeźbiarskiéj pisze wiersze, a nie może się zdecydować na porzucenie dłuta, jednocześnie zaś zatapia się w kwestyach społecznych i pragnie zostać jednym z tych, którzy prowadzą ludzkość „na drogę nowych przeznaczeń".

Próbuje zostać gospodarzem rolnym, filozofem, uczonym, rzeźbiarzem, aktorem, idąc zawsze za pragnieniem wewnętrznéj wolności i za popędem niezwalczonym wynalezienia formy, w któréjby jego dusza pełna ognia mogła się cała wypowiedziéć.

Gdyby był mniéj genialny, byłby zginął; groziło mu tysiąc razy rozstrzelenie się i zmarnowanie w dyletantyzmie. Ocaliła go oryginalność talentu i rozumna miłość starszego brata, Karola, który go bronił, zachęcał do pracy, podtrzymywał i nie pozwalał dezertować na pole socyalistycznych działań, z właściwéj mu dziedziny piękna i sztuki.

Urodził się Gerhard Hauptmann 15 października 1862 r. w Salzbrunn na Szląsku, w mieszczańskiéj, dość zamożnéj rodzinie. Otaczała go w dziecinnych latach atmosfera przywiązania rodzinnego, porządku, pracy i wielkiéj, szczeréj religijności. Wszystkie warunki składały się na to, aby z niego wyrobić jeżeli nie porządnego filistra, to w każdym razie spokojnego i wykształconego pracownika. Ale w duszy jego od lat najmłodszych kiełkował zaczyn fermentu, rozsadzającego wszystkie formy utarte, wyłamującego się z wszelkich pęt i dążącego do bezwzględnéj wolności wewnętrznéj. Odbiérał wychowanie staranne, i zawsze we wszystkich późniejszych gwałtownych przejściach od jednego do drugiego powołania otaczała go wyrozumiała pobłażliwość i opieka kochającéj rodziny. Okazywał zawsze wyższe zdolności, pochłaniał

książki, ale w szkołach uczył się bardzo nieszczególnie, tak dalece, że już w piętnastym roku życia musieli go rodzice odebrać ze szkoły realnéj w Wrocławiu (*am Zwinger*), gdzie od lat kilku uczęszczał. Doszedł tylko do niższéj kwarty, pozostając prawie w każdéj klasie po dwa lata. Poezyi pisywał już wtedy bardzo wiele, zachwycały one kolegów, a szczególniéj brata Gerharda, Karola, starszego od poety o lat dwa, wtedy już wzorowego ucznia, a dziś autora kilku cennych dzieł naukowych. Stosunki rodzinne Gerharda składały się wtenczas tak, że odebranie go ze szkół nie martwiło zbytecznie rodziny, a nawet było jéj poniekąd na rękę. Bliscy krewni matki Hauptmanna stracili wtedy jedynego syna i pragnęli zająć się młodym Gerhardem, jak własném dzieckiem. Państwo Schubert mieszkali na wsi, dzierżawiąc wielkie dobra, życzyli sobie, aby Gerhard nie opuszczał ich wcale, nauczył się gospodarstwa i był im podporą w starości. Gołębie dusze tych ludzi, pełnych cnót chrześciańskich, przedstawił późniéj Hauptmann w swoich „Samotnych”.

Dostawszy się na wieś, upojony naturą i wolnością, przebywał młody poeta dni całe wśród pól i lasów, a zawsze z książką w ręku lub z notatnikiem i ołówkiem, którym spisywał świéże wrażenia. Powstało wtedy wiele poezyi lirycznych, które nigdy nie ujrzały prasy drukarskiéj.

Opiekunowie z żalem postrzegli, że nigdy z niego nie zrobią rolnika, tém więcéj, że w duszy jego obudziła się nowa namiętność: zaczął lepić z gliny i wosku karykatury i głowy charakterystyczne i objawiać talent do rzeźby. Zapragnął zostać artystą, i już w ośmnastym roku życia widzimy go z powrotem we Wrocławiu, tym razem w szkole sztuk pięknych. W szkole téj odbywały się także wykłady nauk przygotowujące młodzież do zdania egzaminu, dającego prawo służby wojskowéj jednoroczněj. Hauptmann zdał ten egzamin w półtora roku po przybyciu do szkoły i przez szczególną protekcyę i stosunki z wysokiemi sferami swego profesora, rzeźbiarza Härtla, przyjęty został do uniwersytetu w Jenie, pomimo braku formalnego patentu dojrzałości. Jako rzeźbiarz robił postępy wielkie, odznaczał się oryginalnością pomysłów, nie doszedł jednak do zupełnego opanowania techniki; niezależny umysł jego i tu buntował się przeciw formalizmowi prowincyonalnéj akademii, którą w „Koledze Kramptonie” przedstawił jako siedlisko zaśniedziałego konserwatyzmu i twierdzę staroświeckiéj rutyny. Częste též miał zajścia ze swymi profesorami, którzy go nawet na czas jakiś ze szkoły wykluczyli, tylko opiece profesora Härtla zawdzięcza powrót do niéj i zdanie potrzebnego mu egzaminu. Härtel nietylko przewodniczył mu w opanowaniu arkanów sztuki plastycznéj, ale po-

zwalał mu czytywać sobie swoje poezye. Opiewały one tajemniczą krainę sagi skandynawskiéj, pod wpływem Andersena i Tégnera zstępowały do zamierzchłéj przeszłości mitologicznéj. Wtedy powstał dramat Ingeborga i tragedya o Hermanie, wodzu Cherusków, nigdy nieskończone.

W wyborze ówczesnych swoich przyjaciół zaznaczył Hauptmann dwoisty kierunek, jakiemu hołdować miał w przyszłości. Jednym z nich był malarz i znany późniéj krytyk Ernest Schmidt, drugim Alfred Plötz, studyujący wówczas ekonomię polityczną, późniejszy pisarz i działacz socyalistyczny. Odtąd sztuka i zagadnienia społeczne pozostały w równéj mierze celem i zadaniem życia Hauptmanna.

Z otoczenia młodzieży artystycznéj dostał się poeta w Jenie w roku 1882 w grono przyjaciół swego brata, Karola. Byli to młodzi pozytywiści, studyujący nauki przyrodnicze pod sławnym Häcklem. Darwin był ich bożyszczem, metoda doświadczalna środkiem, a uszczęśliwianie ludzkości za pomocą polityki socyalnéj—celem.

Artystyczny żywioł wśród téj młodéj drużyny stanowili Gerhard Hauptmann i Maks Müller, muzyk wagnerzysta. Przez niego wniknął w duszę poety kult dla twórcy muzyki przyszłości i zrozumienie doniosłéj poezyi niemieckiego dramatu lirycznego. Trzy wpływy bardzo sprzeczne działały w Jenie na duszę poety: Karola Marksa, socyalisty, Zoli wraz z innymi naturalistami francuskimi i Ryszarda Wagnera. Wszystkie one znalazły swój wyraz w późniejszych dramatach.

Wśród tych wszystkich zajęć, rozpraw z przyjaciołmi i marzeń młodości rzeźba nie została zaniedbaną Z pod palców Hauptmanna wychodziły wciąż nowe głowy charakterystyczne, lepione z gliny i wosku, i kto wié, czy plastyka jego postaci dramatycznych nie zawdzięcza swéj siły, swéj indywidualności temu przyzwyczajeniu się do określonych kształtów.

Bogate życie wewnętrzne wśród grona pokrewnych duchów nie zatrzymało jednak długo na jedném miejscu tego wędrownego ptaka: rok zaledwie przebył w Jenie, a już w r. 1883-im, odwiedziwszy brata w Hamburgu, wsiadł tamże na okręt i objechał brzegi Francyi, Hiszpanii i Włoch. W Neapolu zjechał się z bratem Karolem i razem spędzili kilka tygodni na wyspie Capri. Podróż tę opisał w poemacie, który tak formą wiersza (oktawą), jak i treścią przypominał „Child-Harolda". Poemat ten, pod tytułem „Los Prometydów" (*Prometheidenlos*), wydrukowany został w trzy lata potém w Berlinie, ale poeta cały nakład wycofał i zniszczył, również jak tom lirycznych poezyi, wydanych pod nazwą „Kolorowéj książeczki" (*Buntes Büchlein*). Dziś

obadwa te wydania znajdują się tylko w ręku przyjaciół i służyć mogą za cenny przyczynek do biografii poety.

We Włoszech również powstał dramat: „Dziedzictwo Tyberyusza”; przesłany Ottonowi Devrient, tułał się długo w bibliotece teatralnéj, czekając na przedstawienie, i w końcu w rękopiśmie zaginął.

Po wyjeździe brata, urządził sobie Hauptmann w Rzymie pracownię, wrócił z zapałem do rzeźby i zaczął wielką płaskorzeźbę — musiał jednak wracać do kraju dla odbycia służby wojskowéj. Zakochał się w siostrze swéj bratowéj, w pannie Maryi Tienemann, była to pierwsza jego miłość – w „Koledze Kramptonie” opisał to wiosenne uczucie. Nie namyślając się długo, zaręczył się, a wkrótce potém ożenił, w maju 1885 r., mając dopiéro lat dwadzieścia dwa.

Żona Hauptmanna była bogatą córką bankiera, młoda para po ślubie zamieszkała w pięknéj willi pod Berlinem. Poeta nigdy nie potrzebował pisać dla chleba, nie męczył się kwestyami bytu i utrzymania, mógł podróżować, kształcić się, przyjmować przyjaciół i żyć podług fantazyi. Nie był jednak szczęśliwy, bo dusza jego jeszcze wtedy znajdowała się w stanie nieustannego wrzenia i fermentu, daleko jéj było do opanowania się, ustalenia i samowiedzy artystycznéj.

Wahał się między poezyą i rzeźbą, a czasami zdawało mu się, że wszelka sztuka jest zbytkiem wobec poczucia o cierpieniu milionów. Chciał wszystko rzucić i oddać się wojowniczéj polityce społecznéj. To znów ogarniała go potężna myśl Wagnera o zlaniu się wszystkich gałęzi sztuki w jeden dramat doskonały. Pod wpływem tych marzeń wstąpił do teatru, gdzie krótko bawił, zrażony zaraz na wstępie trudnościami technicznemi i pospolitą, codzienną stroną aktorskiego życia. Pozostał mu tylko z tego teatralnego intermezza wielki talent deklamacyi w czytaniu poezyi dramatycznych, zwłaszcza własnych.

Z rzeźbą wziął stanowczy rozbrat w r. 1887; pojechał wtedy do Zurichu, zabawił tam parę miesięcy i pozawiérał liczne stosunki. Studyował historyę wszystkich religii i zaczął pisać żywot Jezusa Chrystusa, a jednocześnie pracował nad wielką powieścią obyczajową, która miała być autobiografią.

Wśród tych wszystkich rozterek duchowych i moralnych upłynęło lat parę dość ciężkich, ślad tych przejść pozostał we wszystkich dramatach, a głównie w „Samotnych”.

Dopiéro poznanie Arnolda Holtza, młodego pisarza, którego naturalistyczno-satyryczne nowele pod tytułem „Szkice Papy Hamleta” były wypadkiem literackim w r. 1888, popchnęło Hauptmanna na właściwą drogę. Holtz namawiał go, aby, na wzór francuskich pisarzy, stworzył do spółki z nim dramat naturalistyczny. Hauptmann nie był

w stanie dzielić się twórczością z kimś drugim, zaczął pisać na własną rękę „Przed wschodem słońca". Poczuł się realistą i dramaturgiem — stanął na pewnym gruncie. Spalił wszystkie dawniejsze prace nietylko zaczęte, ale i te, które już były oddane do druku, poświęcił wszystko, co mu się wydawało niedość pewném, niedość nowém, niedość samodzielném. Pierwsze przedstawienie na wolnéj scenie w r. 1889 dramatu „Przed wschodem słońca" było dla Gerharda Hauptmanna punktem zwrotnym jego życia, było według wyrażenia jego brata Karola „pierwszym krokiem ku nieśmiertelności".

Okres walk, powątpiewań i męki wewnętrznéj (*Sturm und Drangperiode*) skończył się dla poety, odtąd działalność jego, poczuwszy grunt pod sobą, rozwija się, potężnieje i prowadzi go bardzo szybko na wyżyny doskonałości artystycznéj i sławy.

II.

Widzieliśmy pod działaniem rozmaitych wpływów prądy różne, przepływające duszę poety.

Najbystrzéj płynie prąd zabarwiony tendencyą społeczną, daje on życie utworom, jak „Przed wschodem słońca", „Tkacze" i „Floryan Geyer"; obok niego i równolegle z nim popycha poetę naprzód gorąca chęć rozwiązania niepokojących go zagadnień, stąd powstają dramata psychologiczne („Kolega Krampton", „Święto pokoju", „Samotni ludzie"). Nakoniec ponad temi wszystkiemi dziełami refleksyi bierze górę wyobraźnia poetyczna i stwarza idealny obraz umierającéj Hanusi i tragiczne walki wewnętrzne mistrza Henryka z „Dzwonu zatopionego".

Tym sposobem znane dotychczas dzieła Hauptmanna stanowią jakby trzy grupy.

Wstęp do pierwszéj — to owo „Przed wschodem słońca", które pierwszy raz nieznanego dotychczas poetę postawiło przed szeroką publicznością i stało się najskrajniejszém i najjaskrawszém zainaugurowaniem panowania naturalizmu w Niemczech. Zjednało téż swemu twórcy wielki rozgłos skandalu; na krzyk oburzenia krytyki i całéj wogóle prasy odpowiedziały przesadne zachwyty kilkunastu przyjaciół. Wśród tych walk umacniała się świadomość artystyczna Hauptmanna, obudzała chęć zwycięstwa; — one zahartowały go, wyrobiły i ustaliły ostatecznie. Trudno sobie wyobrazić, że teorya estetyczna, która już we Francyi od lat dwudziestu kilku orała niwę literacką i ostatecznie uprawiła ją pod nowy posiew, która tam już zrobiła swoje, potém prze-

szła zagranicę i dostała się na daleki wschód, — w Niemczech była czémś tak nieznaném, nowém, takiém objawieniem. A jednak tak było jeszcze przed dziewięciu laty. Pseudo-realizm Bleibtreu'a wydawał się czémś zbyt śmiałém, wielkie imiona Schillera i Göthego nie schodziły z ust, krytyka dociągała wszystko do miary tych olbrzymich duchów przeszłości, które zdawały się rzucać cień na wszystkie młode usiłowania przemówienia językiem, odpowiednim potrzebom chwili obecnéj.

Hauptmann zrozumiał te potrzeby i wołanie ducha czasu,—pierwsze to jednak dzieło jego, które tak długo gorszyło opinię, jak wszystkie utwory o tendencyi wojowniczéj, nie jest wolne od przesady i od naśladownictwa. Nie ma tu pół-cieni i światło-cieni, rażący blask nie słońca, ale lampy elektrycznéj, pada na kolory krzyczące, od których bolą oczy widza, wszystko wrzeszczy w niebogłosy o nędzy społecznéj, o nikczemności natury ludzkiéj, o upadku człowieka i zwyrodnieniu jego pod wpływem nałogów i namiętności. Brzydka, cuchnąca rana na odkrytém ciele chorego człowieka, którą niewątpliwie zakryłby miłosierny Samarytanin przed ciekawém okiem przechodniów, rozkłada się tutaj bezwstydnie.

Młody autor zostaje pod wpływem Zoli i Ibsena (w „Upiorach"), teorya dziedziczności chodzi za nim jak zmora i spać mu nie daje, prócz tego czytał Tołstoja i dzieła filozoficzno-moralne ruskich wegetaryanów, studyował niemieckie dysertacye przeciwko alkoholizmowi. To téż marzy o odrodzeniu ludzkości. Odrodzenie to ma być wewnętrzne przez szczęśliwy dobór, przez małżeństwa zawierane z przeważnym względem na zdrowie, przez zmianę pożywienia (wegeteryanizm) i przez zupełne wyrzeczenie się zabójczego alkoholu.

Wszystkie te swoje teorye i marzenia wkłada w serce i słowa bohatéra swego Alfreda Lotha, młodego socyalisty, który przybywa na wieś (w górniczą okolicę, żyjącą z eksploatacyi węgla), aby poznać życie górników, zbadać ich potrzeby i stopień oświaty, a poznawszy to wszystko, pracować nad ich podniesieniem.

Przypadkiem, przez znajomego doktora Loth zostaje wprowadzony do domu bogatych chłopów, nagle zbogaconych znalezieniem pokładów węgla na swych gruntach. Dziwna to rodzina i dziwny świat, pławiący się w używaniu niskiém szybko zdobytego barbarzyńskiego zbytku, nurzający się w rozpuście i pijaństwie. Przy tych istotach zwyrodniałych, pozbawionych wszelkich poczuć szlachetniejszych, wydają się wiecznie pijani robotnicy z Assommoir'u Zoli nieszczęśliwemi ofiarami ciemnoty i złych urządzeń społecznych. Tu nędza nie pokry-

wa występków miłosierną szatą utkaną z naszego współczucia; tu mamy całą galeryę zwierząt ludzkich.

Jest najprzód ojciec, stary Krause, panujący nad całym obrazem jak czarna, groźna chmura, choć go nie widzimy wcale, choć ukazuje, się tylko na końcu na chwilkę po to, aby nas przejąć zgrozą. Pijak to nałogowy, codziennie o wschodzie słońca wracający z szynku.

Żona jego (druga), okryta klejnotami, wystrojona w jaskrawe atłasy, romansuje z siostrzeńcem, za którego chce wydać córkę męża, Helenę. Siostrzeniec ów głupiec, przytém pijak i hulaka. Zięć (Karol Hoffman), mąż drugiéj córki Marty, zupełnie nieobecnéj na scenie, bo w chwili rozpoczęcia akcyi właśnie spodziéwa się słabości, jedyny człowiek w téj rodzinie niby cywilizowany, przemysłowiec berliński ożeniony z bogatą chłopką dla majątku, — charakter przewrotny, szachraj i rozpustnik, robiący wszelkie usiłowania, aby w czasie choroby żony uwieść jéj siostrę. Kwiatem wyrosłym na śmietniku jest tu Helena, dziewczyna piękna, prosta i szczera, dusząca się w otaczającém ją zatrutém powietrzu.

To téż Alfred ze swoim idealizmem, ze swą miłością ludzi wydaje jéj się półbogiem i miłość dla niego wybucha nagle w tém sercu dziewiczém z szaloną gwałtownością

Silna ta i piękna miłość, wzajemna zresztą, wije się wśród ponurych scen dramatu, jak wieniec z świeżych polnych kwiatów. Niestety uczucie to skazane na zatratę i pozbawione podstaw bytu, bo oparte na nieporozumieniu. Młody doktryner, widząc dziewczynę szlachetną i zdrową, marzy w przyszłości o pięknych dzieciach, które mają daléj prowadzić dzieło odradzania zepsutéj ludzkości; nie przypuszcza, że jego wybrana jest dzieckiem alkoholików, przeciwko którym on myśli właśnie prowadzić krucyatę. Powiada mu to dopiéro doktór, kolega z lat szkolnych. Doktór ten, nieprzyjaciel małżeństwa, trochę dziwak i pesymista, pełni w sztuce rolę chórów greckich i w ponuréj melopei opiewa wszystkie nędze trapiące człowieka. Gdyby nie on, zapomnielibyśmy o społecznéj tendencyi autora, która wśród miłości Alfreda i realistycznych obrazów z życia pijackiéj rodziny zeszła na plan dalszy. Alfred zdruzgotany rewelacyą doktora i widokiem ukazującego się na chwilę ojca Heleny, w stanie zupełnego upodlenia, wyrzeka się szczęścia, pisze na kartce parę słów pożegnania i ucieka. Smutna ta scena odbywa się w szczególnym nastroju, w którym łączy się krańcowy realizm Zoli, z impresyonizmem Maeterlinka. Wszystkie rozmowy, nawet zwierzenia miłosne Alfreda i Heleny odbywają się szeptem przy akompaniamencie jęków położnicy, dochodzących z drugiego pokoju. Zdaje się, niepodobna daléj posunąć naturalizmu w szczegółach.

W czytaniu sprawia to wrażenie plastycznéj prawdy, w przedstawieniu scenicznem może się stać piłą, jakiéj nawet najsilniejsze nerwy nie zniosą. Śmierć czai się u drzwi tego pokoju, prawie słyszymy jéj ciche kroki.

To téż przychodzi ona w końcu: najprzód dziecko rodzi się nieżywe, zabite alkoholizmem matki, odziedziczonym po dziadku, a doktór zabiéra Hoffmana do walczącéj ze śmiercią żony. Wtedy Helena wchodzi do pokoju, gdzie spodziéwa się zastać Alfreda, widzi tylko jego kartkę — czyta, rozumié. Opuścił ją, zostawił w téj otchłani piekielnéj, gdzie jéj cześć ani jednego dnia nie jest bezpieczną, ona żyć tu nie może, tém więcéj teraz ze wspomnieniem krótkiéj, ale gorącéj miłości. Wolno, skupiona w sobie, z silném postanowieniem idzie do przyległego gabinetu szwagra, skąd po chwili dochodzi jéj krzyk stłumiony. Na scenie dłuższa pauza, tylko z dwóch stron słychać jęki. Nareszcie doktór i służba usłyszeli krzyk z gabinetu, biegną tam i po chwili ktoś oznajmia o śmierci dziewczyny, która się przebiła nożem myśliwskim, ktoś drugi otwiéra okiennice i wschodzące słońce obléwa purpurą i światłem blade twarze przerażonych.

W pierwszych czasach po przedstawieniu dramat ten stał się straszydłem dla jednych, sztandarem dla drugich. Otaczał go urok zuchwałego nowatorstwa. Dziś po latach kilku, gdy twórczość autora dosięgła wyżyn poezyi, możemy się spokojnie rozejrzéć w tém dziele młodości.

Cechą jego znamienną, zaletą i wadą zarazem jest właśnie ta młodość, to jest zapał dla wyznawanych idei, bezwzględność nietylko przekonań, ale i środków, któremi one mają wnikać w umysł czytelnika, zarazem wielka śmiałość, wielka siła, a przytém pewna naiwność. Jaskrawy obraz gniazda pijackiego przypomina te średniowieczne malatury, na których djabli smażą grzeszników i rozpalonemi obcęgami pakują do kotła. Autor, jak natchniony kaznodzieja, woła: „Patrz, narodzie! jakie to złe skutki nadużyć, jakie przekleństwo do dziesiątego pokolenia!” Pesymizmu w zakończeniu sztuki nie widzę, tylko bardzo silną, bardzo wojowniczą chęć nawracania, gorące usiłowanie poprawienia ludzi na przekór im samym. Kwestya dziedziczności w ciągu dramatu wysuwa się na plan pierwszy i dzięki wielkiéj sympatyi, jaką mamy dla Heleny, ciemnieją dwie inne kwestye, które miały być głównemi: szkodliwość alkoholizmu i smutny los górników.

O tych autor tymczasem zapomniał, przypomni sobie późniéj — teraz zajmuje nas przedewszystkiém pytanie, czy dziedziczność w téj mierze istnieje jako pewnik, jak to widział Alfred, i czy nie postąpił on jak egoista?

Pytanie, co do dziedziczności nierozstrzygnięte, niepokoi największych spółczesnych pisarzy — i, zdaje się, nigdy na pewne rozwiązane nie będzie. Co zaś do Alfreda, postąpił okrutnie, ale jest psychologicznie prawdziwy; — nie ma ludzi okrutniejszych dla siebie i dla innych, aniżeli doktrynerzy.

Nie można nazwać dramatu „Przed wschodem słońca” arcydziełem, zbyt mało posiada artystycznéj miary, zanadto w nim tendencya szkodzi analizie charakterów, zbyt wielkie nagromadzenie potworności odbywa się kosztem prawdy, podbija jednak szczerością, zapałem, pobudza do myślenia, jest wielkiém, głośném wołaniem na puszczy serca szlachetnie kochającego ludzkość.

Hauptmann nazwał „Przed wschodem słońca” *ein soziales Drama*, właściwie jednak kwestya społeczna jest tu zaledwie dotknięta, ustępując miejsca zagadnieniom fizyologicznym; występuje ona dopiéro w „Tkaczach” (*Die Weber*).

Od ukazania się pierwszego dzieła Hauptmanna do wydania „Tkaczów” upłynęło lat parę, zapełnionych pisaniem dramatów psychologicznych niepospolitéj wartości; w tym czasie talent autora spotężniał, dojrzał i nabrał cechy obiektywizmu, wymierzającego równą sprawiedliwość wszystkim postaciom wprowadzonym przez siebie, jakiekolwiekby one wyobrażały idee.

Przekonawszy się o sceniczności luźnych obrazów, spróbował Hauptmann raz jeszcze téj metody w wielkiéj tragedyi historycznéj z czasów reformacyi p. t. „Floryan Geyer”.

Spodziéwano się wiele po tym dramacie, autor wielką do niego przywiązywał wagę — oczekiwania zawiodły. Sztuka wystawiona z wielkim przepychem w teatrze berlińskim upadła po kilku przedstawieniach. Setki osób wprowadzonych na scenę sprawiały zamęt nie do opisania, historya wojny chłopskiéj z XVI-go wieku mały wzbudzała interes, aktorzy nic ze swoich ról nie mogli wydobyć. W czytaniu „Floryan Geyer” również męczy i nuży. Dlaczego?

Przedmiot to przecież silnie przez poetę odczuty: wojna społeczna; myśl jego ogarnia tu horyzonty najszérsze, patrzy w przyszłość i szuka dla swych teoryi poparcia w przeszłości. Zrozumienie ducha czasu ogromne, jakby odczucie powietrza dawnych wieków, język stary, z dziwną intuicyą i z wielkim nakładem pracy i studyów odtworzony. Całe dzieło założone na fundamentach olbrzymich, prawdziwy gmach cyklopów, prawie wszystkie warunki na stworzenie arcydzieła, a jednak to wszystko nie sprawia żadnego wrażenia.

Nie ma tu bohatéra, — sam rycerz idei Floryan Geyer, protestancki wódz buntu chłopskiego, szlachcic występujący przeciw brutalne-

mu ciemięstwu ludu przez szlachtę, nietylko nie stoi przed nami jako postać samoistna, ale się zléwa z ruchem ogólnym. Trzymany w cieniu, nigdy do duszy swojéj zajrzéć nie pozwala, nigdy nie powié nic takiego, coby odsłoniło głębię jego serca. O czynach jego, wogóle o wszystkiém co się dzieje w dramacie, co się dzieje na świecie w tych czasach bogatych w wypadki, dowiadujemy się z opowiadań.

I w „Tkaczach” nie było głównéj postaci, około któréj obracałoby się wszystko, ale bohatérem był tam stan robotniczy, jasno, poprostu, wyraźnie narysowany w swoich przedstawicielach. Tu nic nie odskakuje od tła historycznego, nic się nie odznacza: żaden charakter, żaden stan nawet; jedna tylko rzecz uderza nasze oczy i zostaje w pamięci—wielka, bezgraniczna nędza moralna i dzikość owych czasów. Jest to wiele, ale nie wszystko; jest to z wielkim rozmachem szerokiego pendzla namalowane tło do obrazu, samego jednak obrazu—brakuje.

W „Tkaczach” nie ma pospolitéj intrygi, ale są ludzie żyjący, realni, prawdziwi, jest akcya zbiorowych czynów. Tu na scenie nic się nie dzieje z wyjątkiem śmierci Geyera na samym końcu; przez pięć długich aktów, poprzedzonych dłuższym jeszcze prologiem, słyszymy tylko odbicie różnych faktów w opowiadaniu i notować możemy wrażenie, jakie z nich odnoszą komparsi.

Wprawdzie w nowożytnéj sztuce nie ma komparsów, każda postać choć na dziesiątym planie powinna miéć własne życie, muszą być jednak koniecznie te plany dalsze i bliższe, musi być perspektywa, inaczéj pomiesza się wszystko i będziemy mieli malowanie chińskie.

W „Floryanie Geyerze” nietylko brak perspektywy, brak téż istoty, do któréj mogłaby się przyczepić nić naszéj sympatyi i obudzić głębszy dla sztuki interes: w tém skłębieniu zdziczałych zwierząt ludzkich, zagryzających się wzajemnie, nie ma wcale człowieka. Wszyscy są równie wstrętni: tak chłopi wyrzynający zakonników, jak rozbójnicza szlachta ubiérająca w trupy chłopskie wszystkie drzewa przydrożne, tak dowódca katolickich panów, szatański Waldburg, jak i ów Geyer stawiający wszędzie szubienice i miotający wraz z dziewczyną obozową (jedyną kobiétą w dramacie) bezgraniczne bluźnierstwa.

Autor chciał uniknąć sentymentalizmu i deklamacyi, dać pełny obraz dawnych czasów, przemówić ich językiem, ale przeciągnął strunę i — za mało powiedział.

Tragedya ta nie jest zniżeniem orlego lotu artysty, który zakłada sobie wielkie cele, ale chwilowém osłabieniem ręki zmuszonéj kuć twardy granit tradycyi historycznéj, chwilowém przyćmieniem oczu wytężających wzrok po przez mgłę wieków.

Wyobraźmy sobie dramaty historyczne Szekspira (Koriolana, Cezara), w którychby nie było nic, prócz scen ludowych, choć te sceny są przecież znakomite; wyobraźmy sobie „Ogniem i Mieczem“ bez trzech przyjaciół rycerzy, bez Skrzetuskiego i Heleny, bez Zagłoby, nawet bez wielkiéj postaci Jaremy Wiśniowieckiego—same tylko opisy rzezi, wbijania na pal, nędzy, głodu, spustoszenia wsi, zniszczenia miast i okrucieństw bez końca...

Takie to wrażenie kolosalnéj ramy do historycznego obrazu sprawia „Floryan Geyer”.

Czytając ten dramat, od początku do końca czekamy, spodziewamy się czegoś, co nie przychodzi wcale, a w tém ciągłém wyczekiwaniu tracimy interes dla całości i poczucie dla tych szczegółów sztuki, które są oddane z intuicyą i prawdą.

Przygotowaliśmy się na ujrzenie wielkiego dzieła, podziwiamy tylko wielką intencyę—i dla tego zamykamy książkę z uczuciem niezaspokojonéj ciekawości i zawodu.

III.

Na równi z kwestyami społecznemi zajmowały Hauptmanna zawsze zagadnienia psychologiczne, tragizm złożony w głębi naszéj wewnętrznéj istoty, działający więcéj na powikłania losu, niż zewnętrzne wypadki.

Przejście od społecznych do psychologicznych dramatów Hauptmanna stanowi komedya, „Futro bobrowe” (*Biberpeltz*). Jest to raczéj nowela w formie komedyi, rozłożonéj na trzy akty, chłoszczącéj biczem dość ostréj satyry krótkowidztwo i ograniczoność pruskiéj biurokracyi. Przedmiot błahy (kradzież futra bobrowego) nie przedstawia wielkich dramatycznych ani psychologicznych powikłań, akcya bardzo uboga, polegająca na tém, że złodziéj znany nam dobrze uchodzi przed okiem policyi—a jednak komedya jest wyborna, daje kilka doskonałych skończonych typów. Wszystkie one tak są wypukło przedstawione i z takiém bogactwem szczegółów, jak się to zdarza w bardzo dobrych nowelach.

Uparty, zarozumiały i głupi urzędnik policyjny (*Amtsvorsteher*), nadęty pychą szlachecką junkra pruskiego (nazywa się v. Wahrhahn), przybywa objąć swe obowiązki do wsi w okolicach Berlina, prawie na przedmieściu. Jest w téj małéj miejscowości pierwszą figurą, pragnie się odznaczyć, postanawia też sobie demaskować i karać bez litości ukrytych nieprzyjaciół porządku, zakapturzonych socyalistów. Prze-

dewszystkiém podejrzenia jego padają na młodego samotnika dr. Fleischera, poetę i filozofa, praktykującego czynnie filantropię wśród ubogiéj ludności podmiejskiéj, w którym autor odrysował własną sylwetkę.

Wszystko kręci się około kradzieży futra bobrowego. Wyniosła je i sprzedała zręczna i śmiała kumoszka, praczka pana *Vorstner'a* ten jednak, rozpaliwszy swą wyobraźnię świętą wojną przeciw ludziom „niebezpiecznym”, tropi wciąż socyalistów, złodziejom zaś pozwala nietylko kraść, ale żartować z siebie w oczy. „Futro bobrowe” jest drobiazgiem artystycznie wykończonym, nie mogącym rościć pretensyi do utworu większego znaczenia. Poznać w niém jednak można autora „Tkaczów”; wchodzimy i tu w kwestyę społeczną, tylko nie od frontu, nie wielkiemi drzwiami, ale od tyłu przez boczne schodki. Nastrój dramatyczny zastępuje werwa i humor.

W „Koledze Kramptonie wraca Hauptmann do strasznych skutków alkoholizmu, będących osią, około któréj obracał się pierwszy jego dramat: „Przed wschodem słońca”.

Nałóg tu nie rozpościera się wśród natur zezwierzęconych, ale łamie życie i wolę człowieka cywilizowanego, szlachetnego. Sytuacya prawdziwie tragiczna i po mistrzowsku wyzyskana.

Walki, która musiała być długa i ciężka, bo takie obsuwanie się moralne przychodzi stopniowo i powoli—już nie widzimy: Krampton, malarz, profesor szkoły sztuk pięknych w dużém mieście szląskiém, już jest nałogowym pijakiem, gdy zabieramy z nim znajomość.

Pije po nocach, śpi po całych dniach, zaniedbuje szkołę, nie ma za co opłacać modeli, zmarnował mienie swojéj rodziny i doprowadził ją do zupełnéj nędzy. Pozostają mu tylko dzieła sztuki w pięknie urządzonéj pracowni, ale i te po jednemu wynosi na sprzedaż Löffler, służący i totumfacki artysty.

W upadku duma nie opuszcza Kramptona, głowę nosi do góry, pamięta, że jest artystą wielkiego talentu, pogardza „dziurą prowincyonalną”, w któréj go umieściło przeznaczenie, pogardza zaśniedziałym konserwatyzmem ograniczonych „kolegów”. Przytém deklamuje o swéj wielkości i gra komedyę nawet przed samym sobą i przed wiernym Löfflerem. Typ niepospolity, pochwycony z realizmem nieporównanym i oddany nadzwyczaj subtelnie. Pomimo dumnych i zuchwałych słów, które mu z ust nie schodzą, ma on poczucie swéj winy i upadku.

Wskutek własnéj jego lekkomyślności, nieszczęścia walą się na niego jedne po drugich: traci miejsce profesora w szkole, książę panujący, zwiedzając prowincyonalne miasto, który znał Kramptona w dniach

promiennéj młodości, odwraca się teraz od niego, komornik zabiéra mu wszystko, pieczętuje mieszkanie i pracownię. Żona (niewidzialna na scenie), cnotliwa i pyszna „dama”, z szlacheckiego rodu, opuszcza go i odjeżdża z dwiema córkami do swoich rodziców. Trzecia, najmłodsza córka Gertruda, pragnie iść za ojcem i pracować dla niego; gdy wszyscy go potępiają, ona jedna kocha go i chce z nim cierpiéć. Krampton nie przyjmuje jéj ofiary, odsyła ją do matki, a sam w towarzystwie wiernego Löfflera ginie w wielkiém mieście. Zamyka się w knajpie podrzędnéj, maluje szyldy karczmarzom, pije i czyta romanse sensacyjne dla zabicia czasu.

Tu w wielkiéj nędzy i poniżeniu odnajdują go dobrzy ludzie, przyjaciele Gertrudy, która nie pojechała do matki, ale pokochawszy młodego malarza, Straelera, niegdyś ucznia Kramptona, szuka ojca z pomocą wielce idealnego brata swego narzeczonego. Ten starszy Straeler, poważny, dobry i rozumny, to obraz własnego brata poety, który lubi bardzo rysunek z natury.

Wprowadzony przez córkę, wierzącą że można ojca ocalić, w nowe warunki życia, otoczony dziełami sztuki wśród artystycznie urządzonéj pracowni, patrząc na cudnie piękną miłość dwojga dzieci, na prawdziwą idyllę, stary Krampton odradza się moralnie, ogarnia go gorączka twórczości i bierze się do pracy.

Scen wzruszających, głęboko odczutych, pełno w tym pięknym dramacie. Dla polskiego czytelnika wrażenie zgrzytu żelaza po szkle sprawia epizodycznie wprowadzona postać pedla szkolnego Janeckiego, obłudnika, wyzyskiwacza i lichwiarza, o słowiańskich rysach i polskim akcencie. Postać Janeckiego ma racyę bytu w dramacie, mógł on egzystować, mogło się nawet zdarzyć, że był polakiem: ale uogólniać w nim i podnosić do znaczenia typu charakter tak mało słowiański, tak mało polski, mógł tylko ostry szowinista germański, jakim się tutaj poeta okazał.

Już nie sama psychologia, ale patologia jest przedmiotem „Święta pokoju” (*Friedenfest*). Wiele pisano o tém, czy zboczenia umysłowe i stan chorobliwy człowieka może być przedmiotem sztuki. Nad temi rozprawami naturaliści francuscy przeszli do porządku dziennego, a Hauptmann poszedł ich śladem.

Obraz to rodziny, któréj ojciec dotknięty jest lekką anormalnością umysłową, szlachetny zresztą, wykształcony, nie zupełny waryat, ale maniak gwałtowny i nieugięty.

Dręczy żonę, która znów zraża go, drażni i do szaleństwa doprowadza ograniczeniem umysłowém, małostkowością i brakiem poczucia dla wyższych celów ludzkich, tyranizuje dzieci, nie mając ani cierpliwości, ani logiki wychowawcy. Synowie i córka odziedziczyli usposo-

bienie ojca: nadzwyczajną wrażliwość i drażliwość — co wywołuje ciągłe kłótnie, dzikie wybuchy, wzajemną nieufność i nienawiść i zamienia dom ten w istne piekło.

Nie mogąc znieść dłużéj wspólnego pożycia, rozbiegają się wszyscy po świecie — matka zmęczona, zdenerwowana, prawie zidyociała pozostaje w opustoszałym domu i z nią córka, starzejąca się, zgorzkniała panna; ojciec w bezustannych podróżach krąży po świecie, synowie o własnych siłach, bez pomocy rodziców przebijają się przez życie. Starszy jest muzykiem, młodszy dziennikarzem. Żaden z nich nie może zapomniéć zajść familijnych, które ich z domu wygnały. Każdy stara się winę zwalić na drugiego, a sam przed sobą nie może się jednak usprawiedliwić, i wszyscy, ilu ich jest, czują, że ciąży nad nimi tajemnicza jakaś a straszna potęga, „krew przeklęta", fatum niezwalczone, które ich paraliżuje, przytłacza do ziemi i podburza wzajemnie przeciwko sobie.

Po kilku latach rozłąki zjawiają się w domu i obaj synowie i ojciec, pchnięty dziwném przeczuciem. Jest to wilija Bożego Narodzenia, święto pokoju. Jeden z synów Wilhelm, artysta, ma narzeczoną, prawdziwy ideał kobiécości, która sobie wraz z matką swoją ułożyła plan pojednania téj dziwnéj rodziny.

Udaje im się to — na krótko. Wzruszenie ogarnia wszystkich, nienawiść i żal ustępują uczuciom miękkim, po to tylko, aby przy pierwszéj sposobności, tego samego dnia jeszcze wybuchnąć powracającą spienioną falą gniewu, obelg i przekleństw. Uniesienie ojca dochodzi do szału, szał kończy się furyą i śmiercią.

Młody muzyk, najwięcéj delikatna dusza z nich wszystkich, wśród ciężkiéj walki wewnętrznéj dochodzi do przekonania, że powinien rozłączyć się ze swą ukochaną, dziedziczność staje między nim a szczęściem. Chce uciec — obezwładnia go i zatrzymuje wola dziewczyny, jéj miłość mocna jak śmierć, ze śmiercią i szaleństwem walczyć gotowa. To czego się uląkł i przed czém się cofnął Alfred Loth, walka z dziedzictwem krwi, podjętém zostaje przez tę młodą parę.

Przez usta zazdrosnego brata młodszego stawia im autor pytanie: „czy dobrze robią?" Oni nie mogą zrobić inacźej, nie dadzą się rozłączyć straszącemu widmu—dusze ich zrosly się z sobą, nie jest to miłość, która się zaczęła o zachodzie, skończyła przed „wschodem słońca".

Całość napisana żywo, zajmująco, nawet przejmująco, sprawia niezatarte wrażenie.

Szczegóły realistyczne znakomite, charaktery wystudyowane drobiazgowo, mimo wspólnych cech familijnych, każda jednostka ma wy-

bitną indywidualność. Uczucia narzeczonych, głębokie a czyste, oddane są z poezyą, subtelnością i prawdą, jak zawsze gdy Hauptmann o miłość potrąci.

„Święto pokoju” nie było przedstawiane w teatrze berlińskim, na wolnéj tylko scenie doczekało się kilkunastu przedstawień. Można tego żałować; męczące jest niewątpliwie, mniéj jednakże od „Upiorów” Ibsena, sceniczne niezmiernie, typowo nowoczesne, a nie może obrażać ani uczuć moralności, ani poczuć estetycznych.

Najważniejszym i najpiękniejszym z psychologicznych dramatów Hauptmanna są: „Samotni ludzie” (*Einsame Menschen*) a raczéj „Samotne dusze”, bo to historya tych dusz skomplikowanych, złożonych, którym prosta droga nie wystarcza, które fantazya unosi i wykopując przepaść między nimi a najbliższém otoczeniem, tworzy tragedyę rodzinną.

W „Samotnych” daje nam Hauptmann całego siebie; trochę to skarga, trochę spowiedź... Są takie istoty przepaściste, pragnące odgadnąć zagadkę wszechbytu i dotrzéć do prawdy bezwzględnéj, a rozbijające się o granice ludzkiego poznania; wiecznie niespokojne, wiecznie spragnione doskonałości, szukające szczęścia po za warunkami możliwemi, dążące w górę, aby co chwila spadać na dół, męczące serca własne, depczące serca drugich w téj nieustannéj pogoni za ideałem.

Ideał ten przedstawia im się jak słońce, ku któremu wyciągają ramiona, chcąc napoić się światłem, a światło oddala się, staje nieuchwytne, zamienia w błędny ognik i wiedzie na grząskie bagna. W tych walkach z własném sercem, z namiętnością, z trudnościami bytu, z nieufnością otoczenia tysiące dusz samotnych pada, łamie się i marnuje; na tysiąc — jedna odrywa się od ziemi, aby jako gwiazda promienna geniuszu świécić ludzkości i prostować jéj drogi. Na tysiąc — jedna! A dla stworzenia téj jednéj, tysiące innych musi szukać około siebie, macać po ciemku, rozbijać się i — ginąć. Są o buntownicze duchy — wieczni niezadowoleni, drożdże ludzkości, za pomocą których ona jednak urasta, które ją męką wewnętrzną, fermentem swoim pchają naprzód. Bez nich nie byłoby postępu. Jakże często jednak wiodą oni siebie i drugich na manowce, gdy w sercu pali im się nie wielka miłość idei, ale zamaskowana miłość własna, egoizm zaczajony pod hasłem niezależności i protestu przeciw przesądom, połączony z przecenieniem sił i zdolności własnych.

Tak się stało z Janem Vockerat, bohatérem „Samotnych”. Ukochany to jedynak, długo upragnione dziecko pobożnych, serdecznych, szczerze dobrych ludzi. Wychowany w cieplarnianéj atmosferze miłości rodzinnéj, w któréj chuchano na niego, jak na kwiat rzadki, już w pierwszéj młodości staje w kolizyi z tradycyą domu i uczuciami ro-

dziców. Cieszyli się oni jego wyjątkowemi zdolnościami, dawali mu wykształcenie teologiczne, przeznaczając go na pastora. Tymczasem Jan traci wiarę, czytując pozytywistów i przyrodników współczesnych, marzy o napisaniu wielkiego dzieła filozoficznego i zawiązuje stosunki przyjaźni z socyalistami. To wykopało między nim a rodziną przepaść, którą jednak dobroć i łagodny optymizm rodziców, spodziéwa się powoli zasypać. Pozwalają mu się ożenić bardzo młodo z pierwszą ładną panienką, którą się chwilowo zajął, i obrać zawód uczonego; uchylają od niego wszelkie troski materyalne, dostarczają środków na utrzymanie, wierzą, że młoda żona i uczucia rodzinne uspokoją jego zwichrzoną duszę: „niech robi co chce, pisze co chce, byle tylko był szczęśliwy”.

A tymczasem modlą się gorąco, aby mu wróciła—wiara.

Ale i wiara nie wraca, i miłość nie daje szczęścia Janowi.

Biedna mała Kasia zanadto go kocha, za bardzo ulega, za mało mu imponuje. Jest mu zupełnie oddana, ale nie umié go zdobyć, a chociaż w jéj charakterze nie ma żadnych małostek, miłość tylko i poświęcenie, nudzi go jednak wkrótce i męczy. Jego mądrość onieśmiela ją tak dalece, że jest ciągle wystraszona, czuje, że mu nie wystarcza, i cierpi, bo żyje tylko dla niego i przez niego.

Przypadkiem do tego domu zamieszkanego przez samych szlachetnych ludzi, zamęczających się wzajemnie, wchodzi młoda kobiéta, studentka (Anna Mahr), śmiała, samodzielna, rozumna, a mimo to pełna kobiecego wdzięku.—I dusza Jana odrazu przestaje być „samotną”; od pierwszego spojrzenia porozumiała się z drugą duszą. Miłość nagła a wielka spływa na oboje odrazu i potężnie.

Wśród tragicznéj walki obowiązku i uczucia, porywów dobrego serca z egoistycznemi pragnieniami łamie się cała istota moralna Jana. Anna jest silniejsza. Przywykła iść sama przez życie nie chce dla swego szczęścia deptać po cudzych sercach, szanuje prawa rodziny i pożegnawszy ukochanego z szlachetną prostotą, odważnie schodzi mu z drogi. Jan nie ma tego hartu duszy, który pozwala cierpiéć i żyć z cierpieniem; pierwsze prawdziwe nieszczęście łamie mu siłę życia.

Dotychczas bezgraniczne przywiązanie rodziców i żony, usuwając mu z drogi wszystko, coby mogło go zranić, zmiękczyło mu charakter. Zatopiony w analizach własnéj duszy i w kontemplacyi świata, mało stykał się z życiem.

Pierwsze surowe dotknięcie rzeczywistości zabiło go. Przyrzekł Annie, że będzie pracował z podwójną energią nad swojém dziełem filozoficzném, że będzie szedł ciągle w górę i Kasię za sobą pociągnie ośmieli i rozwinie — przyrzekł — i nie dotrzymał. Zbyt silna była,

rozpacz po jéj wyjeździe — nie mógł żyć. Willa, w któréj mieszkał, przeglądała się w jeziorze, po którém woził Annę łódką, przy świetle księżyca; głębia nęciła go zbyt silnie i pociągnęła na zawsze.

Czy serce nie pękło biednéj Kasi, gdy woda wyrzuciła jego zwłoki? Jak potém żyli ci rodzice, których światło zagasło? Jan nie myślał nad tém, wsiadając do łódki, która go zawiozła na „wyspę cieniów”. Słaby był, nie widział nikogo po za sobą — ten jednak tylko ma prawo rzucić kamieniem na grób jego, kto się nigdy nie ugiął i nie zachwiał pod ciężarem nieszczęścia.

Autor, który z rzadką bezstronnością i szczerością odsłonił wszystkie jego słabe strony, darzy go jednak pełną swoją sympatyą i chce, abyśmy także z nim weszli w tę duszę skomplikowaną, zrozumieli ją i rozgrzeszyli.

Na początku nawet w formie dedykacyi przemawia do czytelnika: „Książkę moją kładę do ręki tych, którzy wszystko co w niéj jest czuli i przeżyli”....

Bo téż w dramacie tym jest dla autora coś więcéj, niż objektywna analiza, jest krew jego serdeczna, życie jego duszy.

Jan nietylko dla tego jest nieszczęśliwy, że go nie rozumieją ani rodzice, ani żona, ale że jego pracę lekceważą przyjaciele młodości, ci właśnie, którzy go oderwali od rodziny, popchnęli na drogę samodzielnego myślenia i zrobili tém, czém był.

Teraz rozeszli się; tamci zajęci poprawą społeczeństwa, zdążają ku swemu celowi za pomocą polityki rewolucyjnéj, a wszelką spekulacyę, naukę, sztukę uważają za stratę czasu, za nieużyteczną a nawet grzeszną zabawę. Jego umysł poszedł daléj, pragnie syntezy i wszystko to, co zdobył wewnętrznie i przemyślał, chce oddać w swych dziełach. Ślad to osobistych starć autora z tymi, którzy od szkolnych czasów pociągali go ku sobie — z socyalistami. W miarę jak talent jego dojrzewał, jak ustalał się w sobie, jak zrywał powijaki tendencyi i wznosił się do prawdziwego, niezależnego artyzmu, rozluźniały się coraz bardziéj węzły łączące go z dawną drużyną przyjaciół i mnożyły przeciwko niemu zarzuty odstępstwa.

Przez usta Jana woła on, że do poczucia się w swéj sile, do wypowiedzenia się zupełnego potrzebna jest człowiekowi idei sympatya, odczucie i zrozumienie; samotny męczy się i szarpie, niepodtrzymywany słabnie i wątpi o sobie. U Jana szalone pragnienie indywidualnego szczęścia nie jest pojęte jako chęć użycia, ale jako dążenie do udoskonalenia się, do wszechstronnego rozwoju i rozwinięcia wszystkich władz duszy — jakby wypromienienia się téj duszy w pracy.

Dlatego broni on tego swego szczęścia przeciwko prawom rodziny, przeciw jéj tradycyom, dlatego, uważając je za najwyższy rozwój duchowéj istoty, chciałby pogodzić je ze wszystkiemi swojemi uczuciami, a nie widzi, że przed nim otwiéra się przepaść.

Samotność duszy Jana nie jedyny to konflikt dramatu.

Równéj z nim siły i tragiczności jest wielkie uczucie Kasi, któréj nie chodzi ani o prawa, ani o obowiązki, która kocha męża nad wszystko i zamiéra powoli, czując, że mu wystarczyć nie może.

Poczucie własnéj bezsilności zabija jéj szczęście daleko wcześniéj, zanim nowa miłość odebrała jéj serce Jana, i tu wysuwa się teraz kwestya emancypacyi kobiet.

Anna i Kasia są przedstawicielkami dwóch kierunków wychowania: obiedwie równie szlachetne, tylko jedna umié sobie dawać radę sama, ogarniać myślą najszersze horyzonty, podtrzymywać w walce z ludźmi i nawet z własném sercem ukochanego mężczyznę, druga dla niego chętnie poświęciłaby życie... ale zrozumiéć go nie umié, wziąć na swoje ramiona całego ciężaru praktycznego życia, aby jemu było swobodniéj w idealnym świecie, także nie może, bo sama na każdym kroku potrzebuje opieki. Kasia jest wcieleniem wdzięku, uczucia — prawdziwéj kobiecości — nie w jéj mocy jednak stać się podporą męża; dla silnego, praktycznego i dobrego mężczyzny byłaby ideałem, dla genialnéj, nerwowéj a słabéj natury Jana staje się kulą u nogi.

Takie tu bogactwo studyów psychologicznych, że nawet na drugim planie stojąca postać Brauna, malarza socyalisty, daje do nich pole. Jest to przyjaciel Jana, jeden z tych wielu, którzy się gorszą jego pracą naukową, nie rozumiejąc jéj i pragnąc skierować jego działalność w stronę polityki socyalnéj.

Wpływ jego działa ujemnie na Jana, zniechęca go, odbiéra mu wiarę w siebie, jest bardzo silny. Niweczy go dopiéro wpływ Anny — i wtedy zaczyna w grę wchodzić odwieczna niechęć i nieufność, jaką mężczyźni uczuwają do żony lub kochanki przyjaciela — i na odwrót. O Kasię Braun nie potrzebował być zazdrosny, prędzej ona o niego, ale względem Anny zazdrość jego objawia się odrazu z wielką siłą i z tego nieprzyjaciela wszelkich pęt obowiązku robi surowego rzecznika sprawy moralności.

Ostatecznie w „Samotnych" zwyciężają zasady społeczne, a oprócz zasad coś więcéj jeszcze, co po nad niemi stoi. Jan, straciwszy wiarę, nie ma żadnéj podpory wewnętrznéj, namiętność zwycięża go odrazu— za szlachetny jest aby upaść — umiéra.

Ibsenowskie „białe konie z Rosmersholmu”, to jest niezwalczony wpływ tradycyi rodzinnéj, przeciągają z tententem przez cały dramat; one to zawracają na utarte szlaki tych, co pragnęliby sobie torować drogę nową wśród gór niedostępnych — one ich tratują ostrém uderzeniem kopyt...

W ogóle cała ta walka jednostki ze społeczeństwem o wolność osobistą przypomina wiele dramatów Ibsena; od wszystkich jednak sztuk ibsenowskich mają „Samotni” więcéj jasności i prawdy życiowej.

Hauptmann nie olśniewa nas paradoksem, ale wzrusza prostotą i tragicznością swych postaci. Wszystkie one są prawdziwe, wszystkie narysowane z szczerym realizmem, notującym słabości ludzkie, poruszenia próżności i bezwiednego egoizmu, istniejące obok wzniosłych stron charakteru. Tragiczność wypływa z powikłania stosunków życiowych, ze ścierania się tego, co każdy dla siebie uważa za bezwzględną prawdę, światłość i cel swego życia.

„Samotni ludzie” zdobyli wszystkie sceny niemieckie i po części inne europejskie, a najznakomitsi spółcześni artyści dramatyczni odtwarzają trudną rolę Jana.

IV.

Anna Mahr w „Samotnych” mówi, „że żyjemy w ciekawych czasach, coś dusznego, tłoczącego, co jak kamień przygniatało piersi ludzi spółczesnych, powoli usuwa się, ustępuje, parne powietrze rozwiéwa prąd świéży, jakby już, zalatujący oddech dwudziestego wieku. Ludzie, którzy z jednéj strony żyli w bezbrzeżnym strachu, z drugiéj w dzikim fanatyzmie, zaczynają się sobie przyglądać z mniejszą nieufnością”. Zapowiedzi téj nowéj ery są jeszcze bardzo słabe, nieznaczne, w polityce naprzykład nie widać ich bynajmniéj, nie jest to jeszcze nowy, bystry prąd prujący fale czasu, dopiéro lekkie, szeroko zataczane koła wody marszczonéj wietrzykiem, w których się przegląda wiosenne słońce.

Powstaje nowa sztuka pełna symbolów: wyrosła na gruncie krańcowego realizmu, wyciągnąwszy z niego wszystkie soki, wystrzela ku niebu kwiatem mistycznym. Czasem jest naiwna jak dziecko, czasem głęboka jak morze, to znów poważna jak kościół gotycki, a najczęściéj ciemna, jak gęsty, poplątany las olchowy. Wśród tajemniczéj mgły myśl przedzierać się musi na jasność dzienną, a odnalezienie jéj wymaga pewnéj pracy i odpowiedniego nastroju.

Symboliści francuscy i belgijscy, pod wodzą Maeterlinka, przemówili pierwsi tym językiem — a dziś młode Niemcy, z Przybyszewskim na czele, płyną tym okrętem z rozwiniętemi żaglami na pełne morze. I w innych dziedzinach sztuki kierunek ten przemożnie panuje, walcząc z rutyną, schematyzmem, z tradycyą akademicką, utrzymując umysły w stanie nieustannego wrzenia, napięcia, dążenia do form nowych.

Czémże on jest?... Nazywamy go modernizmem, w braku innéj, niewynalezionéj jeszcze nazwy. Wyraz ten elastyczny nic nie tłómaczy. Oznacza jednak coś, co zmienia się jak fala, jak odbicie kolorów w opalu, a wyraża zawsze ducha czasu, ducha chwili, którą chwyta w przelocie.

Przed laty dwudziestu kilku we Francyi, a przed dziesięciu zaledwie w Niemczech, modernizm był śledzeniem rzeczywistości i oddawaniem jéj jak najplastyczniejszém we wszystkich jéj objawach — był naturalizmem.

W obecnych, najnowszych czasach jest westchnieniem zmęczonych dusz za nowém źródłem świeżéj wody, umyślną prostotą, oczekiwaniem odrodzenia, osłoniętém w formę złożoną z gazy mglistéj i z różanych przebłysków jutrzenki.

Na granicy realizmu i modernizmu stoi Hauptmanna „Hanusia” (*Hannele*) poemat dramatyczny łączący w sobie wszystkie nastroje spółczesne z cechą dotykalnéj prawdy.

Hauptmann poszedł za najnowszym kierunkiem, biorąc jego poetyczność, symbole, prostotę i formy mistyczne, ale pozostał sobą, to jest jasnym, przejrzystym i dosadnym. Nie stworzył legendy, ale ucieleśnił i przedstawił nam przed oczy marzenia gorączkowe umierającego dziecka.

Marzenia te, uosobione, mają powiewność poetycznych kreacyi i plastyczność postaci ludzkich i nic im ta dwoistość nie szkodzi.

Na scenie sprawiają wrażenie olbrzymie, niezatarte, ku czemu są wielką pomocą bogate środki techniki dekoracyjnéj i cudowne efekty kolorystyczne; w czytaniu przejmują serdecznem wzruszeniem i unoszą wyobraźnię w zaświatową krainę, pełną niezakłóconéj harmonii.

Któż nie zna „Hanusi”? Przetłómaczona na wszystkie języki, obiegła europejskie sceny.

Biedna ta dziewczynka trzynastoletnia po śmierci matki pozostała na łasce ojczyma pijaka, który ją zamęczał pracą nad siły, bił i prześladował. Nieszczęśliwe dziecko, nie mogąc znieść strasznego losu, rzuciło się do stawu; uratował je ktoś przechodzący, a nauczyciel wiejski przyniósł do gminnego przytułku dla ubogich i oddał pod opie-

kę dyakonisy. Tu Hanusia, leżąc w gorączce, przechodzi wspomnieniem swoje biedne życie, ma widzenia: to straszne—wygrażającego jéj ojczyma, to słodkie -- zmarłéj matki. Widzi śmierć, jako pięknego anioła z czarnemi skrzydłami, i choć pragnie umrzéć, ma jednak chwilę zalęknienia przed wielką powagą téj postaci. Potém widzi siebie leżącą w szklanéj trumnie, w szacie wspaniałéj, jaśniejącą światłem nadprzyrodzoném, otoczoną aniołami śpiéwającemi cudne pienia — obraz godny witrażu w najwspanialszéj katedrze. W końcu wchodzi postać nadzwyczajna, prosta a jasna, w któréj boskie rysy Chrystusa mieszają się w sennėm widzeniu umierającéj z rysami dobrego wiejskiego nauczyciela. Chrystus bierze dziewczynkę za rękę, podnosi, anieli ją podpierają i, śpiewając, w tryumfie prowadzą do nieba. W téj chwili dyakonisa widzi, że chora głębiéj westchnęła i że uśmiech zakwitł na jéj bladéj twarzy — umarła.

Gorszyło się wiele osób wprowadzeniem Chrystusa na scenę.

Zdaje mi się jednak, że Hauptmann, tworząc postać złożoną, jaką często we śnie widzimy, dając boskiéj osobie rysy nauczyciela, uniknął niesmacznego wrażenia, drażniącego nas w różnych nowych poematach francuskich. Tam rzeczywiście Magdalena kochająca swego Mistrza ziemską miłością, Samarytanka przemawiająca do niego pięknemi aleksandrynami, albo Sara Bernhard grająca na scenie rolę Matki Boskiéj są nie do zniesienia. Tutaj szkopuł jest ominięty — skrupuły zdają się zbyteczne, — całość zléwa się w obraz doskonale poetyczny.

„Hanusia" już dowiodła, że autor realistycznych dramatów jest poetą z „bożéj łaski", ale koroną jego działalności poetycznéj jest „Dzwon zatopiony", dzieło prawdziwego natchnienia, poemat najdonioślejszy w znaczeniu, najgłębszy w pomyśle, najpiękniejszy formą, jaki w ostatnich czasach pojawił się w literaturze nietylko niemieckiéj, ale ogólno-europejskiéj.

Krytyka niejednokrotnie porównywała poemat ten z Faustem, choć „Dzwon" doniosłości filozoficznéj Fausta nie posiada, bo nie obejmuje duszy zbiorowego, typowego człowieka i zstępuje specyalnie w duszę artysty. Przez to właśnie ma wielką cechę nowoczesności, modernizmu: dzisiaj artyści więcéj niż kiedykolwiek lubią mówić o sobie i karmić naszą ciekawość kawałami swego życia. I ten „Dzwon" Hauptmanna dźwięczy nutą skargi osobistéj, a echa odczutych i przeżytych cierpień odzywają się w nim ciągle. Wydzwania on tęsknotę artysty do ideału w sztuce i rozbijanie się jego wśród ograniczeń czasu

i formy; wydzwania walkę człowieka z własném sercem i zwycięstwo namiętności...

Już raz poeta sięgnął po ten sam temat i stworzył „Samotnych”, a widocznie czuł, że go jeszcze nie wyczerpał, bo wraca do niego, opiérając go teraz na podstawach szerszych i traktując mniéj realnie, a więcéj poetycznie, jako czarodziejską bajkę dramatyzowaną.

Oprócz wspomnienia walk i cierpień Jana Vockerata, które widocznie żywo jeszcze poruszały serce poety, jest jeszcze inna geneza „Dzwonu zatopionego”.

Rok niecały oddziela tylko ukazanie się tego poematu od upadku na scenie Floryana Geyera.

Hauptmann bardzo żywo i boleśnie uczuł to niepowodzenie. Wyjechał do Lugano i tam z gorączkową szybkością pracował nad tym nowym poematem, w którym odnaleść możemy ślady nietylko dawnych cierpień, ale i najświeższego zawodu.

Jak w życiu, tak i w sztuce „Dzwon”, dzieło wielkiéj pracy „mistrza Henryka”, przedmiot jego najdroższych nadziei, nie dostał się na wieżę kościelną, przy pierwszém usiłowaniu zawieszenia obsunął się w przepaść, utonął — upadł jak Floryan Geyer.

I naodwrót tak w sztuce, jak i w życiu, mistrz Gerhard z szczerością i jasném spojrzeniem geniuszu uznał upadek ten za ostateczny i, odcierpiawszy utratę „dzwonu”, nie poszedł go ratować, zostawił w głębi wód i wziął się do budowania doskonalszego dzieła — świątyni.

Tym razem zwycięstwo było zupełne, nowe dzieło opanowało świat. Powodzenie „Dzwonu zatopionego” przeszło oczekiwanie poety, stało się dowodem, że trafił on na nerw ostatniéj chwili i wyraził artystyczne zagadnienia naszych czasów w najnowszéj formie.

Wśród ogólnych uwielbień, odezwało się jednak kilka głosów niezadowolonych i zdziwionych nowém brzmieniem „dzwonu”. Nuta jego wydawała im się zbyt wysoką, za mało „naturalną”, to znów przypominała jakichś starych dzwonów głosy. Słyszeli ją już w „Fauście”, słyszeli w „Śnie nocy letniéj”. Krytyki te pochodziły właśnie od niektórych przyjaciół i wielbicieli poety, od tych co przed dziewięciu laty witali w nim nową gwiazdę, twórcę niemieckiego naturalizmu. Ale od 1889 roku myśl Hauptmanna zakreśliła szerokie koło, wyprzedziła znów przyjaciół i poszybowała w wyższą krainę, a zawsze idąc z duchem czasu, zawsze tego ducha prowadząc, stała się teraz wcieleniem ostatnich prądów.

Co „Hanusia” zaznaczała, rozwinęło się teraz w „Dzwonie” w pełną melodyę i zadźwięczało światu pieśnią nową.

Zaledwie wierzyć można, że ten sam Hauptmann, który nieraz Zolę wyprzedzał w brutalności akcyi i słowa, stworzył tę baśń tęczową, złożoną naprzemian z promieni słonecznych, z brylantów drżących w kroplach rosy i z minorowych akordów, rozbrzmiewających w duszy genialnego człowieka.

To téż ludzie, którzy całe życie trzymają się jednéj myśli estetycznéj, gdy ta raz im się dostanie do mózgu, ludzie podobni do Brauna w „Samotnych", wzięli poecie za złe jego zmianę nuty, jego artystyczną wolność. Brakowało im w nowym poemacie kwestyi społecznych i dokumentów ludzkich, gorszył ich nawet ten cudnie piękny język poetyczny i rytm oryginalny a dźwięczny.

Wszystko to wydało im się powrotem do form dawnych.

Ale poeta nie był już Janem Vockerat i pomimo wszystkich Braunów szedł śmiało, znał wartość swego dzieła, czuł, że go rozumieją „młodzi", których od lat dziesięciu dorosła nowa generacya.

„Dzwon zatopiony" ma pewne podobieństwo formy ze wszystkiemi poematami fantastycznemi, w których zjawiają się duchy gór i lasów: z „Burzą" i „Snem nocy letniéj" Szekspira, z „Balladyną" Słowackiego, z „Per-Gyntem" Ibsena, nie tracąc przez to cech swéj potężnéj samodzielności. Nowoczesny jest w nim sam przedmiot: wewnętrzne dzieje artysty, nowoczesném nastrojowe pojmowanie natury, oryginalną forma rytmicznego wiersza. Nigdzie nie można dopatrzyć naśladownictwa. Postaci istot nadprzyrodzonych wzięte z odwiecznych podań niemieckich i to nadaje „Dzwonowi", pomimo ogólnoludzkiego tematu, taką odrębną, narodowo-germańską cechę.

Historya to młodego artysty w czasie nie jasno określonym, w każdym razie nie współczesnym. Czarownice mieszkają jeszcze wówczas w miejscach odludnych i bywają palone na stosie.

Protestantyzm panuje już w Niemczech. Rzemiosło i sztuka nie odgrodziły się od siebie jeszcze tak ściśle jak dzisiaj; rzemieślnik często tworzył rzeczy skończenie piękne, był „mistrzem".

Henryk, mistrz - artysta, odlewacz dzwonów kościelnych, mieszka w małéj wiosce górskiéj, u stóp niebotycznych olbrzymów. Temat oparty na tych samych motywach, co „Samotni ludzie", zyskuje teraz, staje się głębszym i naturalniejszym przez to, że Henryk nie jest szukającym swéj drogi marzycielem, jakim był Jan Vockerat, ale artystą skończonym i sławnym. Imię jego znane wszędzie, gdzie chwałę bożą głosi śpiżowy dźwięk dzwonów przez niego ulanych. Ma wszystkie warunki szczęścia: prócz sławy i dobrobytu, piękną żonę i dwoje dzieci. A ta żona (Magda) jest więcéj niż dobrą: rozumie duszę męża, przejęła się jego aspiracyami, cieszy sławą, martwi niepowodzeniem, a za-

wsze myśli o nim, nie o sobie. Wszystko, co pospolite i powszednie w życiu, bierze na siebie, aby jéj ukochany mógł tém swobodniéj wznosić się orlemi loty w krainę doskonałéj i czystéj sztuki. Nie jest to biedna Kasia, ale kobieta rozumna i poświęcona, prawdziwa towarzyszka wielkiego człowieka. Henryk jednakże szczęśliwym nie jest i téj wyjątkowéj żony nie kocha. Czci ją, uznaje, kochał kiedyś — ale dziś nie kocha. Tragiczny smutek tkwi w téj myśli, że fantazya artysty nie może żywić się ciągle tém samém, choćby najpełniejszém i najpiękniejszém uczuciem. Fantazya ta chce mieć wolność ptaka szybującego w powietrzu, wytwarza nowe ideały, tęskni do nich, pragnie ich wcielenia. Do tego łączy się wieczne niezadowolenie ze swéj sztuki, niezadowolenie będące zadatkiem postępu, a zarazem ogniem czyścowym dla dusz artystycznych, w którym palą się ich serca.

Gmina postanowiła wybudować kościół wysoko w górach, aby głos dzwonu odbijał się o przepaści i, rozlegając się na wiele mil w około, zwoływał wiernych na modlitwę.

Kościół skończony i dzwon ulany, pozostaje go tylko wciągnąć na wysoką górę i zawiesić. Ale ten kościół w górach i zwycięski głos dzwonu nie podoba się duchom górskim i leśnym, zamieszkującym dotąd niepodzielnie tę niedostępną krainę. Duchy te są wcieleniem bogatego, wolnego, pełnego rozmaitości życia natury. Życie to samoistne nie daje się naginać do żadnych praw religijnych i społecznych: ono poddaje się tylko prawom własnym, niezłomnym jak śmierć, nieuniknionym jak zmiana pór roku.

Są to te same duchy, które widziały Walhallę padającą w gruzy i patrzyły na dzieje Niebelungów.

Przed tryumfalnym pochodem krzyża chroniły się coraz daléj i wyżéj w lasy świerkowe, w głąb górskich potoków i w chłodną ciszę grot skalnych.

Tam ich królestwo jeszcze: tam o zmroku słychać ich głosy, widać pląsy Elfów przy świetle księżyca i kuźnie górskich karłów, w których ukryte przed ludzkiém okiem kruszce przetapiają się na różne czarodziejskie ozdoby. Baśń germańska snuje z zamiłowaniem dzieje tych istot, poezya zżyła się z niemi, a żaden wielki poeta niemiecki nie mógł się obejść bez tego świata stworzonego fantazyą ludu.

Czerpali z niego przed Hauptmannem Göthe, Heine i Wagner.

Jeden z takich złośliwych duchów, zwany przez Hauptmanna Waldszrat (niemiecki faun leśny), zaczepił koła wozu ciągnionego przez ośm strudzonych koni nad brzegiem przepaści. Na wozie tym był złożony dzwon, ostatnie dzieło mistrza Henryka. Dzwon pochylił się, zadźwięczał, spadł z wozu i runął do świécącego w głębi przepaści

jeziora. Za wozem wpadł i sztukmistrz, ale nie stoczył się na sam dół, tylko zaczepił o jakieś wystające urwisko i zniknął w lesie pokrywającym stoki góry. Błąkał się długo po dzikiéj okolicy, nareszcie umiérający prawie ze znużenia spotkał cudowne zjawisko.

To Rautendelein (po staro-niemiecku Rothäunchen), pół-dziecko, pół-dziewica, najpiękniejsza z Elf, wcielenie wiosny i poezyi.

Spojrzawszy na nią, uczuł artysta, że to jest także wcielenie jego ideału, który przeczuwał, za którym tęsknił. Gdy przemówiła, poznał dopiéro, czém może być muzyka głosu, i zrozumiał, dlaczego ten dzwon zatopiony nie wydawał mu się dość dźwięczny; — dzieło tak wielbione przez ogół wywoływało w swym twórcy uczucie braku i zniechęcenia.

W téj chwili doznał tak wielkiego szczęścia, iż zdawało mu się, jakby to śmierć nadchodziła, i — zemdlał. I nie czuł, nie widział, że po niego przyszli ludzie z wioski: pastor, nauczyciel i chłopi, którzy go odszukali w tém bezludziu i zanieśli do domu.

Przyszedłszy do przytomności, uczuł się rozbity i słaby; zrozumiał, że musi umrzéć. Nie żal mu życia, bo wié teraz, że nie potrafi stworzyć nic tak doskonałego, jakby pragnął: poznanie boginki dało mu nową miarę artystyczną. Żona czuwa przy nim.

W téj scenie bezmierne uczucie Magdy wybucha z całą siłą. Ona nie może pozostać sama na świecie i żyć bez niego. On odpowiada jéj z dobrocią, ale chłodno, że powinna żyć dla dzieci.

Wchodzi Rautendelein w postaci dziewczyny sprzedającéj poziomki. Magda wybiega na chwilę po spóźniającą się lekarkę i prosi nieznajoméj dziewczyny, aby popilnowała chorego.

Rautendelein gotuje napój czarodziejski, daje go wypić Henrykowi i całuje go w oczy. Tym pocałunkiem budzi go do życia; młodzieńcza siła wraca mu, a z nią jakieś radosne, jasne poczucie swéj wielkości i gorączka twórczości i natchnienia.

W tém nowém życiu nie ma miejsca dla Magdy: wracająca z doktorką żona widzi męża zdrowego i pięknego, jak bóg słońca, odchodzącego na zawsze z czarodziejką.

W górach, w grocie ukrytéj przed oczyma ludzi zamieszkał Henryk z Rautendelein, założył kuźnię, w któréj z pomocą karłów, poddanych sobie, przetapiał szlachetne metale w dzwony, o dźwięku niesłyszanym jeszcze na ziemi. Dzwony te dobrane, cała gama dzwonów, miały zawisnąć w świątyni, którą sam postanowił wznieść w górach, o wiele wyżéj od biédnego kościołka, zbudowanego przez gminę.

Jakiemu Bogu miała być poświęcona ta świątynia?

Nie temu w każdym razie, który wymaga wyrzeczenia się siebie, którego wizerunek na krzyżu zdobił dom mistrza w dolinie. I nie ma

to być świątynia Przedwiecznéj Natury, w któréj składał ofiary własnemu geniuszowi wielki poganin Göthe.

Pomimo wspaniałego hymnu, który Henryk wygłasza na cześć Światła-Słońca, jest w jego duszy coś więcéj niż panteizm.

Nawet gdy oczy jego za sprawą Rautendelein otworzyły się na świat nowy, on często wzywa Boga. Jest to Bóg osobisty, nie rozpłynięty w naturze, istniejący po za nią, ale nieokréślony żadnym dogmatem i nie wymagający od człowieka żadnych ofiar.

Mistrz Henryk jest deistą, ma jednak tę wspólność z wielkim Göthem, że ta jego świątynia przedewszystkiém stać się ma pomnikiem postawionym myśli ludzkiéj i geniuszowi ludzkiemu.

Geniusz zajaśniał w Henryku teraz w całéj pełni i dojrzał w szczęściu; teraz dopiéro śmié on powiedziéć dziełu swych rąk i myśli: „Piękne jesteś i doskonałe!” On sam niemal ubóstwiony, uważany przez duchy gór i wód za powstałego z gruzów Walhalli boga słońca Baldera (Foebusa germańskiego) miał być zarazem bogiem i kapłanem téj świątyni. Nowa to wieża Babel, nowy prometeuszowski wysiłek człowieka, aby dorównać bóstwu.

Mistrz Henryk pracuje. Huk jego młota budzi nieustanne echo w górach, myśl jego wzbija się na niedoścignione wyżyny.

Miłość nie obniża polotu jego skrzydeł, bo Rautendelein nie jest zwodnicą jak starożytna Cyrce, jak Lorelei lub Świtezianka: jest boginią, która pokochała artystę i prowadzi go w górną krainę, w któréj geniusz czuje się wszechwładnym panem. Rautendelein nie unosi się bezmyślną fantazyą, jak Tytania lub Goplana, nietylko ma poczucie wielkości swego kochanka, ale sama objawia mu najdoskonalszą tajemnicę piękna, otwiéra mu oczy na całą pełnię i wielkość życia natury, jest mu natchnieniem. I cały ten poddany jéj świat duchów żywiołowych, który ona zaprzęga w służbę ukochanego, cała ta personifikacya bujnego, młodego, majowego życia przyrody — pojęta dziwnie poetycznie. Jestto niewątpliwie tryumf zmysłów, tryumf indywidualizmu i praw jednostki nad duchem chrześciańskiego wyrzeczenia się i nad prawami społecznemi, — ale tryumf pełen poezyi, grecka sielanka, przetłómaczona na niemieckie i nie mająca w sobie żadnych cech upadku. Jestto apoteoza artysty.

Jednakże to szczęście tak pełne i wielkie nie może być trwałe, musi nastąpić reakcya, skrucha i pokuta—bo nie przesądy tylko zdeptał artysta, uciekając z Rautendelein na wyżyny,—ale serce szlachetne i kochające.

Przepowiadają mu téż nieszczęście zawistne duchy: złośliwy Waldszrat i stary poczciwy wodnik Nickelmann, żyjący na dnie studni.

Obaj oni, zakochani w „najpiękniejszéj z Elf", zazdroszczą śmiertelnikowi posiadającemu jéj miłość i pobudzają przeciwko niemu całe gromady „czarnych duchów", istot psotnych i złośliwych. Duchy te ustawicznie psują robotę budującéj się świątyni. Niepowodzenia zdwajają energię Henryka—z człowieka staje się tytanem.

Wtedy to zachodzi na te niebotyczne wyżyny proboszcz, ten sam który już raz odnalazł zemdlonego Henryka. Ksiądz ten jest upostaciowaniem żywéj wiary, trochę ciasnéj, ale mocnéj jak śmierć. Rautendelein jest dla niego wcieleniem szatana, ale nie boi się jéj idąc z krzyżem w ręku. Pragnie ocalić duszę Henryka, wyrzuca mu bałwochwalstwo, namawia do powrotu, wystawia rozpacz żony i opuszczenie dzieci...

Ale nad-człowiek, artysta, odpowiada mu smutno, że nie w jego już mocy wrócić na dawne tory życia: odnowiony, żyjący w świetle, nie może już chodzić szaremi i wąskiemi drogami, któremi zwykli, ludzie nędznie się wloką.

„Soll der, der Falkenklauen statt Finger hatt
'nes kranken Kindes feuchte Wangen streicheln?"

Nie mogą się zrozumieć, zarzucają sobie wzajemnie: ten świętokradztwo, tamten ciemnotę.

Scena to jest wielkiéj siły i dramatyczności. „Pamiętaj człowieku! — woła odchodzący ksiądz — nie chciałeś mnie słuchać, przyjdzie chwila, gdy zgryzota ugryzie cię w serce, że przeklniesz swoje szaleństwo i swoje dzieło!"

— Bluźnisz!—odpowiada artysta—nie boję się ciebie i nie uwierzę w to, co mówisz, dopóki nie usłyszę głosu starego dzwonu, leżącego w głębi wód!

— Zadzwoni on tobie, zadzwoni!

Od téj chwili łamie się coś w duszy mistrza. Sztuka i miłość dają mu jeszcze błyski szczęścia, ale już zaczynają go trapić sny straszne, złe Elfy psują zawzięcie ukochane jego dzieło, a ludzie z rodzinnéj wioski robią na niego obławę, jak na dzikie zwierzę.

On wszystkim stawia czoło, spędza ich z gór, miotając olbrzymie odłamy skały. Ale to zwycięstwo nie cieszy go, bo w głębi jego duszy odzywa się coś, jakby przeciągły głos zatopionego dzwonu. Wśród zachwytów miłości słyszy ten głos ciągle...

Raz ma dziwne widzenie: siedząc z Rautendelein, patrzy z góry na jezioro. Księżyc oświéca drogę, którą niegdyś wieziono dzwon do kościoła. Na ścieżce ukazuje się dwoje dzieci w koszulkach — to chłopcy, synkowie mistrza. Niosą coś ciężkiego, ledwo się wloką,

a jednak zbliżają się coraz bardziéj, a głos ich po wodzie i rosie dochodzi wyraźnie. Wołają: „Ojcze, matka kazała cię pozdrowić"! A z głębi przepaści, z jeziora oświeconego księżycem odzywa się głośno ponurym jękiem głos podwodnego dzwonu.

— Co niesiecie dzieci? — pyta Henryk.

— Łzy matki!

— Gdzie wasza matka?...

— Wśród lilii wodnych — w jeziorze...

Dzwon jęczy głośniéj. Henryk zrozumiał: Magda utopiła się — to dusza jéj płacze w głosie dzwonu... Rautendelein zakrywa oczy Henryka, widzenie znika. Boginka ciągnie go ku sobie, chce mu dać zapomnienie, ale on ją odpycha, przeklina, nazywa szatanem i ucieka od niéj, obłąkany rozpaczą i żalem. W sercu uczuł pocisk zgryzoty, jak mu to ksiądz przepowiedział.

Przeznaczenie Rautendelein spełniło się. Opuszczona przez kochanka, czuje, że prześniła już letnią sielankę, że wśród wichrów jesiennych dla niéj, królowéj wiosny, nie ma miejsca na ziemi. Persefona germańska musi zstąpić do podziemnego królestwa; zabiera ją Nickelmann do swych podwodnych pałaców.

Tam żyje ukryta przed oczyma ludzi i Elfów i tylko wieczorem, gdy wschodzący księżyc oświeci góry, wychyla się ze studni przed chatą czarownicy i śpiewa tęskne ballady, w których poi się wspomnieniem dawnej miłości i skarży na obecne, smutne życie.

Henryk tymczasem błąka się, gnany nietylko przez furye wyrzutów, ale prześladowany przez ludzi.

Droga do wsi w dolinie na zawsze dla niego zamknięta, do dzieci swych wrócić nie może; od stawu, gdzie spoczęła jego żona, odpędza go głos dzwonu, wzbijający się wciąż ku niebu wielką skargą, szuka więc swéj bogini, któréj pomimo zgryzot nie przestał kochać, ale jéj nigdzie nie ma, zniknęła na zawsze.

W miejscu, gdzie rozlegał się wesoły głos jego młota, gdzie cuda sztuki wychodziły z jego kuźni czarodziejskiéj, zastaje zgliszcza: to Waldszrat w zazdrości swojéj zniszczył ogniem warsztat człowieka, który poważył się kochać nimfę. Tam, gdzie stały mury świątyni, widzi olbrzymi płomień, — to czarne Elfy zaniosły tam zniszczenie wraz z karzełkami, znoszącymi niechętnie niewolę swą u człowieka. Czary Rautendelein nie trzymały ich już na uwięzi. Nie ma więc już jego wielkiego dzieła i nigdy ono już nie powstanie; — to geniusz jego pali się na tym stosie i rozsypuje w popiół wraz z jego świątynią, a wszystkie białe dobre Elfy, wszystkie przyjazne mu duchy leśne, płacząc, śpié-

wają, że to jest stos pogrzebowy Baldera, boga słońca, który wrócił raz jeszcze na ziemię, zaświécił i zagasnął.

Henryk pragnąłby umrzéć, a trzyma go jeszcze na ziemi tęsknota za istotą, którą kochał.

Przed chatą czarownicy, gdzie po raz pierwszy zjawiła się jego oczom w świetle majowego poranku, pokazuje się jeszcze Rautendelein. Ale jakaż inna! Na pół-martwa, jakby senna, zimna jak woda, z któréj wyszła, nie chce go widziéć, nie poznaje i dopiéro, gdy nieszczęśliwy wzywa Magdy, w ostatniéj godzinie zazdrość popycha ją ku niemu, po to tylko aby mu zamknąć oczy i ukołysać do snu wiecznego swoją smutną pieśnią.

Serce artysty pęka, jak serce Jana z „Samotnych", ale i tu, tak jak tam, zwyciężają zasady społeczne i wyższa moralność. Smutne to jednak zwycięstwo: cały poemat pełen jest bezbrzeżnéj melancholii, którą się ludzkość skarży, jak ten dzwon jęczący w głębi wód, melancholii wzbijającéj się ku niebu, jak mgła ze smutków nieuleczalnych, z powikłań tragicznych, z tęsknot dusz „samotnych", którym duszno wśród ciężkich warunków życia, tych dusz które jak mistrz Henryk: „nie mogą pozostać już w górze z poczuciem swéj winy i nie mogą żyć w dolinie ze wspomnieniem swego szczęścia!"

Dzwon zatopiony cieszy się na scenie olbrzymiém powodzeniem i czaruje tłumy, zawsze to jest jednak poemat, który przeznaczony powinien być raczéj do czytania niż do teatru, jak „Faust", jak „Lila-Weneda".

Wiele w nim jest psychologicznych cieniowań, wiele pereł poezyi, które się zacierają i uchodzą naszéj uwagi wśród efektów scenicznych. Tylko muzyka (i to jaka muzyka!) mogłaby oddać głębię i subtelność poematu. Żadna aktorka nie będzie taką powiewną i wdzięczną Rautendelein, jaką wyśnił autor, jaką nam stwarza przy czytaniu nasza własna wyobraźnia.

Trwalsze to jest dzieło i dłużéj pozostanie żywem w pamięci i w literaturze, niż tysiące tych utworów, które moda chwilowa, spekulacya lub tendencya utrzymują pod światłem kinkietów teatralnych.

Nie opiéra się na chwilowym prądzie społecznym, stąd téż nie tak łatwo ulegnie przedawnieniu, téj zmorze, straszącéj pisarzy w dzisiejszym wieku telefonow.

Zawsze wyjątkowe, bujne organizacye artystyczne odczuwać będą palącą tęsknotę do ideału, męki i zachwyty towarzyszące tworzeniu arcydzieł, zawsze będą walczyły z rutyną, dążyły do wolności a w tém dążeniu rozsadzały szranki, w których je zamknęło życie; zawsze potém

szlachetne ich i wytworne natury cierpiéć będą nad zerwaniem krępujących je więzów i zdeptaniem po drodze czyjegoś serca. Przedmiot więc długo pozostanie żywotny, choć może nie dla całéj szerokiéj publiczności w równéj mierze interesujący.

Poemat ten nie jest ostatniém słowem autora. Gerhard Hauptmann ma lat 35, jest więc młody, w całéj pełni sił i talentu i wiele jeszcze od niego mamy prawo się spodziewać. To téż mimowoli ogarnia nas pragnienie, aby po tém westchnieniu wielkiego smutku, który się odzywa w każdém uderzeniu „Dzwonu zatopionego" — poeta dał nam pieśń pociechy, godzącą z życiem.

Rozeszła się zapowiedź dzieła, które autor pisał w roku przeszłym na wyspie Korfu. Wiadomość tę, dotychczas nie sprawdzoną, podało kilka pism niemieckich. Nowy utwór ma nosić niepokojący tytuł: „Chrystus". Czy to jest poemat, dramat, czy téż dokończenie jeszcze w Zürichu w 1888 r. zaczętéj książki — nie wiadomo. — Postać Chrystusa panuje nad wyobraźnią Hauptmanna podwójnie, jako wspomnienie surowo-pobożnego wychowania i jako uosobienie idealnie pojętego społecznictwa. Widzimy to nietylko z pośredniego wprowadzenia téj postaci do dramatu „Hannele" jako téż z ciekawéj i szczególnéj noweli, wydanéj w roku 1890-ym, wtedy gdy Hauptmann pisał „Święto pokoju" i robił studya nad psychyatryą. Nowela ta nosi tytuł „Apostół" (*Der Apostel*). Dziwny jéj bohatér od dziecka nie mógł się zastosować do otaczającego świata, czy w szkole, czy w wojsku, żył tylko swém własném życiem wewnętrzném. Nazywano go hypokondrykiem. Wiele rzeczy na ziemi bolało go i gorszyło: brak miłości wzajemnéj między ludźmi, wojny, nienaturalny podział ludzkości na nienawidzące się narody, niesprawiedliwość w rozłożeniu dóbr ziemskich. Wszystko to chciał zmienić i poprawić. Kochał naturę i podziwiał jéj piękność, ale nie mógł zrozumieć panującego w niéj prawa mocniejszego, opieką otaczał najdrobniejsze stworzenia, był wegeteryaninem, żył chlebem i wodą. Wszelki zbytek i używanie przejmowały go wstrętem — dobrowolne ubóstwo i czystość były dla niego ideałem życia. Ubrał się w białą wełnianą szatę, przepasaną sznurem, takiż sam sznur biały włożył na złote długie włosy, co tworzyło aureolę około jego greckiego czoła, przypasał sandały i chodził piechotą po świecie. Ludzie, jedni śmieli się z niego, ruszając ramionami, drudzy padali na kolana i żegnali się jak przed cudowném zjawiskiem.

Pisane to jest w ten sposób, że do ostatniéj prawie kartki czytelnik nie wié, kogo ma przed sobą: idealnego apostoła, czy waryata. Dopiéro przy samym końcu widzimy, że ta istota estetycznie nadzwyczajnie piękna jest umysłowo chorą. Czuje Boga w sobie, czuje się

bogiem — kroki kilku ciekawych dzieci bierze za odgłos niezliczonych towarzyszących mu rzeszy... Marzyciel stanął już na granicy zupełnego obłędu. Studyum to, pełne wybornéj analizy, realizmu i poezyi, sprawia jednak przykre wrażenie. Przeciwnie, wydrukowana w tymże tomiku druga nowela „Dróżnik Thiel" (*Bahnwärter Thiel*) jest małém arcydziełem w swoim rodzaju. Przypomina najlepsze obrazki Maupassant'a. Odczucie natury i zrozumienie duszy prostego człowieka jest w niéj nadzwyczajne.

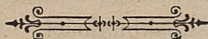
Żałować moglibyśmy, że autor dał nam tylko te dwie małe próby noweli, gdyby nie szereg utworów pierwszorzędnéj wartości, w daleko szerszym zakresie, w rodzaju silniéj i bezpośredniéj działającym na masy—w téj koronie i uwieńczeniu literatury—w dramacie.

Obejmując ostatnim rzutem oka życie i pisma Hauptmanna, widzimy, że zasadniczym rysem jego natury jest dążenie do zupełnéj niezależności. Stąd téż wszelkie wpływy rodziny, przyjaciół, szkół literackich działają na niego silnie, ale chwilowo; jego bujna organizacya asymiluje te wpływy, przerabia je w sobie i wytwarza z nich swoją własną teoryę. Być może, że brak tego, co nazywamy „porządném wykształceniem klasyczném", wpłynął na wyrobienie oryginalności jego umysłu.

Marya Krzymuska.



KRONIKA GALICYJSKA.



Lwów, 4 kwietnia.

W czasie dorocznéj sesyi sejmowéj odbywa się niejako w obliczu całego kraju peryodyczna defilada spraw krajowych w odświętnym stroju oficyalnych sprawozdań, oraz przedłożeń rządu i wydziału krajowego, umiejących bez wpadnięcia w sprzeczność z nagą prawdą przedstawić wszystko nietylko w sposób spokojny, lecz także do pewnego stopnia *en beau*. Defilada ta odbywa się przed sejmem, jakby przed wielkiém źwierciadłem, z którego w przelocie nie wszyscy nawet uważni widzowie zdołają pochwycić każdy szczegół w wiernym odblasku. Można to powiedzieć nie o samych tylko krótkowidzach politycznych, lecz także i o bystrych obserwatorach wtedy, gdy owo źwierciadło zostało w jakikolwiek sposób zamglone. Stało się tak mianowicie w tym roku wskutek silnego prądu tego pesymizmu, który powiał od rozbitéj przez niemieckich obstrukcyonistów i pluton wiedeńskich policyantów rady państwa, a stamtąd, jakby z centralnego zbiornika, rozdzielił się pomiędzy prowincyonalne sejmy austryackie.

Pesymizm polityczny ma zawsze, zwłaszcza w naszém dzisiejszém społeczeństwie, mnóstwo nieświadomych zwolenników w praktyce, ale z ich grona bardzo rzadko ozwie się wstydliwy głos w obronie tego pesymizmu *in thesi*. Pobije go zawsze zwolennik optymizmu, a w takich teoretycznych zapasach polemicznych staną niezawodnie po jego stronie i owi nieświadomi zwolennicy pesymizmu, bo teoretyczny optymizm musi

przyciągać ich ku sobie, jakby jasny promień światła, padający na tę pomrokę pesymistyczną, w której bezwiednie ugrzęźli. A jednak nawet ze stanowiska zasadniczego możnaby z małym nakładem rezonowania paradoksalnego wynosić pesymizm tak samo, jak w sferze filozoficznéj wynoszony bywa czasem sceptycyzm. Jeżeli bowiem sceptycyzmowi przypisywana bywa ta zasługa, że przez podawanie w wątpliwość pewnych tez, za stwierdzone uważanych, pobudza niejako do wznowienia tego całego procesu myśli, który odbył się już przedtém niejednokrotnie i doprowadził do owych tez, jako logicznie niewzruszonego wyniku, że zatém wiedzie niejako do pogłębienia i utwierdzenia tego, co raz za prawdę uznano, a nadto w danym razie, pośrednio, nawet do otwarcia dla myśli nowych, dotąd niedostrzeganych horyzontów, to z taką samą słusznością pesymizmowi przypisana być może zasługa, że nie pozwala ugrząść w próżniaczém poprzestawaniu na danym stanie rzeczy, lecz zniewala do refleksyi, do przyłożenia wyższéj miary w ocenie tego stanu, a tém samém do dążenia ku doskonałości. Ale jak w takim razie sceptycyzm poskramiany być musi przez afirmacyę, aby nie burzył, nie wywracał tego, co istnieje, a co tylko pod względem wytrzymałości ma być na próbę wystawione, tak pesymizmowi krok w krok towarzyszyć powinien optymizm, aby pierwszy nie zawiódł na manowce zwątpienia, nie przykładał do danego stanu rzeczy idealnéj, lub, co gorsza, fantastycznéj miary, lecz opiérał ocenę na porównywaniu tego, co jest w danéj chwili, z tém, co było dotąd i z tém, co jest dokoła w bliższém lub dalszém otoczeniu.

Jeżeliby wyznawca takiego zdrowego, dalekiego od przesady optymizmu wdał się z przedstawicielem również dalekiego od krańcowości pesymizmu w roztrząsanie krytyczne spraw krajowych Galicyi w ich stanie obecnym, t. j. takim, jaki przedstawił się krajowi z przedłożeń, wniosków, uchwał i rozpraw ostatniéj sesyi sejmowéj, to może pokazałoby się, że nietylko w obcéj, lecz i we własnéj prasie Galicya gorzéj się przedstawia, albo raczéj mniéj znajduje uznania, aniżeli się jéj rzeczywiście należy. Objaśnimy to twierdzenie na kilku najwięcéj w oko wpadających sprawach z doby bieżącéj.

Weźmy najpierw sprawę szkół, na którą pesymiści zawsze ostrzą sobie zęby, długi czas przed zwołaniem sejmu, i na którą rzucają się zapalczywie w chwili, gdy po zebraniu się sejmu posłowie otrzymują dwa spore zeszyty drukowane, t. j. dwa sprawozdania krajowéj rady szkolnéj ze stanu szkół ludowych i średnich w ostatnim roku szkolnym. W tym roku dla pesymizmu grunt był szczególnie przygotowany, bo w poprzedniéj radzie państwa poseł Edward Gniewosz wywlókł przed jéj *forum* stan szkół ludowych w Galicyi, przedstawił go w świetle po-

nurém i wywołał w kraju przykre wrażenie najpierw przesadą w cieniowaniu swojego obrazu, a powtóre zbyt śmiałym wyłomem w politycznéj karności koła polskiego, która nie pozwala jego członkom występować z samodzielną krytyką spraw krajowych, a już najmniéj z krytyką przesadną kwestyi należących całkowicie do autonomicznego zakresu sejmowego. Wówczas Gniewosza broniła tylko opozycya najskrajniejszego autoramentu pod wodzą niewybranego już w następnych wyborach posła lwowskiego, Karola Lewakowskiego, więc optymiści, a z nimi i obrońcy obecnego systemu mieli łatwe zadanie w odpiéraniu oskarżeń. Dziś krajowa magistratura szkolna znalazła się w trudniejszém położeniu, bo z jéj własnego sprawozdania wynikało czarno na białém, że w Galicyi dotąd jeszcze trzecia część dzieci w wieku szkolnym nie może, dla braku szkół, uczęszczać na naukę elementarną, a szczegół ten pesymistycznie nastroić musiał nawet koła umiarkowane, jako niewątpliwa wskazówka, że po ćwierćwiekowéj pracy nad organizacyą szkół ludowych kraj daleki jest jeszcze od ziszczenia się pierwotnego hasła: w każdéj gminie szkoła ludowa!

Jeżeli się ma na oku jedynie hasło powyższe, to pesymizmowi, który głośny znalazł wyraz przed otwarciem ostatniéj sesyi sejmowéj, a nawet wśród téj sesyi, niewątpliwie słuszność przyznać trzeba. Nie potrzeba jednak powoływać się na świadectwo pokolenia, które już do grobu zeszło, lecz na to, które z chłopięcych lat pamięta nasze szkolnictwo ludowe w czasie przedkonstytucyjnym, w młodzieńczym wieku patrzało na trzeci okres namiestnikowstwa ś. p. Agenora hr. Gołuchowskiego i jego krzątanie się około położenia zdrowych podwalin pod dzisiejszą budowę, a teraz w pełni wieku męskiego patrzy na osiągnięte dotąd owoce, aby pesymizm sprowadzony został do słusznéj miary, albo raczéj do zera. W oczach tego pokolenia bowiem Galicya wygląda tak samo, jak człowiek dorabiający się fortuny z małych zacząteków, a właściwie ze stanu nędzy. Z trudem i mozołem zdobył już dziesiątki tysięcy, ale ponieważ dokoła widzi krociowych panów i milionerów, więc zamiast błogosławić szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, który go z ubóstwa wydobył, biada nad tém, że posiada jeszcze tak mało w porównaniu z innymi, zapominając o tém, że był w nędzy, kiedy dzisiejsi krociowi panowie posiadali już dziesiątki tysięcy, a dzisiejsi milionerzy całe krocie!

To nie przesada, lecz wniosek na oczywistości faktów oparty. Pomijam już samą zewnętrzną stronę, pomieszczenie szkół ludowych, przed ich reorganizacyą w okresie autonomicznym opłakane, a dziś, w miarę wzrostu liczby nowych, umiejętnie wznoszonych, i również

umiejętnie wewnątrz urządzanych wiejskich budynków szkolnych, coraz bliższe stanu dobrego w całém tego słowa znaczeniu, pomijam tę stronę, chociaż ona jest wielkiéj wagi dla rzeczy saméj, w tym celu żeby uwydatnić zachodzącą różnicę na najgłówniejszym punkcie, na samym materyale szkolnym, t. j. uczniach i nauczycielach. Dziś mamy po wsiach legiony dzieci włościańskich, obowiązkowo i regularnie do szkoły uczęszczających, pobierających naukę według unormowanego jednolicie programu i opuszczających te szkoły z zasobem wiedzy, jaki przed reorganizacyą był wprost niedościgniony dla ówczesnych uczniów, uczęszczających do jakiéjś tam szkoły niemal przygodnie, bo w miarę jak pora roku czyniła je zbędnymi w gospodarstwie rodziców, pod nauczycielami pozbawionymi fachowego przygotowania w braku tak licznych dziś seminaryów nauczycielskich. Gdybym tutaj podał sylwetkę takiego wiejskiego „światłodawcy“ dawnego autoramentu z wiernym obrazem jego inteligencyi, popadłbym pewnie w posądzenie, że skreśliłem rozmyślnie karykaturę. Ale jeden przykład warto przytoczyć, bo zakrawa wprost na facecyę, a jest mimo to faktem niezbitym, tkwiącym żywo w pamięci piszącego. Otóż był przed 40 laty w pewném miasteczku — proszę pamiętać, że dzieje się to w miasteczku, a nie we wsi zapadłéj — nauczyciel szkoły normalnéj, który uchodził za lepszego pomiędzy wiejskimi kolegami w okolicy, a w każdym razie spoglądał na nich z taką majestatyczną powagą, do jakiéj uprawnia tylko wyższość niezaprzeczona. Nauczyciel ten tłómacząc uczniom, że niektóre słowa inaczéj się pisze a inaczéj wymawia, ilustrował tę swoją tezę temi słowy: „Pisze się srebro, a wymawia się ś r y b ł o”!.. Niechżeby ten biedak wstał dziś z grobu i próbował złożyć egzamin z pierwszéj klasy najgorszéj galicyjskiéj szkółki wiejskiéj! Nie dotarłby nawet do téj szkółki, wróciłby z drogi do grobu, bo na wstępie do wsi sam widok włościan, przewyższających go inteligencyą, wreszcie sam widok szkółki dzisiejszéj wzbudziłby w nim mniemanie, że nie jest w Galicyi, lecz w jakimś innym kraju, który za jego życia uchodził za jedno z zachodnich ognisk wyższéj cywilizacyi. A gdyby taki „światłodawca” *redivivus* zaprowadzony został na jakie zgromadzenie dzisiejszych włościan, rozprawiających poważnie i rozsądnie o polityce i sprawach publicznych, z pewnością czmychnąłby jaknajprędzéj do grobu — z samego wstydu, że jest o tyle niższy od tych, których niegdyś jako ciemną masę traktował.

W sprawie szkół średnich pesymista może jeszcze mniéj uprawniony jest do głosu, jeżeli jego przeciwnik, optymista, oprze się na téj saméj podstawie, t. j. na zestawieniu obecnego stanu z tym, jaki istniał przed laty trzydziestu, t. j. przed okresem autonomicznym, przed utwo-

rzeniem krajowéj władzy (rady) szkolnéj. I tutaj różnica w saméj zewnętrznéj stronie jest uderzająca. Dziś po miastach, nietylko głównych, lecz nawet i drugorzędnych, gimnazya i szkoły realne posiadają osobne nowe budynki, poniekąd gmachy, zdobiące miasta, kiedy tymczasem starsze pokolenie dusilo się w starych budynkach poklasztornych, lub w szatrach skarbowych, które w dodatku, gdy niedostateczne w rozmiarach, musiały być uzupełniane donajmowanemi w sąsiedztwie nędznemi izbami. A jak znacznie wzrosła liczba szkół średnich! Przed laty trzydziestu było ich tak malo, że jeżeli rodzice mieszkali w dalszym promieniu okręgu gimnazyalnego, musieli przy ówczesnych arcypierwotnych środkach komunikacyjnych nieraz zrzec się na całe kursa przyjemności odwiedzania dzieci. Dziś siedziby szkół średnich są gęsto rozsiane po kraju, a w dodatku koleje żelazne jeszcze bardziéj zobojętniły odległość nawet zapadłych zakątków kraju od takiéj siedziby. Na tém nie koniec, bo wszystkie gimnazya i szkoły realne są przepełnione, a liczba uczniów wzrasta już nie w zwykłym stosunku, lecz — jak to wyraźnie zaznacza ostatnie sprawozdanie krajowéj rady szkolnéj — „w skokach".

Różnica w składzie osobistym nauczycieli i w zakresie naukowym oraz w całéj metodzie nauczania jest wprost bajeczna. Nie każdy to widzi, bo rzadko zastanawiamy się poważnie, a natomiast zbyt często folgujemy wrodzonéj żyłce do narzekania na drobne bieżące niedogodności lub dolegliwości. Niechby jednak każdy z ojców, wkraczających dziś w szósty krzyżyk życia, zapuścił się z synem swoim, który już skończył lub kończy szkołę średnią, w pogadankę na temat wspomnień szkolnych. Syn nie wierzyłby ojcu, a w każdym razie uważałby za przesadę jego opowiadania o dawnych stosunkach w szkołach średnich, o tych niemieckich profesorach - dziwolągach, których, jako poślednich adeptów zawodu swojego, wysyłano z innych prowincyi do Galicyi, aby tam dowolnie dzielili się swoim skąpym zasobem wiedzy, a za to wytężali całą energię germanizatorską na młodém pokoleniu. Ojciec musiałby dopiéro tłómaczyć synowi, że ciężkim trudem, tylko ukradkiem w domu i w ciągłéj obawie o pociągnięcie do odpowiedzialności, musiał zdobywać sobie tę znajomość języka i literatury ojczystéj oraz dziejów kraju rodzinnego, która dziś od ucznia szkół średnich wymagana jest jako warunek uzyskania świadectwa z ogólnym dobrym postępem. Gdyby kto wspomnienia szkolne dwóch pokoleń ujął w formę takiego dyalogu ojca z synem i wypełnił go szczegółami i szczegółikami, rzecz cała zakrawałaby na humoreskę.

Ale mimo to wszystko, pesymizm i tutaj nie daje za wygranę. Jednym każe nie we własnéj przeszłości, lecz w wyżéj rozwiniętych kra-

jach szukać skali dla swych pożądań, a i na téj podstawie utyskiwać na to i owo, jeszcze niezupełnie dokonane lub wykończone, a innym podsuwa narzekania na wrzekomą hyperprodukcyę inteligencyi! Pierwszy zarzut schodzi na gderliwość, na którą nie ma rady, drugi stanowi paradoks, na którego odpiéranie nawet silić się niepotrzeba. Jeżeli się bowiem ma na myśli tylko urzędy, to być może, że jest już za wiele kandydatów i że w tym dziale zawodowéj inteligencyi wytwarza się osobna kategorya proletaryatu, więc niedobry żywioł malkontentów, ale inaczéj rzecz wygląda, jeżeli się za miarę weźmie stopień inteligencyi we wszystkich działach pracy zawodowéj. Ile tam jeszcze miejsca wolnego i wygodnego dla tych wszystkich adeptów karyery urzędniczéj, którzy dziś wskutek ogólnéj predylekcyi dla jednego niewdzięcznego zawodu są upośledzeni, a mogliby gdzie indziéj stać na pierwszym planie i cieszyć się świetném powodzeniem materyalném!

Przechodzimy teraz do stosunków ekonomicznych, w których pesymizm zwykł zawsze zabierać głos z wielką pewnością siebie i ze świadomością, że jego przeciwnik, optymizm, nie porwie się na wykazywanie mylności poglądów tamtego, na stwierdzanie wszelkich postępów, lecz tylko na łagodzenie ponurego obrazu stosunków rzeczywistych. Prace ostatniego sejmu w zakresie tych stosunków mogą tylko poprzéć pesymizm, chociaż z głosu tego posła, który, jako autor tak słynnéj w swoim czasie broszury, p. t.: „Nędza Galicyi" (Stanisław Szczepanowski), wszędzie powoływany bywa na klasycznego świadka niedoli naszéj, nie wypływa bynajmniéj, żebyśmy w zakresie ekonomicznym nie mogli wykazać się ważnemi postępami. Że na ostatnim sejmie nędza galicyjska przypominała się częściéj i żywiéj, aniżeli na poprzednich sesyach, to prawda, ale to idzie na karb klęsk żywiołowych, które w ubiegłym roku nawiedziły znaczne przestrzenie kraju i sprowadziły stan, wymagający pomocy publicznéj ze strony państwa i kraju dla ludności włościańskiéj, zagrożonéj ciężkim przednówkiem. Pomocy téj nie odmówiono ani ze skarbu państwa, ani ze skarbu krajowego, w ściśle do niezbędnéj potrzeby zastosowanéj mierze. Po za temi następstwami klęsk żywiołowych, nędza galicyjska przezierała jeszcze z obrazu stosunków rolniczych, jakie kreślono w sejmie przy sposobności uchwalenia wielce pożądanéj ustawy o komasacyi gruntów i w mowach, dotykających sprawy rozdrobnienia gruntów włościańskich. Doszło ono w Galicyi już do tych granic, gdzie nie ma warunków niezbędnych dla racyonalnéj gospodarki, a mimo to w drodze ustawodawczéj na razie poskromić się nie daje z powodu opozycyi ludności włościańskiéj, opozycyi pożałowania godnéj, ale płynącéj z motywów szlachetnych, mianowicie z ożywiającéj każdego włościanina naszego gorącéj chęci posiadania bodaj

kawałeczka gruntu własnego. Z tym faktem trzeba się liczyć, bo interes społeczny najwyższéj wagi, mianowicie zagrodzenie socyalizmowi przystępu do zagród wiejskich, każe to przywiązanie do ziemi i tę chęć posiadania bodaj małego jéj strzępka raczéj pielęgnować wszelkiemi sposobami, aniżeli wystawiać na próbę, dopóki nie zapanuje lepsze zrozumienie omawianych już oddawna ustawodawczych środków zaradczych.

Głośniéj, niż kiedykolwiek, w ostatnich latach odzywały się na ubiegłéj sesyi sejmowéj także narzekania na opłakane stosunki kredytowe, na lichwę grasującą jeszcze ciągle po wsiach naszych, wyzuwającą rodziny włościańskie z całego mienia i rzucającą je w nieuniknioném następstwie na pastwę niedoli emigracyjnéj. W téj sprawie pesymizmowi nie można odmówić przewagi w krytyce naszych dzisiejszych stosunków, bo istotnie jest to fakt najżywszego ubolewania godny, że Bank krajowy, założony przed laty piętnastu za autonomicznych rządów niezapomnianego marszałka krajowego, ś. p. Mikołaja Zyblikiewicza, dotąd nie spełnił jeszcze jednego z najgłówniéjszych zadań swoich, jakiém po myśli jego inicyatora i protektora miało być stworzenie wystarczającego dla potrzeb kraju źródła zdrowego kredytu włościańskiego.

Ostatecznie jednak wszystkie dolegliwości w zakresie stosunków agrarnych dadzą się sprowadzić do jednéj wielkiéj, niejako żywiołowéj i nie tylko Galicyę, lecz wogóle wszystkie kraje rolnicze, ogarniającéj przyczyny, t. j. do powszechnego przesilenia w stosunkach gospodarstwa rolnego. Że Galicya więcéj na tém cierpi, niż inne kraje — to prawda; ale to idzie na karb najpiérw jéj wybitnego charakteru rolniczego, a powtóre tego zubożenia, w jakiém ją pozostawił przedautonomiczny system rządów, za którego kraj nasz był między prowincyami austryackiemi kopciuszkiem, zaniedbywanym na każdym kroku, upośledzanym zawsze i wszędzie, a wskutek tego tak został wycieńczony, że co gdzieindziéj jest tylko dolegliwém przejściem, to dla nas staje się ciężką chorobą. Pytanie jednak, czy tę ciężką niemoc moglibyśmy znosić tak wytrwale i, jak dotąd przynajmniéj, bez groźnego podkopania całego organizmu społecznego, jeżeliby ów system nie był się przełamał przed laty trzydziestu, a jego następca autonomiczny nie wziął się był zaraz i energicznie do pracy nad powetowaniem skutków długiego zaniedbania, w miarę sił i środków będących w rozporządzeniu? Niechby najzagorzalszy pesymista zapomniał na chwilę o swém uprzedzeniu i zamiast wytężać wzrok w kierunku jakichś nieuchwytnych ideałów, lub przesadnych roszczeń, rozejrzał się trzeźwo dokoła, a pewnie, nie spostrzegłszy się nawet, zaraz zbliżyłby się w poglądach do pogodnego optymizmu, który dlatego, że mogło być lepiéj, nie lekceważy tego, co

daje rzeczywistość i co jest dobrém. Weźmy np. tak ważny dla stosunków ekonomicznych stan komunikacyi w kraju. Dziesiejsza sieć dróg różnego typu, krajowych, powiatowych i gminnych podobna jest do sieci z czasów przedautonomicznych, jak niebo do ziemi. W ostatnich kilku latach zwrócił się kraj ku wypełnieniu sieci kolejowéj liniami drugorzędnemi, budowanemi z inicyatywy i za przyczynieniem się funduszu krajowego a przy wydatnym udziale innych interesowanych czynników autonomicznych. Już dziś rezultaty są znaczne, a z czasem i pod tym względem Galicya należeć będzie do najlepiéj administrowanych krajów koronnych, co znaczy, że za sprawą rozumnie wyzyskanego samorządu o własnych siłach zrówna się z krajami, które w okresie systemu absolutnego wyprzedziły ją, jako kopciuszka austryackiego. Weźmy daléj prawdziwie wielkie dzieło krajowego biura melioracyjnego, które rozrosło się dziś tak, że powstać musiał osobny gmach na jego pomieszczenie. Samo powstanie tego gmachu i coroczne pomnażanie personelu inżynierskiego niceby jeszcze nie znaczyło, gdyby nie było jawnych a znakomitych rezultatów, które gospodarstwu rolnemu już dziś przynoszą sowite korzyści. Na wielkich przestrzeniach gruntów, które za sprawą tego biura zostały odwodnione lub nawodnione, wydajność wzrosła tak, że właściciele mają zapewnioną amortyzacyę wyłożonego na te nakłady kapitału i to z procentem, jakiego tylko po przedsiębiorstwie przemysłowém oczekiwać można. A do tego dodać należy wielkie przestrzenie gruntów zabezpieczonych przed peryodycznemi wylewami rzek i potoków, których regulacya odbywa się z inicyatywy krajowego biura melioracyjnego, głównie przy pomocy funduszu krajowego, ale także przy udziale czynników przed innemi interesowanych. Tą regulacyą kraj poszczycić się może wobec rządu centralnego, który przyrzekał od lat wielu powszechną regulacyę rzek galicyjskich, raz nawet z wielkim rozmachem przystąpił do sporządzenia planów, ale mimo to wszystko — dotąd nic nie zrobił.

Weźmy wreszcie sprawę podniesienia przemysłu krajowego. Kiedy przed laty kilkunastu sprawę tę poruszył na większą skalę, jako pierwszorzędną kwestyę krajową, ówczesny marszałek krajowy dr. M. Zyblikiewicz, pesymiści spoglądali nań tak, jak gdyby z motyką porywał się na słońce. A jednak mimo ograniczonych środków, dzięki statecznym usiłowaniom sejmu, który zasiłki swoje doprowadził już do krociowéj wysokości, osiągnęliśmy i tutaj wiele, bardzo wiele. Ostatnia wystawa krajowa świetne złożyła świadectwo o rozwoju tych licznych gałęzi przemysłu domowego, które przed roztoczeniem opieki krajowéj marniały w walce z konkurencyą i z zachłannością fiskalną inspektorów podatkowych. Dziś posiadamy już takie wyroby przemysłu

domowego, że można było we Lwowie urządzić bazary krajowe w połączeniu z nieustającą wystawą, że widzi się niektóre artykuły poszukiwane i zakupowane dla odbiorców zagranicznych. I przemysł fabryczny zrobił wielkie postępy, dzięki opiece i pomocy kraju. Co jeszcze przed kilku laty wydawało się może niepodobném a w każdym razie niełatwém do osiągnięcia, to dziś stało się rzeczywistością. Mamy np. w kraju jedną wielką fabrykę, któréj wyroby, wagony, rozchodzą się po całéj Austryi, której maszyny i narzędzia rolnicze pokrywają znaczną część potrzeby krajowéj. Właśnie teraz fabryka ta podwaja swój kapitał akcyjny, co pewnie świadczy o zdrowym wzroście.

Gdybyśmy na tém zamknęli ten dorywczy bilans dorobku pracy społecznéj w okresie autonomicznym, narazilibyśmy się ze strony pesymizmu na zarzut, że omijamy pole, na którém trzeba przed nim broń złożyć. Polem tém miałaby być z wpadających w oko pozorów sprawa ruchu ludowego, jedna z najważniejszych, może nawet w téj chwili najważniejsza, a tak niestety pogmatwana i w swoich przejawach i w sądach stronniczych, że kto tylko chce nam przypiąć łatkę lub wogóle zakwestyonować chwałę, żeśmy umieli dobrze wyzyskać autonomiczną swobodę ruchów w pracy społecznéj, ten potrzebuje tylko sięgnąć do sprawy ruchu ludowego, aby ztamtąd, jakby z nieprzebranéj skarbnicy, czerpać pełną garścią szczegóły i motywa do aktu oskarżenia. Streszczałby się ten akt już w samym fakcie, że całe to grono posłów (dotąd 10), które na falach ruchu ludowego wypłynęło na powierzchnię życia politycznego w najszerszém tego słowa znaczeniu, t. j. zasiadło w radzie państwa, trzyma się zdala od Koła polskiego a więc nie uznaje zasadniczéj reguły naszego życia parlamentarnego, solidarności przedstawicieli kraju w centralnym parlamencie z sejmem krajowym, że daléj grono to nie tworzy jednolitéj całości, lecz rozpada się na dwie frakcye nawzajem się zwalczające, że wreszcie w téj właśnie chwili na czele jednéj i to silniejszéj co do ilości posiadanych mandatów frakcyi stanął a tém samém także i w kraju na pierwszy plan się wysunął ks. Stanisław Stojałowski, kapłan do niedawna wielką klątwą kościelną obłożony, dziś ojcowską pobłażliwością Stolicy Apostolskiéj zrehabilitowany, wobec niéj pozornie skruszony i potulny, ale w rzeczywistości daléj krnąbrny, bo pod osłoną fikcyjnéj przynależności do czarnogórskiéj dyecezyi (Antivari) uchylający się z pod jurysdykcyi krajowéj władzy biskupiéj, kapłan-agitator, jakiego dotąd Galicya nie widziała, umiejący wyprowadzać w pole po kolei swoich zwolenników, raz umizgający się do socyalistów, drugi raz wypowiadający im walkę bez pardonu, a zawsze górujący nad wszystkimi dziwną siłą w podbijaniu umysłów prostaczych i na pół oświeconych zwłaszcza po

wsiach zachodniéj Galicyi, zawsze zwycięski wobec rywalów agitacyjnych wielkim darem wymowy popularnéj i wielkim talentem pisarskim w zakresie literatury i publicystyki ludowéj.

Wobec tego faktu i wobec ciemnéj perspektywy na przyszłe koleje ruchu ludowego pod kierunkiem takiego kapłana-agitatora pesymizm zdaje się, że jest niewzruszonym. Można mu chyba zamącić ten tryumf zarzutem, że taki stan ruchu ludowego nie jest jego normalną fazą ewolucyjną, lecz stanowi zboczenie, pożałowania godne i idące całkowicie na rachunek właśnie tych pesymistów, którzy tak dziś biadają nad tém zboczeniem. Oni to bowiem nie dostrzegli i nie uznali wszystkich pierwotnych dodatnich stron ruchu ludowego. w pierwszéj jego fazie, gdy pokolenie włościan, już oświecone w nowej szkole ludowéj i dostępnéj dla ogółu szkole życia konstytucyjnego, zgłosiło się ze swoją uzasadnioną pretensyą do udziału w ciałach reprezentacyjnych, oni uznali odrazu ten bądź co bądź pocieszający i godny poparcia objaw budzącéj się w ludzie wiejskim świadomości obywatelskiéj za symptom destrukcyjny, niemal anarchiczny i postąpili najniezręczniéj, gdy zamiast wziąć się do zaniedbanéj pracy nad ujęciem tego ruchu w karby obywatelskiéj karności, jednym wielkim chórem zwrócili się do władzy i wyrzekając się niejako wytężenia własnéj siły odpornéj, schronili się pod opiekuńcze skrzydła téj władzy. Przyszły wybory (z r. 1895 do sejmu i z r. 1897 do rady państwa), w których taktyka ta wydała fatalne rezultaty. Z siłą żywiołową ruch ludowy przełamał na wielu punktach wszystkie przez władzę stawiane zapory i wszystkie w dotychczasowéj praktyce politycznéj wypróbowane fortele wyborcze. Stało się wtedy w Galicyi za namiestnikowstwa hr. K. Badeniego to, co się późniéj powtórzyło w Wiedniu, gdy hr. K. Badeni, już jako minister-prezydent, niedoceniwszy elementarnéj potęgi ruchu antysemickiego, próbował zatamować go siłą mocą i uległ w téj walce.

Ale teraz karta się odwraca i tryumfujący dotąd pesymizm rozbroić można jedném pytaniem: Czy na dowód, że — mimo wszystkich błędów popełnionych i mimo wszystkich ciężkich, zaniedbań a w prostém ztąd następstwie mimo wszelkich symptomów chwilowego zboczenia—w naszym ruchu ludowym tkwi zdrowy i wiele na przyszłość rokujący pierwiastek, mianowicie rozbudzenie się tego samego poczucia obywatelskiego, które z ludu wiejskiego w Poznańskiém i na Szląsku pruskim wytworzyło wał ochronny wobec zalewu germanizacyi, nie wystarczają takie piękne a wymowne zarazem fakty, jak samorodne przejawy poczucia solidarności obywatelskiéj u posłów włościańskich w radzie państwa podczas pamiętnych głosowań zeszłorocznych nad postawieniem gabinetu hr. K. Badeniego w stan oskarżenia i w sejmie

krajowym na sesyi tegorocznéj, gdy chodziło o to, aby uroczysty i poważny ton adresu, jako programowy głos autonomiczny, nie został w toku rozprawy zamącony żadnym wyrazem goryczy tego lub owego stronnictwa lub separatyzmu partyjnego? W radzie państwa niejednego przeciwnika ruchu ludowego rozbroił fakt znamienny, że gdy znany Wolf w brutalny sposób rzucał się na prezydyum gabinetu i izby, jeden z włościan polskich, z odłamu stojącego po za kołem, zbliżył się do jednego z jego członków z naiwném ale zdrowy grunt obywatelskiego poczucia odsłaniającém pytaniem: Czy nie czas już trzepnąć tego Niemca po gębie?

To téż szeregi pesymistów, którzy w stopniowym wzroście ruchu ludowego widzieli straszną wróżbę dla przyszłości kraju, przerzedzają się widocznie od niejakiego czasu, a natomiast z każdym dniem wzrasta liczba tych, którzy w ruchu tym widzą jeden z najpiękniejszych plonów naszéj długiéj pracy cywilizacyjnéj w okresie samorządu, plon, na razie, co prawda, z winy nieoględnych dozorców zachwaszczony, ale mimo to piękny i wiele obiecujący. Najlepiéj charakteryzuje tę zmianę w opinii fakt, że kiedy jeszcze przed dwoma laty konserwatysta, odzywający się o ruchu ludowym bez oburzenia, bez oklepanych frazesów o rozstroju, anarchii i t. d., a natomiast z usposobieniem cokolwiek życzliwém, narażał się na politowanie, jeżeli nie wprost na zarzut odstępstwa i przeniewierstwa politycznego, to dziś głosy takie nietylko już nie są bezwzględnie potępiane, lecz owszem odzywają się śmiało w łamach organów zachowawczych. Jest już teraz lepiéj, a będzie niewątpliwie jeszcze lepiéj, gdy zdrowy organizm ruchu ludowego zwycięży chwilowe niedomaganie, gdy się z czasem otrząśnie z takich naleciałości, jak stojałowszczyzna i t. p.

Do sprawy wreszcie, która jakby na dobry finał téj kroniki wyłoniła się właśnie w chwili, gdy ona miała być już zamknięta, t. j. do zmiany osób w namiestnikowstwie galicyjskiém, pesymizm już wcale przyczepić się nie może.

Zazwyczaj dymisya uchodzi za synonim jeżeli nie śmierci politycznéj, to przynajmniéj dłuższego lub krótszego letargu osobistości ustępującéj. Tym razem zachodzi wyjątek od téj reguły, gdyż ks. Eustachy Sanguszko zstępuje z pierwszego w kraju stanowiska na własne, kilkakrotnie ponawiane żądanie, a zstępuje nie w zacisze życia prywatnego, lecz na szeroką arenę ochotniczéj służby obywatelskiéj, nietylko nie zniechęcony do niéj, nie zaćmiony w swojéj wielkiéj powadze, lecz owszem uczczony przez monarchę najwyższą oznaką uznania i wdzięczności, złotém runem, a przez wszystkie koła obywatelstwa w kraju taką serdeczną i głęboką popularnością, jakiéj przed nim za-

żywał ś. p. Alfred hr. Potocki, gdy po dwukrotnéj działalności ministeryalnéj, po marszałkowskiéj i namiestnikowskiéj funkcyi zasiadł w sejmie jako zwyczajny poseł, więc jako szeregowiec.

Nowy namiestnik, dr. Leon hr. Piniński, wchodzi na naczelne stanowisko administracyi krajowéj, jak żaden z jego poprzedników w okresie samorządnym, wprost z widowni parlamentarnéj, bez odbycia jakiegokolwiek nowicyatu biurowego. Szczegół ten może sprawiać wrażenie w świecie urzędniczym, dla opinii kraju jest podrzędnym, nawet drobiazgowym. Dla niéj arcyważném jest to, że ster rządów krajowych dostał się w ręce męża, który mimo młodego wieku już oddawna jako autor i profesor uniwersytetu zajmuje w świecie naukowym (prawniczym), nietylko w kraju, lecz i po za krajem, wybitne stanowisko, na widowni parlamentarnéj w Wiedniu i we Lwowie bystrym zmysłem politycznym zdobył sobie pozycyę równie wybitną, a z całéj dystyngowanéj indywidualności swojéj uważany być może niejako za typowego przedstawiciela kultury ze schyłku XIX stulecia.

Wiele kraj oczekiwać i wiele obiecywać sobie może z oddania steru spraw takiéj niepospolitéj osobistości, która jakby powołana była do tego, aby wprowadzić do administracyi dwa niezmiernie ważne czynniki jéj powodzenia, mianowicie inteligentną *par excellence* inicyatywę i równie inteligentną energię. W wyższym, szerokie horyzonty obejmującym umyśle nowego namiestnika szablonowe formułki i maniery biurokratyczne nie zasłonią pewnie jasnego poglądu na te wielkie zadania, jakie spełniać musi w nowożytném państwie jego administracya, powołana do misyi regulatorskiéj i korektorskiéj wobec wydobywających się na każdém polu i na każdym kroku nowych prądów i aspiracyi społecznych, których uprawnienia ciasna i uparta negacya nie uchyli, a które z drugiéj strony w rozwoju nie mogą być pozostawione swojéj sile nieokiełzanéj, jeżeli zamiast doprowadzić do zdrowéj reformy, nie mają skończyć się wywołaniem zgubnéj zawieruchy.

Ita.



Walące się domy

I NALEŻNOŚCI RZEMIEŚLNIKÓW.



„Warszawa — czytaliśmy w tych dniach w jednym z naszych dzienników — znajduje się w najniekorzystniejszych warunkach budowlanych.” Ze smutnego doświadczenia — wiemy o tém wszyscy. Niemożność posunięcia granic miasta na wschód i północ, rozszerzanie się wyłącznie w kierunku zachodnim i południowym, silne podrożenie placów nietylko w centrum miasta, ale i na jego krańcach, coraz większy brak materyałów budowlanych, a skutkiem tego: brak mieszkań, złe mieszkania i drożyzna ich, tém stosunkowo większa, im mieszkanie jest mniejsze — oto litania długa, a jednak niezupełna — odmawiana coraz częściéj i coraz głośniéj, któréj towarzyszy od czasu do czasu huk walących się niedokończonych domów i jęki pogrzebanych pod ich gruzami rzemieślników. Po każdym huku opinia publiczna i prasa bardzo żywo zajmują się tą „palącą kwestyą”, lecz gdy huk i jęki przeminą, sprawa idzie do akt — aż do nowego „huku” i nowych „jęków”.

Dwa lata temu „Niwa” drukowała szereg artykułów, wydanych następnie w osobnéj broszurze p. t. „Lichwa w budownictwie”, odsłaniających zakulisowe sprawy warszawskiego przemysłu budowlanego. Autor p. Wł. Koleżak z faktycznym stanem rzeczy gruntownie obeznany, silném piórem skréślił cały system środków i sposobów, przy których pomocy zręczny przedsiębiorca, korzystając z nadmiernéj konkuren-

cyi rzemieślników i ze słabéj kontroli technicznéj, prowadzi „fuszerkę” i wyzyskuje majstrów. Autor domagał się przedewszystkiém wzmocnienia nadzoru technicznego nad wznoszonemi w Warszawie budynkami, stronę zaś prawno-ekonomiczną, finansowy stosunek przedsiębiorcy właściciela domu do majstra-rzemieślnika, zaledwie potrąciwszy — na drugim planie postawił.

Zapewne, strona hygieniczna i techniczna przemysłu budowlanego muszą stać na pierwszém miejscu; nie należy jednak zapominać i o stronach: finansowéj, ekonomicznéj i prawnéj. Dotyczy ona interesów bardzo poważnych gałęzi przemysłu, bardzo licznéj i ciężko pracującéj klasy społeczeństwa, a za należycie uporządkowaną obecnie obowiązującemi przepisami prawnemi uważać jéj nie można.

Wprawdzie w chwili obecnéj strona ta nie stanowi jeszcze „kwestyi palącéj”. Zyski przedsiębiorców-właścicieli, t. j. różnica pomiędzy kosztem własnym rzeczywistym przedsiębiorcy budowy, kosztem wybudowania — a wartością domu, jako kapitału dającego dochód czysty, jest tak wielka, że właściciel-przedsiębiorca po ukończeniu budowy łatwo znajduje nabywców, realizuje prędko przedsiębiorstwo i reguluje rachunki z majstrami. Przypomniéć jednak należy, że około 20 lat temu mieliśmy kilka bankructw budowlanych i wielu rzemieślników wyszło z téj okazyi z poważnemi stratami. Hypoteki budujących się domów obciążone zostały w czasie budowy sumami, użytemi nie na budowę tych domów, po części sumami wprost fikcyjnemi. Na zachodzie Europy, w wielkich miastach szybko się rozszerzających przesilenia w spekulacyi budowlanéj nie są rzadkością, a majstrowie i rzemieślnicy zawsze w końcu ofiarą ich padają. W Niemczech straty rzemieślników, na bankructwach budowlanych poniesione w ostatnich latach, obliczono na podstawie danych, zebranych w ciągu kilku tygodni, na 6 milionów marek.

Dwa lata temu w Łodzi wielu majstrów i rzemieślników duże straty poniosło w innych nieco warunkach. Dwie firmy budowlane zbankrutowały, a przedstawiciele ich z gotówką pobraną z góry od właścicieli domów za granicę uciekli. Kontrakty majstrów i dostawców zawarte były nie z właścicielami placów, ale z przedsiębiorcami, tak że rzemieślnicy po ucieczce właściwych dłużników nie mieli na kim swych należności poszukiwać.

Smutne doświadczenie uczy, że zwykle każdy peryod silnego ruchu budowlanego w dużém mieście kończy się zastojem, spadkiem cen domów, bankructwem przedsiębiorców i stratami rzemieślników. Zachodzi więc niewątpliwa potrzeba bliższego wniknięcia w stosunki prawno-finansowe, jakie wedle przepisów u nas obowiązujących istnie-

ją pomiędzy przedsiębiorcą budowlanym, jego wierzycielami hypotecznemi i majstrami-rzemieślnikami, dom budującemi.

Obowiązujące u nas prawo hypoteczne uchyliło artykuły 2092 — 2203 kodeksu Napoleona, t. j. cały tytuł XVIII księgi III-éj o przywilejach i hypotekach. Pomiędzy uchylonemi był art. 2103, który stanowił:

„Wierzycielami uprzywilejowanymi na nieruchomości są.... N. 4 architekci, przedsiębiorcy, mularze i inni robotnicy, którzy pracowali przy budowaniu, odbudowaniu lub reparacyi budynków, kanałów i innych robotach.” Dla urzeczywistnienia tego przywileju kodeks nakazywał jednak, aby przed rozpoczęciem robót biegły, wyznaczony przez właściwy sąd pierwszéj instancyi, sporządził protokół stwierdzający stan rzeczy na miejscu co do robót, które właściciel wykonać zamierza, a następnie, aby po ukończeniu robót znów biegły przez sąd mianowany roboty odebrał. W końcu art. 2103 mówi: „W każdym razie suma należności uprzywilejowanéj nie może przewyższyć wartości robót, stwierdzonéj przez drugi protokół i ogranicza się do nadwartości istniejącéj w dniu sprzedaży nieruchomości, a wynikającéj z robót na téj nieruchomości dokonanych.”

Ten przepis kodeksu Napoleona, wprawdzie bardzo ciężki ze strony formalnéj, dający jednak majstrowi i rzemieślnikowi przywiléj, u nas dziś nie obowiązuje. Nasze prawo hypoteczne z r. 1818 wzorowało się na prawie hypoteczném pruskiém, w którém zasada pierwszeństwa praw wierzycieli w porządku czasu wniesienia ich do wykazu hypotecznego przeprowadzona jest z całą bezwzględnością, wskutek czego należności majstrów i rzemieślników z tytułu robót dokonanych na nieruchomości muszą ustąpić pierwszeństwa wszelki innym długom rzeczywistym i fikcyjnym, jeżeli tylko co do czasu przed niemi zapisane do hypoteki zostały.

Ten sam stan rzeczy istnieje i w Niemczech. Dlatego téż w tym kraju oddawna już zwrócono uwagę na anormalność stosunków prawnych, panujących w sferze przemysłu budowlanego, i to tém silniéj, że już za naszéj pamięci Berlin przechodził parę krachów budowlanych. Uchwalenie nowego dla całéj rzeszy niemieckiéj kodeksu cywilnego wprowadziło tę sprawę znów na porządek dzienny i w grudniu r. z. *Reichs-Anzeiger* (N. 295 z 15 grudnia) ogłosił rządowy projekt do prawa, mającego w przyszłości regulować stosunki pomiędzy przedsiębiorcą-właścicielem, wierzycielami i rzemieślnikami [1]).

---

[1]) Braun's *Archiv für Soziale Gesetzgebung und Statistik*, t. XII, z. I,—prócz tekstu (str. 97) podaje artykuł w téj materyi profesora uniwersytetu berlińskiego, p. Oertmanna.

Projektowane prawo ma charakter prawa specyalnego, miejscowego: będzie ono działać nie na całéj przestrzeni państwa niemieckiego, ale tylko w tych miejscowościach, gminach, lub nawet tylko w tych częściach gmin, co do których władza krajowa uzna to za potrzebne (§ 1). Działać ono będzie zapewne tylko w wielkich miastach, i tylko w tych częściach ich, w których spekulacya budowlana silnie się rozwinie. Z chwilą zastosowania go do pewnéj miejscowości wydanie pozwolenia policyjnego na budowanie domu (na placach pustych od lat 5) uwarunkowane będzie złożeniem poświadczenia urzędu hypotecznego, że w księdze hypotecznéj placu zrobione jest „ostrzeżenie o rozpoczęciu budowy” (*Bauvermerk*, § 2). Ostrzeżenie o rozpoczęciu budowy zapisuje się do ksiąg hypotecznych na żądanie właściciela placu i musi obejmować urzędowe oszacowanie placu. Oszacowania tego dokonywa specyalny urząd ławników (*Bauschöffen amt)*, ustanowiony przez rozporządzenie władzy krajowéj, która to władza określa zarazem i zasady oszacowania [1]. Wykréślenie ostrzeżenia o budowie następuje w 6 miesięcy od daty odnotowania w księdze hypotecznéj, że złożone zostało poświadczenie władzy policyjnéj o ukończenie domu i oddaniu go do użytku (§ 5).

Zapisanie ostrzeżenia o rozpoczęciu budowy ma ten prawny skutek, że wszelkie pretensye majstrów i rzemieślników, z tytułu budowy domu powstałe, nietylko uważają się za wniesione do wykazu hypotecznego pod datą zapisania ostrzeżenia, ale jeszcze i ten, że nawet poprzednio zapisane sumy, w razie subhastacyi domu, mają przed należnościami majstrów i rzemieślników pierwszeństwo o tyle tylko, o ile pokryte być mogą sumą urzędowego szacunku placu. Jeśli więc ktoś pożyczył właścicielowi na hypotekę placu przed rozpoczęciem budowy sumę wyższą nad jego szacunek urzędowy, to w razie subhastacyi — różnica między pretensyą jego a szacunkiem placu pokryta będzie po zaspokojeniu należności z tytułu budowy powstałych.

Pretensye majstrów i rzemieślników z tytułu budowy domu muszą być wniesione do hypoteki nie później, jak w 6 miesięcy po zapisaniu do księgi hypotecznéj poświadczenia policyi o ukończeniu domu, i za-

---

[1]) Jednocześnie z samém prawem, mającém obowiązywać w całém państwie niemieckiém, ogłoszono projekt przepisów o organizacyi urzędów ławniczych budowlanych dla królestwa pruskiego — jako wzór, według którego i w innych krajach państwa urzędy takie zorganizowane być powinny. Oszacowanie ustanawia się w zasadzie dla pewnych części miasta, lub dla ulic, na metry kwadratowe. Na żądanie jednak właściciela ławnicy obowiązani są ustanowić szacunek specyalny danego placu. Koszta wniesienia do hypoteki ostrzeżenia o budowie oznaczono na 10 marek,—wykréślenie następuje bezpłatnie.

pisują się albo za zgodą właściciela domu, albo na mocy rozporządzenia sądu; przyczém prawo stanowi, że dla wydania tego rozporządzenia sąd przekonać się powinien tylko o wiarogodności (*Glaubhaftigkeit*) téj pretensyi (§ 8).

Wszystkie pretensye majstrów i rzemieślników, z tytułu budowy powstałe, mają równe prawa hypoteczne; każdemu z nich służy prawo wystąpienia sądownie o zmniejszenie pretensyi innych majstrów, jeśli takowe przewyższają o $1/5$ słuszne wynagrodzenie, w danéj miejscowości praktykowane. W razie subhastacyi domu, sumą otrzymaną ponad szacunek placu dzielą się *pro rata parte* (§ 12 i 14). Włączenie do kontraktu na roboty warunku, którymby majster lub rzemieślnik zrzekał się przywileju przysługującego mu z obecnego prawa — jest nieważne (§ 21).

Nie wchodzimy w bardziéj szczegółowy rozbiór pozostałych przepisów projektowanego prawa, przytoczymy tylko to, że prawo przewiduje możność ze strony właściciela-przedsiębiorcy budowy zaciągnięcia pożyczki hypotecznéj na koszta budowy, przyczém udzielający pożyczkę, jeśli chce zabezpieczyć swe prawa, winien jest zapisać je do hypoteki przed ostrzeżeniem o budowie i wypłacać piéniądze wprost majstrom i rzemieślnikom na poczet ich należności. Przy spełnianiu tych warunków, przy subhastacyi suma urzędowego oszacowania placu powiększa się o całą sumę wypłaconą przez niego rzemieślnikom i majstrom, a tém samém należność jego jest uprzywilejowaną nawet przed wszystkiemi pretensyami z budowy powstałemi (§ 16).

Czy ten sposób załatwienia stosunku prawnego pomiędzy rzemieślnikami i majstrami z jednéj strony, a kapitalistą dającym gotówkę na budowę domu z drugiéj strony — jest właściwym, wchodzić w to nie będziemy. Oertmann [1]) sądzi, że ustawa powinna dać temu wierzycielowi tylko takie prawo, jakie miał majster-rzemieślnik przez niego spłacony i w razie przymusowéj sprzedaży odesłać go razem z innemi majstrami i rzemieślnikami do podziału *pro rata parte* wartością budynku. Być może, że przepis ten narusza ogólną zasadę prawną, iż nikt nie może odstąpić komuś lepszego prawa, niż sam posiada, — sądzimy jednak, że autorami projektu kierowała tu chęć — zupełnie uzasadniona — ułatwienia przedsiębiorcom kredytu, który w razie zatwierdzenia projektowanego prawa prawdopodobnie ulegnie ograniczeniom.

Jakiekolwiek przywileje da nowe prawo należnościom majstrów i rzemieślników z budowy wynikłym, przywileje te powstaną kosztem

---

[1]) Brauns „*Archiv*“, *l. c.*, str. 62 i nast.

praw innych wierzycieli hypotecznych, którzy do dziś dnia — słusznie czy niesłusznie — korzystali z absolutnego bezpieczeństwa, opartego na wartości placu i domu w porządku ustanowionym czasem wpisów. Ostrzeżenie o budowie zmniejsza to bezpieczeństwo, zmusza kapitalistę do płacenia osobiście rachunków rzemieślników i każe mu być o wiele ostrożniejszym w udzieleniu pożyczki. Zachodzi więc obawa, że wprowadzenie w wykonanie projektowanego prawa ograniczy kredyt przedsiębiorców budowlanych, utrudni—nawet najsumienniejszym — roboty, co nie jest bynajmniéj pożądane z punktu widzenia interesów ogółu. Utrudnienia niewątpliwie powstaną prócz tego i dla téj przyczyny, że zbywanie domu świéżo wzniesionego przed upływem $^1/_2$ roku od czasu ukończenia budowy (t. j. do upływu terminu oznaczonego prawem do zapisania w wykazie hypotecznym pretensyi z tytułu budowy wynikłych), albo nie będzie mogło nastąpić, albo z pewnemi zastrzeżeniami (zatrzymanie kaucyi) i ograniczeniami, które w każdym razie utrudnią zrealizowanie przedsiębiorstwa.

W interesie ogółu leży niewątpliwie zarówno usunięcie nieuczciwych manipulacyi hypotecznych ze szkodą majstrów i rzemieślników, jak i możliwie szerokie rozwinięcie przemysłu budowlanego, a tém samém i ułatwienie mu taniego kredytu. Dlatego téż prawo projektowane w Niemczech nietylko dało przywiléj majstrom i rzemieślnikom, ale dało go tu i temu wierzycielowi, który w interesie tychże rzemieślników, przedsiębiorcy i ogółu — dostarcza gotówki na prowadzenie budowy.

Przywodząc powyżéj treść przepisów projektowanego prawa, nie wątpimy, że zaprowadzenie jakiegoś analogicznego prawa u nas jest koniecznie potrzebne, a jednocześnie sądzimy, że zastosowanie przytoczonego projektu prawa w całości u nas jest niemożliwe. Należałoby, aby sfery kompetentne, a zatém zarówno prawne, jak i techniczne zajęły się rozważeniem jego przepisów, zbadaniem możliwości pogodzenia ich z przepisami u nas obowiązującemi i zaprojektowaniem odpowiednich przepisów prawa dla naszego kraju.

Zwrócimy uwagę jeszcze na tę okoliczność, że całe to prawo stoi na gruncie hypotecznym, że zatém o zaprowadzeniu jego w Cesarstwie mowy być nie może; że zatém inicyatywa do jego zaprowadzenia jeśli nie wyjdzie z naszego miasta, to prawdopodobnie nie powstanie całkiem.

St. Piotrowski.

IRONIE ŻYCIA.

Nowele z Albionu.

II.

Za głosem natury.

Choroba Herberta Denmore groźne przybrała rozmiary. W początkach niemocy drażliwy i miotany wewnętrznym niepokojem, jak powietrze naładowane elektrycznością, teraz przyjmował leki i poddawał się życzeniom pielęgnujących go osób bez słowa protestu lub skargi. Gdy przewieziono go z Londynu nad morze, zdawał się odzyskiwać siły, ale trwało to krótko. Niebawem począł zapadać w stan komatyczny, z którego budził się ze skórą woskową, przejrzystą, z oczyma i licami zapadłemi. A z przytomnością nie wracała żywotność; upadał na duchu, który byłby krzepił go na siłach. Jak cień blady i cichy, spoczywał na łożu po znojach żywota, z pobielałym włosem, uzbrojony w rezygnacyę, niezawisły od świata, obojętny na sprawy jego, nieczuły nawet na tok wydarzeń, dotyczących jego osoby, i już niemal wyzwolony z pęt cielesnych. I nikły rytm życia w sypialni nie trącał prawie o zastygłe struny duszy.

Lecz, jak ogień, zanim zgaśnie wystrzeli jeszcze żywym płomieniem, tak on ocknął się tego ranka z apatyi. Duże, blado niebieskie

jego oczy błądziły jasne i pogodne po sypialni, do którój zakradał się siny brzask. Popatrzył na drzémiącą w fotelu kobiétę, która doglądała go téj nocy, potém wzrok jego spoczął na wychudłéj, kościstéj ręce na kołdrze, lecz wygląd jéj nie napełniał go smutkiem; zapominał bowiem, że ona do niego należy. I przykuł wzrok do żółtéj plamki na tapecie. Czemu ona ściągnęła i więziła jego uwagę, nie wiedział; może tym sposobem chciał skupić ducha. Dość, że gdy tak patrzał, wstąpiła w niego pewność, że wkrótce pożegna się ze światem.

Z pogodną powagą na twarzy zastała go żona, gdy około ósméj z rana weszła do pokoju po jednéj z niewielu nocy przespanych spokojnie. Wypoczęta i zdrowa, skłonna była widziéć wszystko w jasnych barwach, a jéj zmysł obserwacyjny stępił się skutkiem nawyknienia. Uśmiéch przeto, który strzelił ku niéj z źrenic chorego, poczytała za objaw pomyślnego zwrotu choroby. Jednakże lekarz, który nadszedł wkrótce, wyznał, że jedynie w razie, gdyby chory przetrwał w tym stanie jednę lub dwie doby, możnaby spodziewać się powolnego powrotu do zdrowia. Pani Denmore rozumiała, co chciał powiedziéć, ale nie umiała zrealizować znaczenia tego słowa śmierć, które oddawna zawisło w powietrzu, rzucając na otoczenie mrok smutku. Zajęła się przeglądem lekarstw, odzywając się do męża zniżonym głosem.

Gdy szarytka udała się na spoczynek, usiadła obok łoża chorego.

— Bardzo mnie cieszy, że jesteś silniejszy.

Ani muskuł nie drgnął w jego twarzy; nie odrzekł nic, czując, że rzecz się ma przeciwnie. Dopiéro po długiéj chwili milczenia ozwał się z cicha:

— Klaro!

— Czego sobie życzysz, *dear?*

— Czy są listy?

Gdy zdała mu sprawę, kto i w jakich słowach dowiadywał się o niego, rzekł:

— Wyślij natychmiast trzy depesze: do Henryka Hilton, do Tomasza Sims i do Alberta Smithers z oznajmieniem, że godziny me policzone, i z prośbą, aby przybyli dzisiaj niezwłocznie uścisnąć mi rękę. Nie zwlekaj!

Życzenie to zdziwiło i zastanowiło panią Denmore niezmiernie, lecz nie śmiała pytać o wyjaśnienie, bo na rysach jego spoczywał poważny ton, który zamykał jéj usta. W milczeniu wyszła do trzeciego pokoju.

Służąca, uprzątająca właśnie jéj niewielką sypialnię, przedzieloną salonikiem od pokoju chorego, nie zapomniała powtórzyć stereotypo-

wego pytania o zdrowie pana Denmore, pytania, które stanowiło niezbędny wstęp do pogawędki. Zaledwie też wysłuchała odpowiedzi, rzekła:

— Piękna pogoda zwabi do Brighton wiele gości. Jesienny sezon wypadnie pomyślnie.

Listopadowy ranek zdał się wiosny zapowiedzią. Na kamiennym chodniku, biegnącym przed oknem wzdłuż morza, mimo wczesną godzinę, snuło się już wielu spacerujących, a wody kanału angielskiego, które barwę zapożyczyły od szaro-błękitnego sklepienia niebios i układały się leniwie w drobne fałdy, nęciły oko, jako obraz spoczynku i istnienia bez troski.

Morski krajobraz, myślom Klary nadając inny kierunek, wygładził stroskane jéj oblicze, a w potocznéj rozmowie ze służącą znajdowała rzeczywistą przyjemność. Gdy bowiem grom grozi człowiekowi, zwykle czepia się on drobnostek, w błahych słowach i trywialnych zajęciach szukając ulgi i zapomnienia przez wrodzony wstręt do boleści. Banalne frazesy nabierają wtenczas niezmiernéj wagi i uroku świéżości.

Na pierwszy rzut oka dość harmonijna, przysiadła postać Klary, jaką można napotkać wszędzie, częściéj nad Sekwaną, niż nad Tamizą, nie wywierała wrażenia, które dałoby zamknąć się w kilku słowach. Trudno było zaopiniować o jéj urodzie, zresztą, licząc czterdzieści i dwa lata, była w wieku, w którym uroda przestaje podlegać ścisłéj krytyce, a natomiast ważniejszą odgrywa rolę wygląd kobiéty w stosunku do jéj wieku. Była ona dobrze „zakonserwowaną"; ruchy nie straciły elastyczności, linie postaci nie załamały się nieforemnie. Nie było jeszcze śladu tego, schyłek znamionującego, opuszczenia, jakie można zauważyć we wzięciu osób, które, przekroczywszy demarkacyjną linię pomiędzy młodością a starością, mimowoli zdają się pozbawione pretensyi. Widocznie dni jéj przepłynęły cicho po mieliznach, zdala od przejść moralnych i głębokich wstrząśnień. Biło z jéj postaci zwierzęce zadowolenie z istnienia, które cechuje poziome istoty o niezachwianéj równowadze umysłu, żyjące w dostatkach życiem elementarném. Ztąd, lubo wyglądała na swój wiek, w liczném kole kobiét bez zastanowienia zaliczano ją do grona młodych. Luźny, ciemno-bronzowy strój poranny, obszyty nieco jaśniejszą koronką w koło szyi i rękawów, ściągnięty tegoż koloru wstążką w pasie, uwydatniał jéj silne kształty: pierś bujną, ramiona mięsiste, biodra wydatne. Gdy poczynała mówić, zapominało się o czerwono-zafarbowanéj cerze twarzy, jaką wskutek wpływôw klimatycznych mają Anglicy dość wcześnie, o niezgrabnie narysowanych ustach, o ciemnych, jakby oliwą przesiąkłych włosach, bo z oczu tryskała wesołość, fizyo-

gnomia ożywiała się, pociągała za pomocą jakiegoś rysu, który przemawiał do niższych instynktów człowieka.

Spodziewając się przyjazdu przyjaciół męża, Klara poleciła służącéj przysposobić *luncheon* na kilka osób w jéj pokoju, a nie w środkowym, gdzie rozmowa i szczęk talerzy mogłyby zakłócić spokój chorego.

Po wyjściu służącéj długo siedziała zamyślona z rozłożonemi przed sobą ćwiartkami papieru, maczając pióro w kałamarzu co chwila, a nie mogąc zdobyć się na skréślenie depesz.

Dlaczego Herbert przyzywał przyjaciół do siebie? Czy miał do nich prośbę lub zlecenie? Prawdopodobnie. A widocznie nie chciał wyjawić jéj powodu. Czy on nie ukrywał czego przed nią?...

Wierny nawyknieniom rutynista, nigdy w domowém kółku nie wspominał o interesach, biorąc z nimi zupełny rozbrat w godzinach wypoczynku, tak, iż stan jego majątkowy pozostał jéj prawie nieznanym. Jednakże w ostatnich latach odbiło jéj się o uszy kilka ogólników o zastoju w handlu i, chociaż wystawny tryb ich życia nie uległ zmianie i Klarze nie zbywało na niczém, Herbert ograniczył się w osobistych wydatkach. Okolicznościowo odwiedzając jego skład obrazów, miedziorytów i litografii, zaobserwowała w nim pewien nieład, który wówczas nie raził jéj, ale teraz niekorzystnie świadczył o stanie firmy. Powtóre najzdolniejszy urzędnik opuścił go, aby na własną rękę pośredniczyć w sprzedaży dzieł sztuki, i niezawodnie pociągnął za sobą pewną liczbę klientów, znaczny czyniąc wyłom w obrocie interesów. Odtąd wszystko spoczywało na głowie Herberta, który, dopóki mu zdrowie służyło, z pewnością doglądał spraw sumiennie, ale Bóg wié, czy choroba jego nie odbiła się na stanie majątkowym, czy nie grał na giełdzie...

Rzeczywiście Herbert okazywał się zbyt szczodrym wobec ludzi, którzy nie omieszkiwali wyzyskiwać jego dobrego serca i wspaniałomyślności. Pospieszył z pomocą Hiltonowi, Simsowi i zapewne wielu innym. Może obecnie zamierzał żądać od nich wzamian usługi?... Czy oni podaliby rękę jéj, gdyby miała się znaleść w kłopocie?...

Nie rzucało to pochlebnego światła na Herberta, bo żona zajmowała u niego pierwsze miejsce. Otaczał ją wygodami, odgadywał i uprzedzał jéj życzenia, postępował względem niéj zawsze z najwyższą delikatnością i wyrozumiałością. A w każdą rocznicę ich ślubu, zastawała przy śniadaniu na stole list od niego, w którym usiłował zapewnić ją wymowniéj, aniżeli byłby potrafił wyrazić osobiście, o niezmienności swych uczuć. W ciągu z górą dwudziestu lat szczęśliwego pożycia dawał jéj dowody swego przywiązania, chociaż... mógł był, miał

nawet obowiązek zabezpieczyć przyszłość żonie. Bo Klara nie miała sobie względem niego nic do wyrzucenia.

Teraz okrutny los groził jéj szczęściu, chciał położyć koniec wszystkiemu! Ale on nie umrze, widocznie ma się lepiéj. Lekarz, nie obserwując go bacznie, mylił się, nie dostrzegł téj iskry życia, która pałała w jego źrenicach, znamionując przesilenie. Rekonwalescencya potrwa długo, ale...

Na dnie duszy głos jakiś przeczył tym przypuszczeniom.

Cóż poczęłaby sama jedna na świecie? Nie mogła rozpoczynać życia na nowo! Wprawdzie, bądź co bądź sprzedaż dzieł sztuki przyniesie jéj dość znaczną sumę, lecz... byłoby bardzo smutném, aby miała stracić kochanego męża.

Pani Denmore czuła się trochę zdenerwowaną i łzy płynęły po jéj twarzy, gdy kreśliła depesze.

Niewątpliwie przyjaciele Herberta pospieszą do Brighton na wezwanie. Państwo Hilton dawali im liczne dowody troskliwości i współczucia, niemniéj państwo Sims. Aczkolwiek wizyta u tak ciężko chorego nie uśmiéchała się, czyż podobna przypuścić, aby Tom Sims zawiódł ich? Tkliwego usposobienia, serce noszący na ręku malarz, zwykł był pod koniec wesołych kolacyi wynurzać swą wdzięczność i przyjaźń dla Herberta w niezgrabnych przemówieniach. A rozczulał się przytém do tego stopnia, że okulary zachodziły mu łzami, zwłaszcza po kilkunastu libacyach.

Wistocie nie mógł bodaj poszczycić się lepszym przyjacielem nad Denmore'a. Gdy jako młody człowiek przybył do Londynu, Herbert jeden nabywał nieudolne jego obrazki, przepłacając je i służąc mu pożyczką na każde zawołanie. Uważał go za utalentowanego malarza, lecz, nawet gdy Sims zdobył sobie stanowisko, Herbert nie posiadał pochlebnego wyobrażenia o jego pracach, twierdząc, iż skalę swéj twórczości obniżył do zera. W sobie właściwy, dobroduszny sposób, wolny od cienia nieprzychylności, mówił o morskich widokach Simsa, że różnią się jedynie ilością łódek i rozmieszczeniem ich na płótnie. Atoli artysta zdumiewał Klarę łatwością, z jaką wykonywał dziennie cztery, pięć a nawet więcéj pokupnych akwarel. Obrazy jego przyjmowano w akademii sztuk pięknych i powodziło mu się doskonale. Lwią część sukcesu zawdzięczał osobistemu wzięciu; towarzyski, gościnny, uprzejmy i wesoły bratał się z ludźmi łatwo i podbijał wszystkich swém swobodném obejściem, pozbawioném sztywności, afektacyi i pozy. Uchodził powszechnie za niezrównanego klubowca i towarzysza. Nieraz miewał dowcipy...

Wspomnienia rozjaśniły uśmiéchem jéj oblicze; mocą naturalnéj reakcyi nerwowéj po łez odpływie najniklejszy ton radosny układa linie twarzy do uśmiéchu.

Czasami Tom przekraczał granice przyzwoitości! Pewnego razu zastawszy ją samą, zapomniał się tak dalece, że ją pocałował. Kładła to na karb zbyt dobrego obiadu, ale nie mogła uniewinnić śmiałości, z jaką w czasie ich pobytu w Boulogne-sur-mer szeptał jéj na ucho niedorzeczności. Właśnie rok temu... rok i cztery miesiące. Podczas gdy towarzystwo rozmawiało w głębi salonu, Klara grała trzecie *impromtu* Szuberta, ulubioną sztukę malarza, a on przewracając stronice, zbliżył się tuż do jéj twarzy... Trochę zanadto sobie pozwolił! Wygadywał takie głupstwa! *It was too bad!* Lecz w gruncie rzeczy nie myślał sobie nic złego, będąc rzeczywiście zacnym i poczciwym człowiekiem.

Pani Denmore spoglądała w dal morską, a za wzrokiem myśli pogoniły daleko. Gdy teraźniejszość narzuciła się jéj z całą brutalnością, westchnęła z żalu nad swą dolą, odczuwając różnicę pomiędzy jasném wczoraj a pochmurném, posępném dzisiaj.

Po wysłaniu depesz, pośpieszyła do męża.

W odpowiedzi na wezwanie, Mr. Hilton zawiadamiał z ubolewaniem, iż ważny interes zmusza go do odłożenia wizyty do następnego dnia, od pana Smithers nie było wiadomości, jedynie Mr. Sims obiecywał przybyć z południa.

Wieść ta ucieszyła chorego i dopytywał się, o któréj godzinie przychodzi pociąg kuryerski i czy się nie spóźnia.

Czas upływał leniwie w sypialni pana Denmore, gdzie ciężar jakiś przygniatał Klarę. Brutalny zakrój jéj duchowéj konstytucyi, płytkie uczucia, wyrosłe na gruncie przyzwyczajenia, konwencyonalizmu i osobistych względów, stanowiły zawsze niewzruszoną zaporę do zespolenia się z duszą męża. Dążyła przeto instyktownie do oswobodzenia się od obcego sobie atomu powagi, szukała skwapliwie w przeróżnych czynnościach drogi wyjścia z tego smutkiem przesiąkłego koła. Jakoż ile razy zaturkotał powóz, rzucała okiem na ulicę i nadsłuchiwała, gdy zastukano do kamienicy, wyglądając przybycia kogobądź, ktoby przez swą obecność spowodował dystrakcyę, wniósł promień innego istnienia. Gdy przeto przybył Mr. Sims, powitała go z radością.

— Jak się miewa Herbert? — spytał półgłosem przybysz, zdejmując palto w saloniku.

— Bardzo słaby.

— Bardzo mi przykro; taki dawny, dobry mój przyjaciel... — mówił z lekkiém, nerwowém drżeniem w głosie, gładząc rudą brodę.— Co mówił doktór?

Mr. Sims, średniego wzrostu mężczyzna, lat czterdziestu kilku, w szaraczkowym ubiorze, z jędrną twarzą, zarumienioną zwłaszcza wokoło nosa, i widoczną skłonnością do dobréj tuszy, przypominał postaci małomiejskich obywateli. Okulary nadawały mu cechę profesorsko-pedantyczną, któréj nie było w nim ani śladu.

Po krótkiéj rozmowie odchrząknął i wszedł z bukietem kwiatów do sypialni chorego za panią Denmore.

Zaledwie drzwi się uchyliły, Herbert odwrócił głowę i przyjaciele ścisnęli sobie ręce serdecznie.

— Podziękuj żonie za te piękne kwiaty — rzekł chory, zanurzając palce w zwój chryzantemów i nieśmiertelników i przyglądając im się z przyjemnością.

— Dziękuję ci bardzo, że przybyłeś... — powtórzył, podnosząc źrenice na malarza.—Czy dawno nie widziałeś Smithers'a? Dziwi mnie, że nie było od niego listu.

— Jeśli się nie mylę, wyjechał do Ameryki. Nie spotkałem go od dość dawna. Ale, powiédz mi, jak się czujesz?

— Cieszy mnie, że przyjechałeś —odrzekł na to Herbert i kilka słów, które miał na ustach, zaginęło w westchnieniu.

— Czy przysposobiłaś śniadanie dla Tom'a?—zwrócił się do żony w ciągu rozmowy, przerywanéj długiemi pauzami.

Klara wysunęła się zaraz z pokoju. Z przybyciem gościa wstąpiła w nią otucha, że Herbert przyjdzie do siebie, i wydał jéj się on teraz znacznie silniejszym.

Jednakowoż małomówność i niezdolność wysłowienia swych uczuć i myśli, któremi przez wrodzoną delikatność nie zwykł był narzucać się innym, nie opuściły go. Słuchał nowin o znajomych, któremi Tom pragnął go rozerwać, ale w gruncie rzeczy nie budziły w nim wielkiego zajęcia. Gdy pan Sims przerwał, wyrzekł znowu:

— Dziękuję ci... — i uścisnął mu rękę, poczém zaległo sypialnię długie milczenie, ciężkie, ponure, jak zwykle w obliczu śmierci. Przerwał je chory, mówiąc z cicha jakby do siebie:

— Zdaje mi się, że nigdy nie było we mnie dogmatycznéj wiary...

— A przecież świécisz przykładem nabożnym ludziom.

— Wątpię... — szepnął i naraz odezwał się:—co porabia twój syn Artur?

— Chciałbym oddać go do szkoły sztuk pięknych w Antwerpii.

— Zdolny i dobry młodzieniec. Słuchaj, Tom! Daj mu sposobność wykształcić się; ma rzeczywiście malarskie oko... Tom, chciałem ci coś powiedziéć...

Tu urwał, nie mogąc zdobyć się na wyjawienie tego, co miał na sercu. Odwrócił twarz do ściany i malarz próżno czekał wyznania. A nie był pewnym, czy dotyczyło jego syna, czy jakiéj osobistéj sprawy.

— Co masz mi do powiedzenia?

— Nic... — brzmiała cicha odpowiedź.

Na to weszła pani Denmore, wzywając gościa na *luncheon*.

— Czy nie potrzeba ci czego, *dear?*—zagadnęła męża. — Zażyłeś lekarstwo? Szarytka wróci dopiéro za godzinę.

— Podaj mi biblię ze stołu i pozostaw mnie samego.

Rozsunąwszy palcami księgę, wsparł ją na piersiach i pogrążył się w lekturze.

Tymczasem w ostatnim pokoju Klara, naléwając malarzowi wina, spytała:

— Jak go pan znajduje?

Wycierając chustką okulary, pan Sims, widocznie wzruszony, starał się obawy jéj uciszyć, chociaż nie tail, iż nie spodziéwał się zastać przyjaciela tak zmienionym. Widać było, iż nie żywił różowych nadziei.

— Niech pan nie da się prosić i zje cośkolwiek — mówiła. — Wśród tych okoliczności nie mogłam sama zająć się śniadaniem, w wynajętych pokojach niewygoda, a zatém...

— Ależ, droga pani, mniejsza o to. Niechaj pani nie wzbrania się przed kieliszkiem burgundzkiego wina... Musi pani być wyczerpana, znużona; nie trzeba poddawać się zmartwieniu!

Ujęta przyjacielskiém obejściem malarza, Klara wyspowiadała mu się z trosk i niepokoi.

— Mam przekonanie, że rzeczy tak źle nie stoją. Wnosząc z tego, co mówił mi kilka lat temu jego pomocnik, Herbert powinien posiadać znaczny majątek, jeśli nie wdał się w spekulacye... Nadmienił mi coś kiedyś o spółkach budowlanych... Bądź co bądź, lubo kapitałów nie posiadam i jestem obarczony liczną familią, poradzę coś w danym razie z Hiltonem. Nie ma o co się kłopotać.

Nalał sobie wina i, popijając, wyglądał przez okno, gdzie panował ożywiony ruch. Nieprzerwany strumień przechodniów płynął zwolna chodnikiem, katarynka wygrywała skoczną muzykę, atleta w trykotowym kostyumie z ciężarami w rękach zwracał na siebie oczy wszystkich, a daléj, na nadmorskich piaskach pomiędzy dwoma szeregami czółen widać było trzech cudacznie odzianych minstrelów, z kastanietami w dłoniach, w otoczeniu dziatwy i licznéj gawiedzi.

Widok ten nęcił malarza jakby coś nowego, istota jego zléwała się i mieszała z różnobarwnym tłumem i ogarnęło go błogie zadowole-

nie z tego, że żyje, że kto inny, a nie on sam, stoi na krańcu ziemskiego istnienia. Rozsiadł się wygodnie, oddychając ciężko.

Milcząca Klara wsparła łokcie na stole i przysłoniła oczy chusteczką, a, wrażliwy na łzy kobiéce, Tom ujął jéj rękę, ściskając serdecznie, jakby mówiąc: „licz na mą przyjaźń, nie opuszczę cię".

Nareszcie, uspokoiwszy się, wysunęła rękę z jego dłoni i powstała bez powodu. Zdało się, że miała zamiar wyjść z pokoju, lecz przystanęła, zastanawiając się, co chciała zrobić, i znowu zbliżyła się do stołu.

— Niech pani otrze łzy — pocieszał ją Tom. — Toż życie stoi otworem! Czemu dawać przystęp smutnym myślom? Taka dobra i kochana kobiéta zazna niemało chwil wesołych... Wrócą inne czasy! Pamięta pani, jak było nam wesoło w Boulogne!

Łzy stanęły jéj w oczach i przysłoniła oblicze.

— Cóż pocznę na świecie?..—westchnęła, łkając z cicha.

Chciał coś odrzec, lecz wzrok jego padł na wydatne formy jéj postaci, na pierś falującą; przerwał się wątek jego myśli i wszystko, co co rozsądkiem i duchem w nim było, zatonęło w mętach zwierzęcéj namiętności. Wziął w dłonie jéj ręce i naraz, nie zdając sobie sprawy z swego postępku, opasał ją silnie ramionami, z tą cechującą niektórych mężczyzn bezmyślną naiwnością dziecka, które, widząc przed sobą cacko, sięga po nie, o nic i o nikogo się nie troszcząc.

Dziwny zamęt zaczadził jéj umysł, jednakże szepnęła: „nie!" Lecz przesunęła jéj się przez głowę myśl, że gdy odtrąci jego... przyjaźń, postrada jedynego opiekuna, jedynego sympatyzującego z sobą człowieka i rzekła: „nie dzisiaj!..."

Gorący pocałunek wstrząsnął nią do głębi, ale wtém wydało jéj się, że posłyszała znany głos zdala. I, oswobodziwszy się szybko z jego uścisku, znikła za drzwiami.

Chory, z ręką na otwartéj biblii, spoczywał bez ruchu, z zamkniętemi oczyma, z rozchylonemi ustami. Oddychał, spał niby, przysłonięty śnieżną gazą wielkiego pokoju i pozaświatowéj ciszy.

Żona jego stała nieruchoma w drzwiach sypialni, patrząc przed siebie zamgloném okiem, które ślizgało się po przedmiotach, nic nie zdolne uchwycić. Nie umiałaby powiedziéć ani po co przyszła, ani co widziała, ani w jakim ten obraz stał do niéj stosunku. Potężny prąd z łona ziemi płynący, drżał w jéj nerwach, przenikał aż do szpiku kości, ubezwładniał jéj członki aż do omdlenia, paraliżował umysł, w którym panował nieopisany chaos. Obraz śmierci wszakże nie przesunął się przed nią bez wrażenia; rozpędził obłok mózg ogarniający, pozostawiając w nim ogromną, bezgraniczną pustkę.

Przymknęła cicho drzwi za sobą i zatrzymała się na środku saloniku, pomiędzy anielską wizyą śmierci a życia szatańskim uśmiéchem...

Chwiejnym krokiem zbliżyła się do swéj sypialni, lecz teraz stanęła przed oczyma jéj duszy żółta, przezroczysta twarz umiérającego mężczyzny, który leżał na poduszkach, z głową uniesioną wysoko, z ręką na otwartéj księdze, z dumą na rysach. Wszystko to widziała ona.. kiedyś. I głos jakiś wewnętrzny wołał: „nie!!", wszelako głos ten nie do niéj się zwracał, przechodził ponad jéj głową, mimo jéj istoty, która ugrzęzła w zmysłach. W łonie skupiło się jéj życie i wsłuchiwała się lubieżnie w ów wibrujący w jéj ciele ton, wsłuchiwała się każdą kroplą swéj krwi, aż cała zamieniła się w ucho. Drżącą rękę położyła na klamce, na lica jéj wystąpił szkarłatny rumieniec, miły zawrót ogarnął jéj głowę, serce biło młotem, zapiérając oddech.

I... weszła.

Wkrótce potém mąż jéj ducha wyzionął...

. . . .

Liczny zastęp znajomych i przyjaciół odprowadził zwłoki Herberta Denmore na wieczny spoczynek, między innemi Henryk Hilton, który ubolewał, iż zapóźno przybył do Brighton, aby uścisnąć dłoń długoletniego przyjaciela. Przejęty głębokim szacunkiem dla tak rzadkiéj dobroci człowieka, ofiarował swe usługi pani Denmore na każdy wypadek.

Ale pomoc była zbyteczna. Po otwarciu testamentu bowiem okazało się, że zmarły pozostawił swéj wdowie dość znaczną rentę. Prócz tego zaś poczynił legaty na kilka instytucyi, które wspomagał za życia bez wiedzy swego otoczenia. Największe żdziwienie wszakże sprawiła oryginalna klauzura w testamencie, w któréj pan Denmore przeznaczał kwotę tysiąca funtów szterlingów „przyjacielowi lub do równego podziału przyjaciołom, którzy odwiedzą go w dzień zgonu". Na mocy tego Mr. Sims przyszedł niespodzianie w posiadanie znacznéj sumy.

Wieść o tym zapisie zaskoczyła go w czasie kondolencyjnéj wizyty z żoną i familią u pani Denmore. Długo nie mógł wymówić słowa, łez kilka spłynęło po jego twarzy, łez żalu po stracie niezrównanego przyjaciela. Przyszedłszy do siebie, dał wolny bieg słowom uwielbienia i wdzięczności.

Lecz poplątały mu się myśli i umilkł, gdy wzrok jego zahaczył się o Klarę, która siedziała milcząca, z odwróconą głową. Pogrążył się w osłupieniu.

Dla pani Sims spadek był bardzo miłą niespodzianką.

— Niebawem wyjeżdżamy na zimę do Cannes—rzekła. — Droga pani Denmore, czy po tak bolesném przejściu nie zechce nam pani towarzyszyć, dom nasz uważając za własny? Uszczęśliwi nas pani bardzo...

Na razie Klara nie mogła powziąć postanowienia.

Malarz milczał.

Na wyjściu wszakże, gdy poczuł jéj rękę w swéj ręce, mimowoli przytrzymał ją i uścisnął serdecznie, a uścisk jéj dłoni zastąpił odpowiedź...

Maciéj Wierzbiński.



Jeszcze o Ostrorogu.

Żaden pomnik literatury polskiéj XV w. nie znalazł tylu badaczy i krytyków, co słynne „*Monumentum pro rei publicae ordinatione*" doktora obojga praw, Jana Ostroroga. I nie dziw. Dzieło to, pomimo niewielkich rozmiarów i zwięzłości, przypominającéj orzeczenia starych lakończyków, cechuje się taką głębokością poglądów, oryginalnością i świeżością pomysłów, wyprzedzających częstokroć swą epokę, a przytém przeniknięte jest takim szczerym patryotyzmem, taką godnością i dumą narodową, że nie mogło nie zatrzymać na sobie przez dłuższy czas uwagi wykładaczy przeszłości naszego narodu i naszéj literatury.

Pomimo to wszystko od bardzo niedawna datuje się początek krytycznych badań naszego statysty. „*Monumentum*", wniesione około 1536 r. przez Stanisława Górskiego do XVII t. „*Acta Tomiciana*" przez długi czas pozostawało w ukryciu, skąd wydobył je dopiéro w XVIII stuleciu skrzętny bibliotekarz Załuskich, J. D. Janocki, ogłosiwszy uczonemu światu o jego istnieniu; obecnie rękopis ten znajduje się w bibliotece publicznéj Petersburskiéj. Drugi zaś odpis w początkach XIX w. stanowił własność Tadeusza Czackiego, który miał go wydrukować, lecz nie zdążył urzeczywistnieć zamiaru; rękopis dostał się do biblioteki Załuskich, a obecnie przechowuje się w Krakowie, w bibliotece ks. Czartoryskich.

W druku ukazało się dzieło naszego statysty dopiéro w 1818 r., kiedy Hipolit Kownacki wydał je w polskim przekładzie, lecz, niestety bardzo niedokładnie; wydanie tekstu łacińskiego uskutecznił w 1831 r. J. W. Bandtkie na podstawie rękopisu Puławskiego.

Szereg badań krytycznych rozpoczyna M. Bobrzyński swą cenną pracą o Ostrorogu, pomieszczoną wraz z tekstem „Pamiętnika” w „Starodawnych prawa polskiego pomnikach” [1]). W kilka lat późniéj wystąpił ze swém studjum prof. J. Caro [2]), w którém pomimo kilku drobnych usterek dość wiernie oddał ducha autora „*Monumentum*” i jego dzieła.

Najbardziéj gruntowną i źródłową pracą w naszym przedmiocie jest dzieło nieodżałowanéj pamięci prof. A. Pawińskiego [3]); autor zgromadził tu wszystkie dane, tyczące się osoby naszego statysty, a wydobyte drogą mozolnych poszukiwań archiwalnych, następnie poddał „*Monumentum*” szczegółowemu i wszechstronnemu rozbiorowi, wreszcie wydał dzieło Ostroroga pierwszy raz z odpisu Petersburskiego.

Żaden z wyżéj wymienionych badaczy, nie zajmował się kwestyą, czy „*Monumentnm*” rzeczywiście wyszło z pod pióra Ostrorogowego, *a priori* uważając ją zapewne za przesądzoną, a autentyczność „Pamiętnika” — za niewątpliwą. Od niejakiego jednak czasu, zaczęły się podnosić głosy niespokojnego sceptycyzmu. W tygodniku „Przegląd Katolicki” w 1889 r. zjawił się artykuł bezimiennego autora, ukrywającego się pod inicjałami „ks. M. N.”, który na mocy kilku drobnych szczegółów odmawia „Pamiętnikowi” autorstwa Ostroroga, przypuszczając, że jest to falsyfikat, spłodzony wśród gorączki ruchu reformacyjnego w XVI wieku. Na te zarzuty odpowiedział godnie prof. Pawiński i podjąwszy kopię w obronie ulubionego autora, zbił po kolei wszystkie zarzuty księdza M. N., nie pozostawiając już co do téj kwestyi żadnéj wątpliwości [4]). W tymże artykule autor przytacza nader ciekawy dokument, a mianowicie list niejakiego Caliguli (Trepki) z dnia 10 grudnia 1532 r., w którym przesyła Janowi Łaskiemu, proboszczowi gnieźnieńskiemu, egzemplarz pisma Ostrorogowego.

Wkrótce jednak powstała wątpliwość innego zupełnie rodzaju, daleko trudniéjsza do usunięcia. Prof. T. Wierzbowski, odnalazł w bibliotece hr. Steckiego w Romanowie na Wołyniu rękopis z XVII w., zawierający „*Monumentum*” w innéj zupełnie redakcyi, niż dotychczas znane odpisy; wydając ten odpis drukiem, prof. Wierzbowski dołączył do niego rozprawę [5]), w któréj udawadnia, że odnaleziony

---

[1]) M. Bobrzyński: „Starodawne prawa polskiego pomniki“, t. V, cz. I, str. 105—144. Kraków, 1878.

[2]) J. Caro: „*Ueber eine Reformationsschrift des XV Jahrhunderts.* Wrocław 1882.

[3]) A. Pawiński: „Jana Ostroroga żywot i pismo o naprawie Rzeczypospolitej“. Warszawa, 1884.

[4]) A. Pawiński: „Zamach na Ostroroga“. Ateneum, 1890.

[5]) T. Wierzbowski: „Jana Ostroroga Pamiętnik“. Warszawa, 1891 r.

przezeń odpis zawiera tekst autentyczny, — wszystkie zaś inne są przeróbką, falsyfikatem.

Rozprawa ta składa się z następujących części: 1) nader dokładny i szczegółowy przegląd literatury o Ostrorogu; 2) krytyka znanego dotąd tekstu „*Monumentum*”; 3) zestawienie obu tekstów; 4) oznaczenie 1477 r., jako daty powstania pisma Ostrorogowego. Następuje tekst, skopiowany z rękopisu Romanowskiego, najeżony błędami gramatycznemi i syntaktycznemi, z których niektóre wykazane są w odnośnikach, inne zaś—pozostawione bez sprostowania.

Oto jak postawiona jest nasza kwestya we współczesnéj nauce historycznéj. Przyszłym badaczom pozostaje zadanie nielada: zestawić oba teksty, porównać je w najdrobniejszych szczegółach i wykazać ich stosunek wzajemny, a także stosunek do oryginału, który wyszedł z pod pióra Ostroroga. Zadanie to nie da się rozwiązać bezpośrednio, gdyż, jak wiemy, oryginał „Pamiętnika” nie doszedł do nas, i dzieło to znane jest nam jedynie z odpisów, uskutecznionych więcéj, niż w pół wieku po jego powstaniu; tylko więc drogą analizy historyczno-filologicznéj możemy dojść do zadawalniających rezultatów. Nie chcę brać na siebie téj pracy, tak trudnéj, tak skomplikowanéj, a zarazem wymagającéj wielkiéj wprawy w stosowaniu zawsze skutecznéj metody historyczno-krytycznéj; chcę tylko wskazać pewne punkty wytyczne, poprostu rzucające się w oczy nawet nieumiejętnemu badaczowi, chcę zwrócić uwagę na to, co nie zgadza się nietylko z prawdą historyczną, ale poprostu ze zdrową logiką.

Lecz nim przystąpię do téj części mego zadania, pragnąłbym ostatecznie załatwić się jeszcze z jedną kwestyą, która wywołała mnóstwo najróżnorodniejszych domysłów, mniéj lub więcéj trafnych. Mówię tu o dacie powstania „Pamiętnika”.

Każdy z badaczy, zatrzymujących się na Ostrorogu, starał się określić choć w przybliżeniu chwilę narodzin „*Monumentum*” i wywiązywał się ze swego zadania mniéj lub więcéj udatnie. Otrzymany stąd szereg rozlicznych dat zamyka się między latami 1455 i 1477. Ze wszystkich tych przypuszczeń najbardziéj zasługują na wiarę trzy następujące: 1) koniec roku 1455 lub początek 1456 (Caro) [1]); 2) schyłek roku 1456 (Pawiński) [2]) i wreszcie 3) rok 1477 (Bobrzyński) [3]). Co się tyczy pierwszego przypuszczenia, upadło ono w zupełności od czasu gruntownych badań prof. Pawińskiego, który udowodnił jego bezpod-

---

1) A. Pawiński. „Żywot i pismo“, str. 50; T. Wierzbowski, str. 11—12.

2) A. Pawiński. „Żywot i pismo“, str. 53—54.

3) M. Bobrzyński, str. 109—112.

stawność [1]). Pozostaje więc tylko rok 1477. Domysł ten prof. Bobrzyńskiego ostatniemi czasy znalazł potwierdzenie w dowodach, przytoczonych na jego korzyść przez prof. Wierzbowskiego [2]). Przypuszczenie to zawdzięcza swe pochodzenie jedynie wypadkowi. Janocki, wciągając do katalogu „*Monumentum*", położył rok 1477, jako datę powstania tego dzieła, gdy w rękopisie nie było żadnych danych chronologicznych [3]). Bobrzyński poszedł za Janockim, dodawszy ze swojéj strony kilka mniéj lub więcéj przekonywających dowodów. Tymczasem zaś okazuje się, że na ten domysł naprowadziło Janockiego przypadkowe zestawienie naszego „Pamiętnika" z następującym po nim odpisem (w t. XVII „Tomicianów"), na którym położony był rok 1477-my, a mianowicie: „*Ordinatio bellicae expeditionis in Thurcos... facta in conventu Piotrcoviensi die sancti Vitalis* (28-go kwietnia) *1477 a.*" [4]).

Należałoby teraz obalić te dowody, któremi prof. Bobrzyński i Wierzbowski starają się poprzéć swoje przypuszczenie. Lecz nie uważam tego za potrzebne z tego względu, iż mam zamiar przytoczyć dokument, który odrazu przetnie tę zawiłą kwestyę, pozbawiając realnéj podstawy wszelkie usiłowania, podejmowane w celu połączenia z rokiem 1477 daty narodzin „*Monumentum*". Dokument, o którym mowa, mieści się w lwowskim „Kwartalniku Historycznym". Są to dwa listy, z których jeden—jest pióra Stanisława Ostroroga, wojewody poznańskiego, ojca naszego statysty, z dnia 20 września 1476 roku, adresowany do książąt saskich Ernesta i Albrechta, drugi zaś — odpowiedź tychże książąt, datowana dnia 16 lutego 1477 roku. Z ciekawéj téj korespondencyi widzimy, iż Jan Ostroróg w r. 1476 schwytany był w Saksonii przez nieznanych złoczyńców, którzy uwięzili go w jakiémś niewiadomém miejscu. Ojciec Jana, dowiedziawszy się od jakichś przejezdnych, iż niejaki Jerzy von Sahl, przemieszkujący w zamku Schönfeld (*dominus Georgius de Zal, in fortalicio Schonefelth manens*), opowiadał im, jakoby mu wiadome było miejsce pobytu Jana Ostroroga (*coram eis dicere habebat, se scire de captivitate eiusdem filii mei Johannis et locum, ubi teneretu)*, — uprasza, aby zechcieli przepytać owego Jerzego von Sahl; z odpowiedzi książąt wnioskujemy, że ów ry-

---

1) A. Pawiński. „Żywot i pismo", str. 50—56.
2) T. Wierzbowski, str. 35—44.
3) A. Pawiński. „Żywot", str. 48: M. Bobrzyński, str. 112.
4) A. Pawiński, str. 49.
5) „Kwartalnik Historyczny". Rok 1891, zeszyt IV, str. 825—828.

cerz nie miał żadnych pewnych wiadomości o miejscu uwięzienia Ostroroga i powtarzał tylko głuche wieści.

Ot i wszystko, co wiemy o téj ciekawéj przygodzie naszego statysty. Lecz i z tych szczupłych wiadomości wnioskować możemy, że w żadnym razie Ostroróg nie mógł pisać swego „Pamiętnika" w roku 1477-ym. Przypuściwszy bowiem nawet, że już w lutym 1477 r. został uwolniony z niewoli i w marcu przybył do Polski, zmusilibyśmy go natychmiast po wypuszczeniu z więzienia do pisania *stante pede* swego „Pamiętnika"; tém mniéj jest to prawdopodobne, że sejm, na który przygotowywał swe dzieło, miał się odbyć już w kwietniu 1477 roku. Gdyby nawet zgodzić się na to przypuszczenie z tego względu, że w układzie „*Monumentum*" widoczna jest pośpieszność, to nie ulega wątpliwości, że wspomniałby choć w kilku wyrazach o swéj dziwnéj przygodzie i nie mógłby pisać: *dum essem a consiliis*... [1]).

Okazuje się więc, że tylko rok 1456 odpowiada tym warunkom, wśród których mógł powstać „Pamiętnik"; wszystkie zaś inne domysły usunąć musimy, jako niewytrzymujące ścisłéj krytyki naukowéj.

Przechodzę do najgłówniejszéj części mego szkicu. Jak mówiłem wyżéj, mamy dwa teksty „*Monumentum*": jeden — w dwóch odpisach, krakowskim i petersburskim, które różnią się tak nielicznemi i drobnemi waryantami, natury czysto paleograficznéj, iż możemy je objąć jednóm wspólnem mianem — redakcyi krakowsko-petersburskiéj; drugi—o różnicach zasadniczych, odnaleziony w Romanowie.

Zestawiwszy oba teksty, prof. Wierzbowski przyszedł do wniosku, iż redakcya romanowska pomimo to, iż odpis jéj jest daleko późniejszy, sięga bowiem zaledwie XVII wieku, jest wierną kopią z oryginału, wszystkie zaś inne odpisy skopiowane są z przeróbki naszego „Pamiętnika", dokonanéj w XVI wieku. Nazwisko tego fałszerza, który jakoby w celu jakowéjś propagandy, według swojéj krawieckiéj miary przykrajał Fidyaszowe dzieło znakomitego publicysty XV-go stulecia, nie przeszło do potomności; ale koniec końców, zestawiwszy niektóre różnice, zachodzące między redakcyą krakowsko-petersburską a romanowską, z pewnemi danemi, tyczącemi się osobistości wyżéj wskazanego Trepki, prof. Wierzbowski dochodzi do wniosku, że on właśnie jest owym falsyfikatorem [2]).

Przedewszystkiém, jeżeli przypuszczamy tego rodzaju świadome (a nie mimowolne) skażenie tekstu, to każdy zadać sobie musi pytanie: po co? w jakim celu? co mógł mieć na widoku ów fałszerz? Na

---

[1]) Ostroróg. *Prooemium.*

[2]) Wierzbowski. str. 35.

to pytanie prof. Wierzbowski odpowiada w następujący sposób: w początkach XVI w., gdy krążyły po kraju wszelkiego rodzaju broszury, pisemka polemiczne, ulotne świstki i t. d., fałszerz, który był bezwątpienia stronnikiem reformacyi, zapragnął zużytkować gotowy materyał, zawierający się szczególniéj w pierwszéj części memoryału Ostroroga, gdzie autor ostro krytykuje nadużycia wyższéj władzy duchownéj i katolickiego kleru, zmienił to i owo w „*Monumentum*" i w téj nowéj szacie puścił je w świat [1]. Lecz tu znów zachodzi pytanie, dlaczego w pierwszéj części „*Monumentum*", gdzie właśnie jest mowa o sprawach kościelnych, nie widzimy żadnych zmian zasadniczych, a zmiany te tyczą przedmiotów całkiem drugorzędnych, jako to: sądów ziemskich, stopni naukowych, podatków, polowania (!) i t. d. Prof. Wierzbowski może powiedziéć, że fałszerz zmienił to, co jemu osobiście było nieprzyjemném, lub w XVI w. stało się wprost anachronizmem; lecz na to odrzec możemy, po pierwsze: że prof. Wierzbowski właśnie z tych zmian wnioskował o osobie fałszerza, i w ten sposób, powracając od wniosku do założenia, popełniłby błąd logiczny, t. zw. „*circulus vitiosus*", a powtóre: czyż nie były już anachronizmami w XVI w. takie rozdziały „*Monumentum*", jak: *de eligendis episcopis* [2] (o mianowaniu biskupów przez króla) po zwycięskiéj kampanii Kazimierza Jagiellończyka; lub: *de juris scripti necessitate* [3] (o potrzebie prawa pisanego) po wydaniu statutu Łaskiego, gdzie młody, niedoświadczony jeszcze „doktór obojga praw" radzi wprowadzić do Polski zasady prawa rzymskiego w całéj jego rozciągłości. Bądź co bądź, kwestya ta nie znajduje u prof. Wierzbowskiego należytego wyświetlenia.

Krytykując zewnętrzną szatę redakcyi C.-P., prof. Wierzbowski robi uwagę, iż podział „Pamiętnika" na dwie części: 1) o sprawach kościelnych, i 2) świeckich, z zatytułowaniem drugiéj: „*sequitur de prophanis negotiis*" nie zupełnie odpowiada treści obu części [4]. To prawda; lecz można przecież przypuścić, że tytuł ten dopisany został późniéj, wraz z ogólnym nagłówkiem (*Clarissimi baronis J. Ostrorog... monumentum*) i pierwszym wstępem (*ad lectorem*). Ale z tego nie wynika jeszcze bynajmniéj, żeby „*Monumentum*" zostało rozmyślnie sfałszowane.

Porównywając daléj zewnętrzną formę, widzimy, że redakcya

---

[1] T. Wierzbowski, str. 33.

[2] C.-P., cap. VII; R., cap. VI. Dla krótkości krakowsko-petersburską redakcyę będę oznaczał literami C.-P., romanowską zaś—literą R.

[3] C.-P., cap. XXXVIII; R., cap. XXXI.

[4] T. Wierzbowski, str. 20.

C.-P. zawiéra: 2 wstępy, 67 rozdziałów i zakończenie (*conclusio*), tymczasem gdy redakcya R. składa się z jednego wstępu, 58 rozdziałów i zakończenia. Co się tyczy pierwszego wstępu, to późniejsze jego pochodzenie dowiedzione już jest oddawna [1]); różnicę zaś w ilości rozdziałów prof. Wierzbowski objaśnia w ten sposób, że fałszerz jeden rozdział (C.-P., cap. L.: *de bullatis doctoribus*) wstawił, a inne porozrywał na 2—3 oddzielne rozdziały [2]).

Przypatrzmy się jednak bliżéj. Zestawiając teksty, widzimy, iż rozdz. IV i V C.-P. [3]) połączono w redakcyi R. w jeden rozdział, pod wspólnym nagłówkiem: „*de honestate praesentiae regis*" [4]), co, rzecz prosta, niezupełnie odpowiada ich treści: cóż bowiem za związek może być pomiędzy notaryuszami i sposobem zachowywania się w obecności króla? Daléj, pod tytułem „*Officium autem nobilitatis est*" [5]) w redakcyi R. połączono 3 rozdziały tekstu C.-P., z których drugi mówi: „*de civium expeditione*" [6]), a trzeci: „*de processu in bellum et disciplina militari*" [7]); jak więc widzimy, te dwa ostatnie rozdziały bardzo słaby mają związek z nagłówkiem „*Officium autem nobilitatis est*". Spostrzegamy następnie, że w redakcyi R. rozdział LVII, p. t. „*De curiae exercitio observando*" zawiéra dwa rozdziały C.-P., a mianowicie: „*De aulicorum exercitio observando*" [8]) i „*De castrorum munitione*" [9]), z których drugi nie ma już absolutnie nic wspólnego z pierwszym. Wreszcie, do rozdziału: „*De venationibus exercendis*" [10]) w redakcyi R. już całkiem mechanicznie przyczepiono rozdział: „*De praemiis superintendentium ad praedicta*" [11]).

A teraz zapytajmy, czy może tu być mowa o sztucznem „rozrywaniu" rozdziałów? i czy nie logiczniejszém i prawdopodobniejszém jest przypuszczenie, iż rozdziały te później daleko przez nieudolnego kopistę zostały mechanicznie zczepione jedne z drugimi? I gdybyśmy przyjęli, że redakcya R. bliższą jest oryginału, to czyż możliwém jest tak nielogiczne ugrupowanie materyału u tego Ostroroga, który obiecu-

---

1) A. Pawiński. „Zamach na Ostroroga", str. 228—230.
2) T. Wierzbowski, str. 25.
3) Cap. IV: *de honestate praesentiae regiae*; cap. V: *de tabellionibus*.
4) R., cap. IV.
5) R., cap. XXXVIII.
6) C.-P., cap. XLIII.
7) C.-P., cap. XLIV.
8) C.-P., cap. LXIV.
9) C.-P., cap. LXV.
10) R., cap. LVIII.
11) C.-P., cap. LXVII.

je wykładać swe zapatrywania na niezbędne w kraju reformy „*suis capitibus cuncta distinguendo*"? [1]).

Co się zaś tyczy tego, iż fałszerz, według zdania prof. Wierzbowskiego, wstawił rozdział L (*de bullatis doctoribus*), to nie mówiąc już o tém, czy treść jego odpowiada XV czy też XVI wiekowi, o czém będzie mowa niżéj, — muszę zauważyć, że równie dobrze przypuścić można, iż w redakcyi R. rozdział ten został opuszczony wprost przez nieuwagę; tém bardziéj staje się to możliwém, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że rozdziału XLVII rzeczywiście brakuje w redakcyi R.; ta tylko zachodzi różnica między tym i tamtym wypadkiem, że tutaj poprzedzający rozdział zaregestrowany jest jako XLVI, następny zaś — XLVIII, tymczasem gdy tam, pomimo że rozdział: „*de bullatis doctoribus*" został opuszczony, numeracya rozdziałów pozostaje nienaruszoną; lecz skoro już raz kopista dopuścił się tak kapitalnego błędu, musimy być zgóry przygotowani na wszelkiego rodzaju omyłki i niedokładności.

Przechodząc od zewnętrznéj formy do języka, prof. Wierzbowski znajduje, że fałszerz zdradza więcéj erudycyi, niż gruntownéj znajomości gramatyki łacińskiéj [2]); używa on bowiem takich zwrotów, niezgodnych z zasadami składni łacińskiéj, jak: *obtemperandum est desiderio, ut libellus iste in lucem prodiret* (zam. *prodeat*) [3]), lub też: *facite, ut consiliis et factis vestris plus patriam, quam se* (zam. *vos*) *ipsos ametis* [4]). Lecz zobaczmyż, czyż i w tym rzekomo oryginalnym tekście R. nie znajdujemy również błędów gramatycznych.

Już na samym początku zauważyć możemy pewnego rodzaju nielogiczność. Zamiast liczby pojedyńczéj, któréj stale używa Ostroróg, mówiąc o sobie, widzimy w redakcyi R. „*pluralis majestaticus*", co właściwszém jest napuszonemu stylowi późniejszéj epoki, niż klasycznéj prostocie łaciny humanistów, lecz „*pluralis*" ten nie jest wytrzymany: „*dum essemus a consiliis et a primoribus incliti Polonorum regni, ipse audivi*, i daléj: *ego itaque Joannes Ostrorog, ut virili nostra...* [5]).

Ale to jeszcze drobnostka; znajdziemy tu ładniejsze kwiatki. W rozdziale III czytamy: *litterae regiae eiusque sigillum, veluti rex ipse, existimanda est*, naturalnie zamiast: „*existimandae sunt*".

---

[1]) Ostroróg, *Prooemium.*

[2]) T. Wierzbowski, str. 27.

[3]) Ostroróg. *Praefatio ad lectorem* (wstęp ten zresztą, jak wiemy, jest późniejszego pochodzenia).

[4]) *Prooemium.*

[5]) *Tamże.*

W VIII rozdziale redakcyi R. [1]) po wyrazach: „*Poloniam tamen ab hujusmodi pensione esse liberam*" przepuszczono zdanie główne: „*et aequitas et ratio exigit*", bez którego cały ten zwrot staje się niezrozumiałym i nawet wprost niemożliwym.

Brnijmy daléj—odważnie i wytrwale. W rozdziale XXXV [2]) znajdujemy: „*Itaque aequum est, ut per proclamationem fiat, ut nullus* (zam. *ne quis*) *audeat mendicare*"; w XXVI rozdziale: [3]) „*aliud nobiles jus habent, aliud plebei, unum polonicum, aliud* (zam. *alterum*) *theutonicum*". W XXVIII [4]) rozdziale—znowu błąd gramatyczny: *non sit* (zam. *ne sit*) *reus vulnerum, nec homicidii;* w rozdz. XXXI [5]) czytamy: *corpora nuda audaciae amicorum* (zam. *animorum*) *satisfacere non possunt.*

W rozdziale XXXVIII [6]) znajdujemy nową godną podziwu nielogiczność—zdanie: „*officium autem nobilitatis est*" oderwano tu od tekstu i postawiono w nagłówku, przez co następny okres: „*paratum quemlibet semper esse patriam semper* (ten ostatni wyraz jest najwyraźniéj wtrętem) *tueri*" przeradza się w potworka o kadłubie bez głowy; wreszcie w rozdziale XLVI [7]) czytamy: *ne pauperes sumptibus gravetur* (zam. *graventur*).

Lecz dość na tém; nie chcę nadużywać cierpliwości czytelnika, przeciągając do nieskończoności ten długi szereg potwornych błędów i wykroczeń przeciw prawidłom języka łacińskiego. Szereg ten możnaby jeszcze w dziesięćkroć powiększyć, lecz i tego chyba wystarczy, by wykazać, że redakcya Romanowska nie jest bynajmniéj tak niepokalanie czystą i dziewiczą, za jaką ją uważa prof. Wierzbowski. I jeślibyśmy koniecznie chcieli wytknąć komuś brak znajomości gramatyki łacińskiéj, to zarzut ten musielibyśmy postawić przedewszystkiam kopiście rękopisu romanowskiego. Jedno jest pewne: że tekst, do tego stopnia skażony, jak romanowski, tekst, który nieraz prawdopodobnie był przepisywanym i za każdym razem ulegał nowym zmianom, naturalnie nie na swoją korzyść, nie może być podnoszony do godności pierwowzoru i kryteryum, według którego sądzimy inne redakcye.

Przechodząc do zestawienia wewnętrznéj strony obu redakcyi, zwrócić musimy baczną uwagę na kilka punktów, na podstawie których

[1]) C.-P., cap. IX.
[2]) C.-P., cap. XXIII.
[3]) C.-P., cap. XXXII.
[4]) C.-P., cap. XXXV.
[5]) C.-P., cap. XXXVIII.
[6]) C.-P., cap. XLII.
[7]) C.-P., cap. LI.

prof. Wierzbowski dowodzi, że odpis C. P. nie mógł powstać wcześniéj, niż na początku XVI wieku i *eo ipso* nie mógł wyjść z pod pióra Ostroroga.

A więc przedewszystkiem, w rozdziale XXI R, znajdujemy dość długi ustęp, brakujący w redakcyi C.-P., w którym autor poddaje ostréj krytyce sądownictwo ziemskie; [1]) prof. Wierzbowski mniema, iż nieznany fałszerz, któremu nie podobała się taka ostra krytyka, wypuścił ten ustęp. [2]). Ale przy bliższém rozejrzeniu się w obu tekstach, przyjdziemy do przekonania, iż może i niesłusznie posądzalibyśmy autora odpisu C.-P. o tę zbrodnię. Zwróćmy uwagę przedewszystkiem na to, że cały ten rozdział [*de iudiciis terrestribus*] jest w najwyższym stopniu zepsuty: po wyżéj przytoczonym ustępie widzimy jedno zdanie z XXV rozdziału C.-P. [3]) [*de cura libri actionum terrestrium*], daléj, w połowie zdania ten rozdział urywa się; wstawia się cały rozdział XXVI [*quoties in anno iudicia celebranda sunt*], i potém dopiéro następuje koniec XXV rozdziału; do tegoż rozdziału luźno przyczepiony jest rozdział XXVII C. P., nie mający nic wspólnego z poprzedzającém. Następnie prof. Wierzbowski sam przyznaje, że na te wszystkie braki sądownictwa szlachta zaczęła się uskarżać dopiéro w d r u g i é j p o ł o w i e p a n o w a n i a Z y g m u n t a I go [4]); wreszcie, gdybyśmy przyjęli za pewnik przypuszczenie prof. Wierzbowskiego, znaleźlibyśmy trudność niemałą w pogodzeniu owego wyrazu oburzenia i protestu przeciwko nieporządkom sądowniczym, jaki znajdujemy na początku XXI rozdziału, z tak eufemistyczném wyrażeniem przy końcu jego: *si vero eo modo c o n t i n g a t* (!) *iniuste iudicari?* Na tę sprzeczność dotąd nie zwrócono należytéj uwagi. Wszystko to naprowadza mnie na myśl, że cały ten początek XXI rozdziału, jest wtrętem XVI stulecia.

Rozdział L redakcyi C.-P. [*de bullatis doctoribus*], według zdania prof. Wierzbowskiego, jest wtrętem, który mógł powstać dopiéro w początku XVI wieku, gdyż autor powstaje tu przeciw plebejom, którzy przekupstwem otrzymują stopnie naukowe [5]), a tego rodzaju nadużycia mogły zachodzić dopiero począwszy od 1496 r., kiedy postanowiono dawać miejsca w duchownéj hierarchii tym tylko z plebejów, którzy posiadają stopień naukowy.

---

[1]) ...„Nam ut in his annis observatum est, rarus, qui ius suum prosequi commode potuit. iudicia rara iudics corrupti... [R., cap. XXI].

[2]) *T. Wierzbowski*, str. 29; str. 34.

[3]) „Praeterea liber iudiciorum in unius servatur custodia; qnod lnbet scribitur. Rectius itaque nostris (sic!) consultum videtur... [daléj rozdz. XXVI].

[4]) *T. Wierzbowski*, str. 34.

[5]) *T. Wierzbowski*, str. 30.

Przedewszystkiém zwróćmy uwagę na znaczenie wyrazów Ostroroga. Mówi on tu tak: *Quare statuendum, ne hujusmodi doctores bullati ad dignitates praelaturasve accipiantur, etiam si nobiles fuerint, nisi hi, qui secundum scholae rigorem comperti fuerint examinati.* Widzimy więc, iż Ostroróg powstaje nie wyłącznie przeciw plebejom, starającym się o stopnie naukowe, ale przeciwko wszystkim, co otrzymują je nie „*secundum scholae rigorem*"—„*etiam si nobiles fuerint*"; zapatruje się na tę sprawę, nie z punktu widzenia szlachcica, zasklepionego w ciasnych poglądach swéj sfery, lecz z punktu widzenia „doktora obojga praw", który przez długi czas uczył się w uniwersytetach zagranicznych i zdobył wreszcie zaszczytny tytuł nie pieniędzmi, ale właśnie „*secundum scholae rigorem*". Takie wycieczki przeciwko „osłom doktoryzowanym" zupełnie licują z charakterem Ostroroga, i nie ma potrzeby przypisywać tego rozdziału fałszerzowi, tém bardziéj, iż niéma on takiego wyłącznie kastowego znaczenia, jakie chce mu nadać prof. Wierzbowski.

Co się zaś tyczy tego, że rozdział ten mógł miéć racyę bytu dopiéro od czasu uchwały sejmu 1496 r., to trzeba zauważyć, iż uchwała ta była tylko potwierdzeniem dawniejszych postanowień poprzedników Jana Olbrachta, które niezbyt ściśle były wykonywane [1]. A więc rozdział mógł powstać zarówno w XV w., jak i w XVI; dlaczegóż więc objaśniać go, jako wtręt XVI w., kiedy mógł on wyjść z pod pióra Ostroroga?

Rozdział XLVI R. [2] stanowi dla prof. Wierzbowskiego nowy dowód, iż tekst C.-P. uległ przeróbce w XVI stuleciu: w redakcyi C.-P. znajdujemy następujący ustęp, nieobecny w redakcyi R: *Id unum consideretur, indignum omnino esse in regno libero ab indigenis et regni incolis exigi thelonea, nisi extra regnum merces forte educendae sint.* Prof. Wierzbowski znajduje związek pomiędzy tym urywkiem i konstytucyą 1527 r., mocą któréj przywrócone zostały wszystkie uchwalone dawniéj cła i zniesiona była konstytucya, uwalniająca szlachtę od ceł na lat pięć. Lecz nie można zapominać, że i dawniéj zapadały uchwały, tyczące się ceł: a mianowicie, chociaż w r. 1447 wydane zostało rozporzą-

---

[1] *Volumina legum.* T. I, str. 262—263. „Quamvis per divos olim reges Poloniae, Praedecessores nostros, ex antiquo fuerit constitutum, ut... in principalibus... ecclesiis non susciperentur... plebeae personae, sed duntaxat recipiendi erant Barones generosi et nobiles... tamen quam plures ignobiles ad ecclesias praedictas his temporibus sumerentur... statuimus, ut in singulis Capitulis recipiantur personae tantummodo Regni Poloniae indigenae Nobiles ex utroque parente".

[2] C.-P., cap. LIII.

dzenie, uwalniające szlachtę od wszelkich ceł [1]), jednakowoż tak mało stosowano się do niego, że w 1496 r., trzeba było wznowić tę uchwałę, przestrzegając celników [*teloneatores*], by nie wymagali bezprawnie cła od szlachty. [2]) A więc i ten urywek w stosunku do XV wieku nie jest anachronizmem.

Prof. Wierzbowski ma jeszcze jeden dowód przeciw autentyczności redakcyi C.-P.: jest nim rozdział LVI R. [3]), gdzie mowa o monecie. W odpisie R. widzimy następujący urywek: *non regna, non principatus tantum exteri, sed etiam civitates aureos nummos fabricant. Convenit itaque et in hoc nostro amplissimo regno aureos excudi nummos parvi et magni ponderis pro Regni honestate*, tymczasem, gdy w redakcyi C.-P. urywku tego nie znajdujemy. Prof. Wierzbowski objaśnia to w ten sposób, że w XVI w. od czasu, gdy w Polsce od r. 1528 zaczęto bić złotą monetę, postulat ten stracił znaczenie praktyczne i fałszerz wypuścił ten ustęp. Ażeby zaś dowieść, że przed rokiem 1527 żądanie to miało racyę bytu, prof. Wierzbowski zmuszony jest udowodnić, iż znane w numizmatyce dukaty Władysława Łokietka i Aleksandra są falsyfikatami [4]).

Z tą kwestyą, jako zbyt specyalną dla profana, powinniśmy się zwrócić do specyalistów-numizmatyków; w samej rzeczy, numizmatycy podjęli rękawicę, rzuconą im przez prof. Wierzbowskiego i udowodnili autentyczność dukata Aleksandra, a szczególniej Łokietkowego. Dr. F. Piekosiński [5]) i W. Szaniawski [6]) przeciw argumentom prof. Wierzbowskiego przytoczyli swoje kontr-argumenty, które pozwalają nam teraz już nie wątpić o autentyczności przynajmniej Łokietkowego dukata. Następnie dr. Piekosiński podaje nam ciekawe szczegóły co do bicia złotej monety w Polsce; okazuje się, że ani w XIV, ani XV wieku królowie polscy nie bili jej dla tej prostej przyczyny, że złota było nie wiele, i zbyt ono było kosztowne, tak iż wyrób złotej monety nie przedstawiał dla skarbu żadnych korzyści; dlatego też żądanie, by wybijano złotą monetę, w ustach takiego statysty, jak Ostroróg, brzmi zbyt dzi-

---

1) *Volumina legum.* T. I, str. 152.

2) *Volumina legum*, str. 261. „Quia inolevit praejudicialis consvetudo, ut teloneatores... telonea de nobilibus exigere non verentur,... idcirco statuimus, ut tam de sale, quem rebus aliis cujuscunque generis fuerint, aut in domos nobilium ductis, ubique in Regno telonea minime exigantur".

3) C.-P., cap. LXIII.

4) T. Wierzbowski, str 30—31.

5) *Wiadomości Numizmatyczno-Archeologiczne.* Rok 1891, № 3, str. 220—226.

6) Tamże, № 4, str. 252—253.

wnie [1]). Wszystko to, mówi Piekosiński, wzbudza przypuszczenie, że wyżéj przytoczony urywek jest wtrętem, odnoszącym się do początku XVI w., kiedy po odkryciu Ameryki, złoto szerokim strumieniem zaczęło przypływać do Polski i do tego stopnia staniało, iż Zygmunt Stary mógł je otrzymywać wzamian za ołów z kopalń polskich.

Nie widzę, dlaczego nie miałbym się zgodzić ze zdaniem d-ra Piekosińskiego. Otóż i koniec naszych długich wywodów. Pozostaje nam zastanowić się nad ostatecznymi wynikami co do osobistości fałszerza, do których doprowadziło prof. Wierzbowskiego zestawienie obu tekstów. Rozumié się samo przez się, że skorośmy dowiedli, iż fałszerstwa żadnego nie było, a to, co prof. Wierzbowski uważa za falsyfikat, jest właśnie autentycznym tekstem Ostroroga, to i sama osoba fałszerza rozpływa się we mgle fantastycznych domysłów. Przytoczymy jednak jeszcze kilka rysów charakterystycznych, aby pokazać, jak daleko zajść może „pragmatyzująca fantazya” — jak wyraził się prof. Pawiński.

Tak np. na téj podstawie, iż w redakcyi C.-P. znajdujemy wyrazy: „*tametsi juvenis*” [2]) [XXVII rozdział] [3]), prof. Wierzbowski dochodzi do wniosku, że fałszerz musiał być w młodym wieku [4]). Rzecz dziwna! ów fałszerz musiał być bardzo naiwnym, skoro w tak dziecięcodobroduszny sposób szczodrze obdarzył nieszczęsnego Ostroroga cechami swéj własnéj osoby!

Albo też zauważywszy, że w rozdziale „*de venationibns exercendis*” [5]) okres, podczas którego nie dozwolone jest polowanie, w redakcyi C.-P. oznaczono datami: „*a die sancti Alberti* [23 kwietnia] *ad usque sancti Joannis Baptistae festum*”, a w redakcyi R.: „*a die sancti Gregorii*” [12 marca]..., prof. Wierzbowski wnioskuje, że nasz fałszerz był namiętnym myśliwym. [6]) Tymczasem zaś przyczyną tego całego nieporozumienia, jest bardzo prosty błąd paleograficzny: zamiast „*a die sancti Alberti*”, kopista wschodniego obrządku postawił swojego świętego: „*a die sancti G e o r g i i* [7/19 kwietnia], co późniejszy kopista poprostu przez nieuwagę przerobił w: „*a die sancti G r e g o r i i*”. Ot i przyczyna całego nieporozumienia.

---

1) Tamże. № 3, str. 225—226.

2) „Vos itaque, domini! hortor, consilium mei, tametsi juvenis, mente retinete“.

3) R., cap. XXI.

4) *T. Wierzbowski*, str. 34.

5) C.-P., cap. LXVI; R. cap. LVIII.

6) *T. Wierzbowski*, str. 34.

Dalej prof. Wierzbowski przypuszcza, że fałszerz był człowiekiem zamożnym, gdyż nie zechciał pozostawić w tekscie Ostroroga urywku o złotéj monecie (!) [1]), że był sędzią lub starostą, gdyż pominął w „*Monumentum*" ustęp, krytykujący porządki sądownicze [2]) i t. d. Wszystkie te wnioski upadają wobec tego, co mówiliśmy wyżéj o tych ustępach.

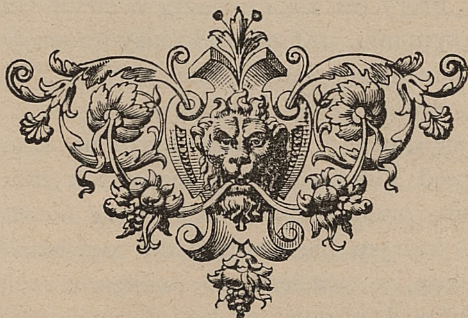
I oto, po długim szeregu rozumowań, prof. Wierzbowski ze wszystkich swoich przesłanek wyciąga ostateczny wniosek, iż wyżéj wspomniany Trepka wraz z Piotrem Masłowskim, sędzią wieluńskim, są autorami owéj zepsutéj redakcyi krakowsko-petersburskiéj. [3])

Nie chcę przesądzać, o ile to przypuszczenie jest słuszne. Zresztą, przyszłość wykaże, czy Trepka *et comp.* przegrają sprawę przed sądem historyi, czy téż zostaną oczyszczeni z niesprawiedliwych zarzutów. Kwestya pozostaje nierozstrzygniętą; daleki jestem od mniemania, że nic tu już więcéj powiedziéć się nie da — bynajmniéj! Chodziło mi tylko o to, by zachęcić poważnych badaczy naszéj narodowéj przeszłości ku studyom krytyczno-porównawczym nad obu redakcyami „*Monumentum*"; chciałem wytknąć drogę, po któréj postępować ma nauka wobec odkrycia prof. Wierzbowskiego.

Henryk Galle.

---

1) Tamże.
2) Tamże.
3) *T. Wierzbowski:* str. 35.



O PYLE POWIETRZA.

Odczyt miany w Muzeum Prz. i Rol.

Zanim przystąpimy do szczegółów tyczących się przedmiotu niniejszéj pracy, odpowiemy w kilku słowach na pytanie, które łatwo niejednemu nasunąć się może: czy warto zajmować się badaniem tak drobnych rzeczy, jak pyłki powietrzne, czy warto bliżéj zapoznawać się z tym „mikrokosmosem", który lada powiew wiatru unosi, rozwiéwa, który jest tak chwiejny w swym składzie, tak mało stały w jego utrzymaniu, zależny od masy ubocznych okoliczności, czy warto zastanawiać się nad kurzem i pyłem, które staramy się „otrząsnąć z nóg swoich".

Postaram się dowiéść, że pył zasługuje na uwagę. Czyż istnieje bowiem najprzód dla badacza przyrody tak znikomy przedmiot, o którym możnaby orzec, że nic nowego nam nie da dla nauki, tak drobny pyłek, o którym nie moglibyśmy powiedziéć, po zbadaniu go przez mikroskop, co zacz jest, po analizie chemicznéj — z czego się składa. Témbardziéj powinny być dla nas ciekawemi te cząsteczki, które unoszą się w otaczającéj nas atmosferze, które wciągamy wraz z powietrzem do płuc i które, osiadając na wszelkich przedmiotach nas otaczających, dostają się i do pokarmów, a z niemi do przewodu pokarmowego. Pyłki te unoszą się i w dalszych od nas przestrzeniach, po za granicami dostępnéj dla nas atmosfery w kształcie

tak zwanego pyłu kosmicznego, o którego pochodzeniu wiemy bardzo mało, który jednak wciąż osadza się na naszéj planecie. Pył ten znaleziony przez Nordenskiölda, podczas jego podbiegunowych podróży na dziewiczych śniegach i lodach, składał się z najdrobniejszych cząsteczek czystego żelaza metalicznego, z którego, jak wiadomo, składają się téż aerolity.

Przechodząc do dostępniejszych, bliższych nam pyłków, przypomnijmy sobie, że bez zbadania ich byłoby niemożliwém zbicie teoryi (Pouchet'a) o t. zw. samorodztwie (*generatio spontanea*) i postawienie natomiast teoryi Pasteur'a, opartéj na niewzruszonych faktach spostrzeżeń i doświadczenia, a głoszącéj, że każde żyjące stworzenie pochodzi z zarodka drugiego jemu podobnego, które żyło przedtém, tak samo jak każda komórka zwierzęca, czy roślinna pochodzi od jéj podobnéj (*omnis cellula e cellula*, *omne vivum e vivo*).

Znane powszechnie doświadczenia Tyndall'a i Pasteur'a wykazały, że w cieczach i płynach, w których zarodki zostały zniszczone przez wrzenie, działanie wysokiéj temperatury (100^0), lub dodanie środków zabijających takowe (dezynfekcyjnych), albo téż niedopuszczenie do tych płynów powietrza,—nie mogą powstać nowe zarodki, jeżeli usuniemy od nich dostęp powietrza, zawierającego pyłki. Teorya samorodztwa dowodziła, iż żyjątka powstają same przez się w materyi organicznéj.

Te wiekopomne doświadczenia, na których opartym jest tak wybitny postęp spółczesnéj chirurgii, zarówno jak i hygieny, posiadają téż ogromne znaczenie w przemyśle i rolnictwie.

Nie mogąc się bliżéj zatrzymywać nad procesami rozmaitego rodzaju fermentacyi, które zachodzą w płynach pod działaniem zarodków grzybków drożdżowych, przypomnimy tylko fermentacye alkoholową, octową, mające takie ogromne zastosowanie w przemyśle, przypomnimy tak zwaną opartą na badaniach grzybków drożdżowych pasteryzacyę, czyli wyjałowianie wina i piwa (w celu zabezpieczenia go od psucia) przez działanie niezbyt wysokiéj (60^0) temperatury w przeciągu kilku lub kilkunastu dni, z odpowiedniemi przerwami. Przypomnijmy téż fermentacyę saletrzaną, wytwarzającą całe pokłady saletry w ziemi i posiadającą ogromne znaczenie przez utlenianie związków azotowych. Oprócz tego, procesy gnilne, zachodzące wszędzie, gdzie istnieje materya organiczna, woda i powietrze, rozsiewające na tych podłożach zarodki bakteryi gnilnych, posiadają także kolosalne znaczenie w ekonomii przyrody, niszcząc i rozkładając na pierwiastki elementarne nieorganiczne te materye organiczne, które straciły możność samodzielnego istnienia, przera-

biania, asymilacyi, które — jedném słowem — obumarły. Bez tego rozkładu gnilnego w krótkim przeciągu czasu powierzchnia naszego globu byłaby pokrytą trupami zwierząt i roślin, nie pozostawiającemi miejsca dla żywych, zarażającemi powietrze przez straszne wyziewy, aż w końcu życie musiałoby zniknąć na ziemi. Sprzymierzeńcami więc życia okazują się, w tym kierunku, te drobne istotki unoszące się w powietrzu, osiadające w kształcie pyłu na przedmiotach nas otaczających, a więc i na materyach organicznych, zawierających znaczną ilość wody, które stanowią tak doskonałe podłoże dla bakteryi gnilnych, przy pewnym stopniu ciepłoty.

Ale to, co dla przyrody jest tak dobroczynném, w gospodarstwie człowieka jest przeszkodą ku zachowaniu produktów organicznych, służących do odżywiania: stąd staranie o zapobieżenie gniciu tych produktów już to przez usunięcie jednego z czynników niezbędnych dla jego rozwoju, więc przez suszenie, zamrażanie, to znów przez dodanie środków chemicznych zapobiegających gniciu (kwas borny, formalina i t. p.), to znów przez wyjałowienie przy pomocy wysokiéj temperatury (gotowanie). Przepuszczając powietrze przez silnie ogrzaną rurę metalową lub filtrując przez watę, piasek i t. p., możemy otrzymać powietrze zupełnie wyjałowione, pozbawione zarodków. Prawie wszystkie zarodki (oprócz spor) giną przy temperaturze 100° C., zabezpieczają się zaś produkty od dostania się nowych zarodków przez hermetyczne zamknięcie, zalutowanie i t. p. (konserwy Apperta).

Nakoniec, pyłki powietrzne mogą być przyczyną chorób i roznosić zarazki w kształcie bakteryi lub ich zarodników (spor).

Przejdziemy do więcéj szczegółowego rozpatrzenia główniejszych danych o powietrzu. Z polskich uczonych znaczenie badań nad pyłem było podniesione przez J. Natansona w jego pracy, chociaż wydrukowanéj w r. 1884, ale posiadającéj dotychczas wielką wartość naukową.

Powietrze atmosferyczne nigdy nie jest swobodném od stałych cząstek, których ilość wynosi 0.2 do 25 mlgrm. na 1000 litrów powietrza, a których zbiór nazywają k u r z e m (pyłem), mającym (pod względem hygienicznym) rozmaite znaczenie, stosownie do ilości i pochodzenia tych cząstek. Uczony Nägeli grupuje cząstki pyłu podług wielkości w następujący sposób: 1) grubsze, widzialne gołém okiem cząsteczki, które wiatr wznosi do góry, ale które mechanicznie tylko trzymają się na pewnéj wysokości, padając wkrótce na

ziemię, z któréj i pochodzą; 2) takie, które są widoczne w ciemni optycznéj przy wpuszczeniu promienia słońca, t. zw. pyłki słoneczne, lub w zaciemnionym pokoju przez otwór w okienicy, składające się przeważnie z cząsteczek organicznych i zarodków, które, przy bezwzględnym spokoju powietrza, mogą osiąść zupełnie i wtedy promień świetlny nie będzie widoczny; i 3) zupełnie niewidzialne, przy zwykłych warunkach, które można uwidocznić, przepuszczając promień słoneczny przez atmosferę nasyconą parą wodną (Renk).

Ilość cząstek pyłu w powietrzu zależy od jego ruchów (wiatrów) i stopnia wilgoci i spokój powietrza powoduje osiadanie cząsteczek, gdy, przeciwnie, wiatr unosi je znów w górę; dészcze i inne opady atmosferyczne zmywają kurz z powietrza na ziemię. Tissandier znalazł w miejskiém powietrzu po dészczu 6 mgrm. kurzu na 1 sz. m. powietrza, gdy w czasie suszy było 23 mgrm. Fodor znalazł, że w Budapeszcie ilość kurzu zmienia się stosownie do pory roku: najwięcéj 0.55 mgrm. w lecie, najmniéj zaś — 0.24 mgrm. w zimie na 1 m. sz. powietrza [1]).

Zupełnie inaczéj rzecz się ma z pyłem, znajdującym się w mieszkaniach, warsztatach i innych budowlach, gdzie własności jego zależą od rodzaju zajęć, a ilość dochodzi przy niektórych z nich do zastraszających rozmiarów. Hesse znalazł w sypialnym pokoju 1.6 mgrm., we młynie 47.7 mgrm., w fabryce żelaznéj 71.7 — 100.0 mgrm., w fabryce obuwia filcowego 106 — 175.0 mgrm. pyłu na 1 m. sześc. powietrza.

Co do chemicznego składu pyłu, to głównie mamy do czynienia z cząstkami nieorganicznemi. Tissandier znalazł w kurzu paryskim 24—35%, Tichborne w dublińskim 29.7 — 45.2% cząsteczek organicznych. Kurz na wolném powietrzu posiada cząstki nieorganiczne, pochodzące z najdrobniejszego piasku, zwietrzałych kamieni, w powietrzu miast znowu pochodzą one z kamieni brukowych, ścieranych przez koła i z cząsteczek węgla, uchodzących w powietrze przez kominy i t. d. Reimsch znalazł w kurzu następujące pierwiastki: potas, sód, wapień, magnez, żelazo, ołów, mangan, miedź, cynę, chlor, siarkę, fosfor i krzem. Główném źródłem cząsteczek soli w powietrzu jest mechaniczne roznoszenie ich przez parujące płyny (morza, oceany), co było dowiedzioném przez bezpośrednie doświadczenie (Marguerite). Przy zajęciach przemysłowych oddzielają się cząstki węgla, żelaza (i rozmaitych innych połączeń), kwarcu, szkła, gliny i t. p.

---

[1]) Skład pyłu jest zmienny stosownie do pory roku.

Z organicznych cząstek jedne są nieożywione, inne zaś obdarzone życiem. Do pierwszych należą: włosy, sierść, komórki naskórka, włókna roślinne (lniane, bawełniane, jedwabne, wełniane), cząstki drzewne i t. p.; do drugiego rzędu należą: pyłek kwiatowy, spory grzybków i bakterye. Wielkie ilości pyłku kwiatowego z lasów sosnowych, zarośli jałowcowych wywołują czasem zjawisko znane pod nazwaniem deszczu siarkowego.

Badanie powietrza co do zawartości kurzu prowadzi się przy pomocy przyrządów zwanych acroskopami (Pouchet'a, ulepszonych przez Maddos'a i Miquel'a), za pomocą których można określić ilość i jakość pyłu w powietrzu. Składa się ów przyrząd z aspiratora, przeciągającego powietrze, z szybkością 20 litrów na godzinę, ponad szklaną tafelką, posmarowaną gliceryną z glukozą; po 48 godzinach działania aparatu, przez który przechodzi około 1 m. sz. powietrza, nakrywają tafelkę drugiém szkiełkiem i badają pod mikroskopem. Dla otrzymania cyfry cząsteczek pyłu w 1 litrze powietrza trzeba średnią cyfrę ilości pyłków z szeregu pól widzenia tafelki szklanéj podzielić przez ilość litrów powietrza przeciągniętego przez aparat. Podobny przyrząd, urządzony w ten sposób, żeby otwór rury powietrznéj był zawsze zwrócony w stronę prądu powietrza, służył Miquel'owi do badania powietrza w Paryżu. Podług badań tego uczonego powietrze już na wysokości 100 metrów (wysokość latarni Panteonu) jest 20 razy czystsze, niż na poziomie ulicy Rivoli; stopniowo wznosząc się w górę na wysokościach alpejskich, można miéć powietrze zupełnie prawie pozbawione cząsteczek pyłu, tak samo, jak to znaleziono na pełném morzu.

Źródłem pochodzenia bakteryi i zarodników grzybków, unoszących się w powietrzu, są suche powierzchnie, na których one wyrosły; z wilgotnych bowiem i mokrych przedmiotów bakterye nie mogą się wznieść w powietrze. Jednak, jeżeli powierzchnia płynu (morza, rzeki) jest rozbita przez wiatr na pianę i bryzgi, to prąd powietrzny może unieść drobne kropelki wody, razem z zawartemi w nich bakteryami nawet na dalsze odległości. Największa część mikroorganizmów powietrza siedzi na cząstkach mineralnych, oraz na włóknach roślinnych i komórkach; bardzo często siedzą one na wzmiankowanych przedmiotach po kilkanaście razem. Wskutek tego znaczniejsza ilość mikroorganizmów zawiéra się w kurzu złożonym z grubszych cząsteczek, stosunkowo jest ich mniéj w powietrzu zawierającém tylko pyłki słoneczne. Spory pleśni unoszą się

w powietrzu oddzielnie, są więc daleko lżejsze od zarodków bakteryalnych (posiadając przytém większą powierzchnię).

Jeżeli w pokoju (dajmy na to w sali szkolnéj) będzie wzniesiony w powietrze kurz, to po upływie półgodziny większa część kurzu, wraz z bakteryami, opadnie na ziemię, a pozostaną w powietrzu zarodki pleśni.

Na otwartém powietrzu zarodków pleśniowych bywa 2—10 razy więcéj, niż bakteryi i ogólna liczba zarodków na 1 metr sz. w niezepsutém powietrzu powinna wynosić, przeciętnie, 100 — *500* — 1000 [1]. Rozumié się, że cyfry te znacznie różnić się będą, jak się przekonamy nieco późniéj, w miastach, na ulicach, w mieszkaniach i t. p.

Hesse przeprowadził ciekawe doświadczenia w izbie szkolnéj, gdzie na początku lekcyi było bardzo mało zarodków, w końcu zaś — liczba ich wzrosła dziesięciokrotnie. Rozumié się, ilość ich wzmogła się dlatego, że dzieci, mechanicznie (nogami, rękoma) wznosząc kurz w powietrze, rozpylały niejako i bakterye, które, po większéj części, znajdują się na większych cząstkach pyłu. Ciekawym jest fakt, że w miejskich kanałach powietrze nad powierzchnią wody zawiéra bardzo mało bakteryi, chociaż woda kanalizacyjna bardzo jest bogata w zarodki. To dziwne, na pierwszy rzut oka zjawisko, objaśnia Nägeli i inni badacze w ten sposób, że bakterye nie mogą wznosić się w powietrze nad powierzchnię płynów, lecz tylko w suchym stanie (jakkolwiek najnowsze badania Germano wykazały, że na niewielkie odległości bakterye mogą być przenoszone i przez rozpylanie płynów).

Bakterye, unoszące się w powietrzu, najlepiéj wydzielać za pomocą kultur na płynach odżywczych, co pierwszy zastosował Pasteur, a po nim Cohn. Przy zastosowaniu do badań stałych podłoży odżywczych zostały one znakomicie ułatwione i Koch wystawiał żelatynę przygotowaną w sposób specyalny dla hodowli bakteryi w płaskich, otwartych naczyniach na dłuższy przeciąg czasu ($^1/_2$ godziny), licząc potém otrzymane kolonie, każda kolonia odpowiada jednemu zarodkowi. Więcéj udoskonalonym jest sposób Hessego, który użył ku temu rury szklanéj, długości 1 m. i szerokości 5 ctm.; na jéj

---

1) Wyższe cyfry wskazują już zepsucie powietrza. W ten sposób można do pewnego stopnia oceniać hygieniczną wartość powietrza, które im mniéj zawiéra zarodków, tém jest czystsze i zdrowsze.

ściankach wewnętrznych znajduje się około 75 ctm. sześc. galarety odżywczéj, ponad którą przechodzi powietrze przeciągane przez aspirator, z szybkością 1 litra w 5 minut; na powierzchni żelatyny rozrastają się kolonie bakteryi, które można policzyć, zbadać i wydzielić w czystych kulturach. Ulepszony przyrząd Petri polega na tém, że przeciągając mniejsze ilości powietrza za pomocą pompki powietrznéj, połączonéj z zégarem gazowym, przez piaszczysty małych rozmiarów filtr i rozprowadzając ten piasek w płynnéj, odżywczéj żelatynie, którą potém rozléwamy na płytki Petri, otrzymujemy ilość kolonii bakteryalnych, odpowiadającą ilości zarodków w pewnéj określonéj objętości powietrza. Modyfikacya Miquel'a polega na tém, że piasek zastąpiony jest przez sól rozpuszczalną w wodzie (np. sól kuchenna); przy obu tych sposobach można zarówno dobrze badać małe, jak i większe ilości powietrza.

W ten lub inny sposób zbadano powietrze w rozmaitych miejscowościach, przyczém otrzymano następujące dane (podług prac Miquel'a):

powietrze nad oceanem Atlantyckim w odległości 100 kilom. od brzegu zawiéra w 1 m. sz.		.	0.6	zarodków
powietrze w Paryżu	(Panteon)	. . . .	200	„
„ „	(Montsouris)	. . . .	480	„
„ „	(ul. Rivoli)	. . . .	3,480	„
„ „	w nowym domu	. . . . .	4,500	„
„ „	w kanałach miejskich	. . .	6,000	„
„ „	w domu starym	. . . . .	36,000	„
„ „	w nowym szpitalu Hotel Dieu		40.000	„
„ „	w szpitalu Pitié	. . . . .	79,000	„

Powietrze w Warszawie podług badań prof. Bujwida i in. zawiéra bakteryi: na rozmaitych ulicach miasta od 4,400 do 47,000 na 1 m. sz. (najwięcéj na ul. Franciszkańskiéj); w mieszkaniach prywatnych od 6—10 tys.; w szpitalach od 20—30 tys. (najwięcéj w ambulatoryach); w suterenach znaleziono największą ilość kolonii 93 tys., w tém około 80 tys. pleśni; w powietrzu kanałowém na Senatorskiéj $3^1/_2$ tys. na 1 m. sz. Moje doświadczenia w Kijowie, Charkowie, Tyflisie, wskazują, że stosunki między cyframi otrzymują się wszędzie prawie jednakowe.

Badania powietrza w górach wykazały, że zawartość bakteryi w górskiém powietrzu jest coraz mniejszą, im wyżéj się wznosimy.

Christiani czynił podobne poszukiwania, wznosząc się w balonie do wysokości kilku tysięcy metrów nad poziom morza i przy-

szedł do tego wniosku, że na wysokości 1,100 metrów ponad miastem powietrze już jest bardzo czyste i wcale nie zawiéra zarodków.

H y g i e n i c z n e znaczenie kurzu zależy od jego ilości i własności. Co prawda, nasz organizm posiada pewne urządzenie zabezpieczające drogi oddechowe od kurzu. Są to komórki nabłonka w górnych częściach dróg oddechowych, mające na swobodnéj powierzchni po kilka rzęsek wibracyjnych, posiadających własny ruch ku górze (ku zewnątrz), wskutek czego cząsteczki kurzu są wydzielane w śluzie nosowym lub we flegmie. Przy stałém zanieczyszczaniu atmosfery te komórki nie wystarczają, gdyż zatracają swą siłę; wtedy następują kataralne zapalenia oskrzeli i nawet miąższu tkanki płucnéj, t. zw. p n e u m o k o n i j o z y (p y l i c e), które wywołują proces zapalny w płucach noszący nazwy: *anthrakosis*, *sideroris*, *aluminosis*, stosownie do tego, z czego się składają cząsteczki pyłu, t. j. z węgla, żelaza lub gliny. Im większe są cząstki kurzu, im bardziéj brzegi są ostre, tém więcéj mogą one wywołać zmian i powodować stan, zapalny. Z tego powodu prawodawstwo stara się o zapobieżenie szkodliwym tym następstwom w fabrykach, wydając rozporządzenia, zapobiegające tworzeniu się kurzu, lub téż dążące do natychmiastowego usuwania go po za obręb budynków. Nie wdając się w szczegóły techniczne, wspomnimy o rozporządzeniach dotyczących np. noszenia respiratorów, które, zresztą, przynoszą bardzo mało korzyści, a szkodzą robotnikom, tamując oddech i będąc wogóle niedogodne w noszeniu. Bardzo ważnym w następstwa jest prosty środek, polegający na zwilżaniu wytwarzającego się pyłu strumieniem wody. Jeszcze ważniejszém jest usuwanie pyłu—przy saméj fabrykacyi, co można osiągnąć przez urządzenie sił i systemu wentylatorów przy samych maszynach (w papierniach, fabrykach sztucznéj wełny i t. p.), usuwających kurz przy pomocy pomp ssących powietrze, unoszące jednocześnie i większą część pyłu i kurzu; tak samo dobre rezultaty można otrzymać za pomocą parowych rozpylaczy wody, która zwilża cząstki pyłu i czyni je cięższemi, mniéj ruchliwemi, spadającemi na podłogę i przez to mniéj szkodliwemi dla zdrowia. Jeszcze inny system polega na tém, żeby dać możność kurzowi osiadania w odpowiednich komorach lub wieżach (w papierniach, przędzalniach) lub téż system filtrów dla kurzu najbardziéj dający się stosować we młynach.

U s u w a n i e k u r z u z m i e s z k a ń, oprócz urządzeń wentylacyjnych, odbywa się, jak wiadomo, przy pomocy mechanicznego zbié-

rania kurzu przez szczotki, ściérki i t. d. Właściwie mówiąc, wszystkie te sposoby są bardzo niedostateczne. Najlepszém byłoby zbiéranie kurzu mokremi ściérkami z następném zniszczeniem go przez wymycie w wodzie (nie wytrzepywanie), czemu jednak przeszkadza ten rodzaj umeblowania mieszkań, jaki wogóle jest w użyciu. Tak téż i zamiatanie ulic miejskich powinno być dokonywane przy obfitém poléwaniu bruku. Spluwaczki z piaskiem należałoby zupełnie usunąć, zastąpiwszy je przez zbiorniki wodne (spluwaczka Dettweiler'a).

Główne znaczenie w sprawach zdrowotnych mają znajdujące się w powietrzu zarodki mikroorganizmów. Nie ulega wątpliwości, że niektóre z chorób zakaźnych są przenoszone przez powietrze, do takich należą: gruźlica, węglik, ospa, influenza, malarya; tak samo róża, rozmaite ropienia, tężec przyranny, włóknikowe zapalenie płuc, błonica, bezwątpienia mogą nieraz pochodzić z powietrza. Dla gruźlicy ten fakt nie był ustanowiony naukowo, dopiéro badania Cornet'a 1887 r. udowodniły obecność laseczników gruźliczych w kurzu pokojów, gdzie przebywali chorzy suchotnicy nie przestrzegający czystości, wskutek czego plwociny wysychając dawały ogromną masę rozpylonych w powietrzu laseczników. W ten sam sposób można dowiéść istnienia laseczników karbunkułowych w kurzu gałganiarni, gdzie sortują gałgany; laseczniki te powodują u robotników t. zw. „chorobę sortowników", będącą karbunkułowém zarażeniem płuc. Buchner'owi udało się doświadczalnie wywołać takie zarażenie u królików przez wdychanie pyłu z zarodkami karbunkułowemi.

Przy obecnym stanie nauki musimy przypuszczać, iż zarażenie przez powietrze można wywołać tylko na tych chorobach, których bakterye posiadają stałe spory lub, wogóle, są trwalsze, przeciwnie niektóre zarodki, np. cholery, giną przy wysychaniu w powietrzu. Znany wszystkim opatrunek aseptyczny, będący dalszym rozwojem opatrunku Lister'a, którego główną zasadą jest niedopuszczanie bakteryi z powietrza i z otaczających chorego przedmiotów do ran, zawdzięcza téj okoliczności swój tryumf.

Laseczniki Löfflera (błoniczne) zachowują swoje własności życiowe przy wysychaniu przez długi czas i tém dłużéj, im więcéj powietrze zawiéra pyłu, który zabezpiecza je niejako od utleniania i od działania promieni słonecznych.

W czasach dawniejszych przypisywano powietrzu ogromną rolę przy roznoszeniu chorób i ich zarodków (miazmy). Dwa wieki

temu odstrzeliwano się z armat we Lwowie od morowego powietrza, gdyż przypuszczano, iż w powietrzu unoszą się istotki drobne wywołujące chorobę. Nowsze badania bakteryologiczne wskazują, że niebezpieczeństwo jest mniejsze, aniżeli przypuszczano; atoli te badania wskazują na to, iż rola powietrza w przenoszeniu chorób zakaźnych jest znaczna. Znany chirurgiczny opatrunek bezgnilny (aseptyczny) dowodzi tego, gdyż zasłaniając tylko rany od pyłków, a więc i zarodków z powietrza, bez użycia środków przeciwgnilnych, zabijających bakterye powietrzne, możemy otrzymać w chirurgii dobre rezultaty. Wogóle, w spokojném powietrzu ilość zarodków bakteryjnych chorobotwórczych jest nieznaczna i nie przedstawia niebezpieczeństwa. Co innego w powietrzu silniéj poruszaném przez wiatry, przesyconém kurzem, w którém ilość takich ogromnie wzrasta i zarazem wzmaga się niebezpieczeństwo zarażenia się (naprzykład przeciągi powietrza, wywołujące tak często „przeziębienia", mogą być roznosicielami rozmaitych zarodków i służyć pośrednio do wywoływania choroby). W bliskości chorych i wewnątrz mieszkań powietrze bezwarunkowo może być roznosicielem zarazy. Tak ospa może być przeniesiona przez pył powietrza, prawdopodobném jest to bardzo i dla odry, szkarlatyny, tyfusu plamistego. Są to choroby zakaźne, których zarodki bakteryologiczne nie są dotychczas zbadane dostatecznie.

Największym zaś biczem ludzkości jest gruźlica, roznoszona przez pył w prądach powietrznych, co stwierdziły doświadczenia prof. Kocha i Cornet'a. Już dlatego badanie powietrza pod względem zawartości chorobotwórczych ma ogromne znaczenie i wszelkie środki, które ostatniemi czasy zostały przedsiębrane (palenie, gotowanie lub dezynfekowanie wydzielin chorych na gruźlicę, specyalne spluwaczki, dezynfekcya wagonów, mieszkań, gdzie przebywają tacy chorzy), są skierowane ku unicestwieniu zarodków gruźlicy. Niedość jednak troszczyć się o zachowanie czystości wogóle przez usuwanie kurzu, głównem zadaniem spółczesnéj hygiény powinno być zniszczenie zarazków w miejscu ich powstawania przez dezynfekcyę — nie dopuszczanie ich w powietrze. Być może, ktoś zapyta, czém to się dzieje, że zarodki wyliczonych chorób nie zarażają wszystkich ludzi, lub znacznéj części ludzkości w pewnym czasie? — Objaśnić to nie trudno, ponieważ 1) zarodków w powietrzu znajduje się stosunkowo niewiele, 2) znaczna ich część lub traci swoje własności chorobotwórcze wskutek działania słońca i innych czynników, lub unoszona jest w górne warstwy powietrza, gdzie

także ginie, i 3) organizm ludzki posiada pewne własności odporne (immunizacyi), polegające na stopniowém (poczynając od najsłabszych) zarażaniu, przez co uzyskuje on uodpornienie (*immunitas)*, czyli własność niezarażania się, przy wstąpieniu w ciało zarazków silniejszych téj samej natury chorobotwórczéj. Na te własności liczyć jednakże nie należy i trzeba się starać, o ile możności, o pozbawienie pyłu jego szkodliwych dla zdrowia ludzkiego własności.

Dr. Stanisław Bartoszewicz.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Leon Dembowski „Moje wspomnienia“, tomów dwa. Petersburg, nakład K. Grendyszyńskiego, 1898.

Spora wiązka tych wspomnień, z lat mianowicie 1807—1830, ogłoszona była w „Ateneum“ i rozwodzić się nad ich osnową nie mamy potrzeby. Rzucimy okiem jedynie na treść tomu drugiego, obejmującego wyłącznie wypadki roku 1830—31.

Rysem znamiennym, odróżniającym drugą tę część od pierwszéj, jest przeciążająca drobiazgowość i rozwlekłość opowiadania. Czasy swéj młodości pamiętnikarz opisywał w sposób bardziéj uogólniony, dotykający przeważnie zdarzeń, obchodzących kraj cały, wpływających na jego losy. Od chwili zaś, jak z biegiem lat i zdarzeń, Dembowski zdobywa kolejno w hierarchii państwowéj Królestwa kongresowego coraz wyższe stanowiska, senatora-kasztelana, sędziego w Trybunale najwyższym, członka Rady administracyjnéj, ministra, i t. d., zwierzenia prywatne, poufne zaczynają coraz częściéj mieszać się ze sprawami publicznemi, gmatwając ich wątek i perspektywę. Spowinowacony lub spokrewniony z najpierwszemi domami naszéj arystokracyi rodowéj, pan kasztelan z nieustającego z niemi obcowania wynosi na światło dzienne wszystkie lampki i kagańce wieczornych, herbatnich ich pogadanek dla oświetlenia jakiegoś faktu jasnego już zkądinąd jak słońce. Wytwarza to niekiedy łamanie się świateł, jedyne w swoim rodzaju. Weźmy przykład.

Przygotowują się w cichości i mroku wypadki, które pochłonąć mają w krótkim czasie, wraz z dobrobytem kraju, ciężko na kongresie wiedeńskim zdobyte stanowisko prawne Królestwa. O tych przygotowaniach taką szeroką i okolicznościową relacyę podaje:

„Przybyłem do Warszawy 28 października (1830). Nazajutrz wieczorem odwiedziłem mojego szwagra, ministra oświecenia, Stanisława Grabowskiego. Była u niego na tym wieczorze J. W. Tekla z Byszewskich hrabina Skarbek, któréj córka Emilia była małżonką mojego siostrzeńca, Leona Grabowskiego. Zaledwiem przybył, prosiła mnie, ażebym z nią udał się do pokoju, w którym mieszkał drugi mój siostrzeniec, Ludwik Grabowski. Gdyśmy się znaleźli sami, rzekła do mnie:

„Jeżeli Boga kochasz, daj mi radę, co mam czynić z córką. Jest w dziewiątym miesiącu ciąży, gdzież ma odbyć połóg? Zapewne wiesz, co się tu święci i że lada chwila będzie rewolucya"... — Odpowiedziałem jéj, że doszły mnie wprawdzie słuchy o jakichś gotujących się zaburzeniach, lecz ja temu wiary nie daję, bo nie widzę, ktoby rewolucyę miał wykonać. „Nie widzisz, — odpowiedziała mi — bo nie chcesz widzieć, a wszakże gdybyś dobrze się przypatrzył, tobyś dostrzegł, że tu, w mieszkaniu ministra, Witwicki leje kule"... Na to jéj odrzekłem: „Jest tylko jedno rzeczą pewną, to jest, że w podobném usposobieniu umysłów córka pani odbyć połogu nie może na wsi"... Zdecydowała się córkę na połóg do Warszawy sprowadzić, jakoż najęła mieszkanie na Krakowskiém Przedmieściu, w kamienicy położonéj od strony ulicy Koziéj"...

Ciąża, rewolucya, usposobienie umysłów, połóg, kule Witwickiego...—cóż to za prześliczna mozaika obyczajowa o złowrogich refleksach politycznych, co za wzorowe uwydatnienie staréj reguły gramatycznéj: tak się pisze, jak się mówi!

Nie oznacza to jeszcze wcale, aby w Dembowskim, po odgarnięciu wstawek przygodnych i preludyów anegdotycznych, materyał dziejopisarski był lichy, ladajaki. Owszem, dużo w nim zaznaczeń i świadectw, które w obrobieniu krytyczném, w zestawieniu z innemi źródłami, nabierają znaczenia i powagi. Zlustrujmy choć jeden taki szczegół. Oto np. z korespondencyi ministra sekretarza stanu w Petersburgu, Stefana Grabowskiego, z księciem Lubeckim wypada stanowczo, że w p a ź d z i e r n i k u 1830 r. Cesarz Mikołaj I zamierzał zbrojnie wystąpić przeciwko rewolucyi lipcowéj w Paryżu i w tym celu W. Książe Konstanty otrzymał rozkazy postawienia na stopie wojennéj armii polskiéj, zostającéj pod jego zwierzchnictwem; pogotowie skończone być miało przed d. 22 grudnia (str. 14). Wiadomość, niezaprzeczenie ciekawa sama przez się, stanie się bardziéj jeszcze interesu-

jącą, gdy ją opatrzymy komentarzem dokumentów ustalonéj autentyczności. W początkach sierpnia 1830 r., książę Metternich miał kilka urzędowych rozmów w Karlsbadzie z rosyjskim wice-kanclerzem, hr. Nesselrode, który na uczynione propozycye wspólnego działania wobec wypadków paryskich, najkategoryczniéj oznajmił, w imieniu swego monarchy, że cesarz Mikołaj „nigdy nie straci ani jednego naboju, nie przeleje ani jednéj kropli krwi ruskiéj, nie wyłoży ani jednéj kopiejki na naprawę błędów popełnionych we Francyi". W początkach września tegoż roku, hrabia Dybicz-Zabałkański przybył do Berlina z instrukcyą omawiającą warunki wspólnéj interwencyi zbrojnéj Rosyi i Prus we Francyi; odmowa króla Fryderyka Wilhelma III, zaaktykowana w raporcie Dybicza z dnia 9 września now. st., nadeszła do Petersburga, drogą lądową, najpóźniéj około 20-go tegoż miesiąca (morzem znacznie wcześniéj). Ponieważ zaś listy Stefana Grabowskiego są z drugiéj połowy października, kiedy Austrya i Prusy formalnie zgodziły się na usankcyonowanie dokonanego we Francyi przewrotu, domyślać się więc ztąd należy, że rozkaz uruchomienia wojska polskiego miał na widoku jedynie pogróżkę, jedynie zaakcentowanie nacisku na odmienną od sąsiadów postawę Rosyi. Liczono w tém na nieuchronne pośrednictwo „wrodzonego" gadulstwa polskiego, odgłosami swemi sięgającego daleko po za Wiedeń i Berlin. Pomylono się tym razem o tyle tylko, że wieść o mobilizacyi armii polskiéj przyjęta została na seryo przedewszystkiém w saméj téj armii, spotęgowawszy w niéj pierwiastki niezadowolenia, które wybuch listopadowy spowodowały.

Bez wdawania się w tak rozległe kombinacye dyplomatyczne Dembowski posiadał aż nadto sporą dozę zdrowego rozsądku szlacheckiego, ażeby módz pesymistycznie zapatrywać się na genezę i rozwój akcyi powstańczéj,—i to jest druga z kolei górująca cecha jego wspomnień. Większy statysta niżli polityk, gorliwszy obywatel niżli patryota, roztropniejszy legalista niżli mąż stanu, bieglejszy rachmistrz niżli filozof, człowiek w każdym razie umiarkowany, umiarkowanie bezstronny i rzetelny, strzegł się on bacznie przesady w ocenianiu dążności lub postępowania stronnictw najbardziéj krańcowych; a przecież wrażenie, jakie się otrzymuje z całości jego pracy, złożonéj z tysiąca fotograficznie niemal odtworzonych ulotnych spostrzeżeń, jest natury całkiem ujemnéj, niekorzystnie uprzedzającéj nie tylko względem sprawców i zelotów ruchu rewolucyjnego 1830 r., ale też w części i względem całego społeczeństwa. Scen gorszących lub ponurych pełno wszędzie; niektóre mają koloryt tak cie-

mny, że nie powstydziłby się ich nawet Marcin Matuszewicz... „Arsenał został opanowany; otworzono składy broni, którą pozwolono brać każdemu, celem uzbrojenia pospólstwa; największa część jednakże téj broni przeszła w ręce mieszkańców Nowolipia i Nalewek, starozakonnych, którzy późniéj drogo tę broń sprzedawali rządowi" (str. 32). „Tymczasem nieporządek na ulicach wzmagał się,—nie dla tego, żeby miano z kim walczyć, lecz dla tego, że pospólstwo uzbrojone całą noc przy mrozie kilkustopniowym dla rozgrzania się cokolwiek nadużyło w piciu rozpalających trunków; strzelano więc ostremi nabojami, bynajmniéj nie celując, to do domów, to do przechodzących" (34). „Zaczęto rabować najpierw kasę intendentury rosyjskiéj, a było w niéj kilkanaście milionów rozmaitego rodzaju pieniędzy... Wszyscy ci, którzy obładowani złotem wychodzili na ulicę, napadani byli przez innych i rozpoczynały się bójki. Niektórzy, chcąc ocalić lekko nabyty majątek, kładli się na ziemię, a wtenczas robiła się kupa leżąca, przemocą sobie wydzierająca zdobycz. Kiedy się skończył rabunek kasy, rozpoczęto rabować mieszkania generałów i oficerów, a kiedy i tego niestało, wzięto się do sklepów" (36). „Godność prezydenta miasta powierzono kasztelanowi Tomaszowi Łubieńskiemu; odtąd zaczęły się okazywać w téj władzy municypalnéj zachcenia odgrywać rolę, jaką kiedyś we Francyi odgrywała municypalność paryska, lecz z tą wielką różnicą, że kiedy municypalność paryska za hasło swych działań obrała terroryzm, nasza władza obrała drogę wprost przeciwną, to jest uśpienia i zniweczenia buntu" (44).

O możliwości stłumienia ruchu w początkach Dembowski wyraża się w sposób, przypominający nieco postawę Talleyranda, który w pierwszych dniach wielkiéj rewolucyi francuskiéj doradzał Ludwikowi XVI-mu uderzyć z wojskami w Wersalu na Paryż i jednym zamachem zgnieść gniazdo anarchii. „Wielki Książę, dopóki posiadał przeważne siły, powinien był posłuchać rady generała Gersztencwejga. Niéma najmniejszego wątpienia, iż 30 listopada, a nawet 1-go grudnia, atak na Warszawę udać się musiał... Można było zmusić Warszawę do poddania się za pomocą licznéj artyleryi, którą Wielki Książę posiadał; wzniecony ogień byłby już zdemoralizował część mieszkańców" (56). Wyśmienicie,—zachodzi tylko kłopotliwe pytanie, coby się w takim razie stało było z panią Leonową Grabowską, która w dniach tych najwidoczniéj nie miała szczęścia, jak się to akurat w dniu 1-go grudnia pokazało. „Syn generała Haukego, służący w artyleryi i będący przy działach powstańczych na placu Krasińskich, kilka razy, kierując strzały ulicą Miodową, dał ognia, a jedna kula trafiła w ścia-

nę domu, w którym pod tę porę odbywała połóg pani Leonowa Grabowska, z domu hrabina Skarbek, która téj nocy powiła syna Antoniego... Tak więc, chcąc uniknąć niebezpieczeństwa i znaléść spokojny kąt dla połogu córki, okazało się, iż właśnie wybrano jedyną kamienicę, którą strzały działowe téj nocy dosięgły" (33). Autor zapewnia, że „położnica strachu nie doznała i chwile te żadnego szkodliwego skutku na zdrowie jéj nie wywarły", — najniezawodniéj dlatego, że artylerya Wielkiego Księcia nie usłuchała rady generała Gersztencwejga. Inaczéj, kto wié, — możeby Antoś Grabowski nigdy na świat nie był przyszedł...

Z rzędu opisów i podań, które u Dembowskiego zaliczyć wypada poniekąd do unikatów i z tego powodu wolno zapatrywać się na nie, jako na nieodzowną część wewnętrznych dziejów roku 1830—31, wymieniamy następujące: rozmowy i pertraktacye hr. Wład. Zamoyskiego z Wielkim Księciem i księżną Łowicką (43, 50 i nast.); działalność Chłopickiego na stanowisku naczelnego wodza i dyktatora, jego korespondencya z Petersburgiem i oświadczenia przed delegacyami izby i senatu, zatargi z Tow. patryotyczném i Lelewelem, poglądy i uwagi przy składaniu dyktatury, udział w bitwie pod Grochowem, w końcu jego usunięcie się od życia publicznego, po mniéj więcéj jaskrawych i burzliwych zatargach z rządem (78, 101 — 103, 109, 150 i nast.); uchwalenie w d. 25 stycznia t. zw. wniosku Sołtyka, ogłaszającego „niepodległość" kraju (163 — 164); dyplomatyczna działalność sejmu i władz wykonawczych (174—180); sprawa czynszowego uwłaszczenia włościan w dobrach narodowych, wniesiona przez ministra skarbu (245 — 246); podatek „rekrutowy" od żydów (271); nominacya Dembowskiego na ministra skarbu i uwagi o finansach Królestwa (275 i nast.); zwołanie pospolitego ruszenia (313 i nast.); zaburzenia i gwałty uliczne 15 sierpnia (347 — 355); dyktatura Krukowieckiego (367 i nast.); narady ministrów nad propozycyą feldmarszałka Paskiewicza (376); rząd i ludność Warszawy po bitwie pod Wolą (388 i nast.); kapitulacya (404 — 414); odezwa cesarska do Polaków (435) i częściowe amnestye (438—439).

Po tylu niezwykłych przejściach i obrotach koła fortuny, po tylu zawziętych bojach i okrutnych klęskach, jakże dziwnie brzmi końcowa kartka wspomnień Dembowskiego — oschła, prozaiczna, powszedniemi sprawami bytu zaprzątnięta! „Opuściłem Warszawę w końcu października... Zastałem dobra pozbawione wszelkich środków przynoszących dochód... W r. 1830, rządca, przejęty obawą pożarów, umyślił zboże wymłócić i pochować w piwnicach zamurowanych, lub w wy-

palonych dołach; włościanie kryjówkę wykryli i całą krestencyę rozebrali. W r. 1831 nawiedziła moje włości zaraza na bydło; wróciwszy zastałem tylko jedną sztukę... Ale za to kartofle zastąpiły mi wszystkie inne niedobory... Wówczas zbiérano ich jeszcze z morgi w przecięciu od 120 do 180 korcy; że zaś wódka w tym roku była bardzo droga (garniec od 10 do 12 złotych), więc kartofle, przerobione na wódkę, przyniosły mi tyle dochodu, ilem miał zwykle z gorzelni i krescencyi..."

J. T. Hodi.

Henryk Wernic. „Co i jak robią rzemieślnicy. Opis rzemiosł dla młodzieży, tudzież przewodnik przy wyborze powołania." Z zapisu Władysława Pepłowskiego. Warszawa, 1898 r.

Spory tom o 313 stronicach zwyczajnéj ósemki, czyli dwadzieścia arkuszy ścisłego druku za dwadzieścia kopiejek, — jest to, jak dotąd, szczyt i ostatnie słowo taniości wydawniczéj w szalonym wyścigu księgarskim i dziennikarskim, który w ostatnich czasach stał się przedmiotem uwagi powszechnéj i faktem jednym z najbardziéj znamiennych tegoczesnego naszego rozwoju umysłowego... Sprawa jakości pokarmu duchowego zeszła chwilowo na plan dalszy, ostatni; tymczasem, a przedewszystkiém, każdy patrzy jedynie na to, ile ćwiartek bibuły otrzyma za grosz... Tak przynajmniéj było przed świętami wielkanocnemi. Co Bóg da daléj — zobaczymy.

W danym wszakże wypadku zachodzi parę okoliczności, zasługujących na uwzględnienie. Po pierwsze, książka napisana została dla rodzin niezamożnych, z pracy rąk żyjących, obarczonych często dziatwą liczną, wcześnie zmuszoną iść do jarzma zajęć zarobkowych, jeżeli nie wyrobniczych; w takich warunkach drobna oszczędność na elementarzu, na katechizmie, na podręczniku szkolnym, całkiem inne posiada znaczenie niźli dukat, którego zrana pożałowało się na kupno dzieła Korzona lub Kalinki, wieczorem zaś z lekkiém sercem puściło się na licytacyę wintową. Powtóre, wydawnictwa podjęła się kasa Mianowskiego, ze specyalnego zapisu Władysława Pepłowskiego, przynoszącego rocznie do 1,200 rubli w odsetkach wieczystych, przeto ofiarne, wspaniałomyślne obniżenie ceny nie może, nie powinno tu przyczyniać się do obniżenia wartości rzeczy. I tym razem nie przyczyniło się rzeczywiście.

Obok ogłoszonych poprzednio z funduszu Pepłowskiego: „Nauki murarstwa" przez Telesfora Szpadkowskiego i „Przewodnika dla cze-

ladników piwowarskich" Teodora Wańkowskiego, — praca Wernica „Co i jak robią rzemieślnicy" wygląda na pierwszy rzut oka mniéj fachowo, bardziéj pobieżnie, bardziéj ogólnikowo. Ale jest to tylko pozór, nieodzownie zresztą związany z zasadniczém zadaniem książki, która „w zwięzłym opisie główniejszych rzemiosł i materyałów, jakich one używają", nie podaje wprawdzie „wyczerpującéj teoryi rzemiosł", nie odsłania „szczegółowych tajemnic praktycznego jakiegoś zawodu"— i do tego żadnego nie rości prawa, ale natomiast „stara się dać jasne pojęcie o znacznéj liczbie rękodzieł, ażeby obudzić we wzrastającém pokoleniu uznanie dla wszelkiéj pracy". Nadto, przy układzie podręcznika inny jeszcze cel miano na względzie, donioślejszy może niż poprzedni, a mianowicie: „ma on wiernem przedstawieniem trudności każdego rzemiosła, warunków, w jakich się odbywa, oraz pomyślności, jaką zapewnić może, posłużyć za doradcę, gdy nadejdzie chwila wyboru odpowiedniego powołania dla synów".

Na sześć głównych działów rozpada się zawartość przewodnika. Mamy tu: najpierw szereg rzemiosł obrabiających skórę (garbarstwo, białoskórnictwo, szewctwo, rymarstwo i t. d.); następnie rzemiosła przetwarzające len i wełnę (tkactwo, sukiennictwo, płóciennictwo, krawiectwo, kapelusznictwo i t. d.); daléj rękodzieła, których materyałem surowym drzewo (ciesielstwo, stolarstwo, bednarstwo, tokarstwo); z kolei rzemiosła metaliczne (kowalstwo, ślusarstwo, nożownictwo, pilnikarstwo, blacharstwo, kotlarstwo, giserstwo, konwisarstwo, jubilerstwo i t. d.); późniéj poczet rzemiosł przekształcających glinę (ceglarstwo, murarstwo, garncarstwo, wyrób porcelany, szkła i t. d.); wreszcie, oddzielnie stojące, bez ściśle wykwalifikowanéj wspólności lub jednorodności materyału: powoźnictwo, mydlarstwo, tapicerstwo, farbiarstwo, drukarstwo, introligatorstwo i t. d. Jest rzeczą oczywistą, że kilkadziesiąt odrębnych zajęć, z których każde posiada proceder swój własny, własną swoją terminologię, nader niekiedy obszerną i złożoną, pozyskać mogły w ramach pracy jednotomowéj zaledwie sumaryczne i poniekąd zagłówkowe tylko uwydatnienie. Autor brał jedynie rysy conajgrubsze, najwybitniéj cechujące technikę pewnéj gałęzi rękodzielniczéj, czerpiąc swe wiadomości najwidoczniéj z pierwszego źródła, od samych majstrów lub doświadczeńszych czeladników. Powzięcie takich informacyi nie jest u nas łatwe i nie każdemu dostępne. Rzemieślnik nasz podziśdzień jeszcze pozostaje pod wpływem dogasających tradycyi korporacyjnych i profesyjnych, które niegdyś większą część swoich powodzeń zasadzały na sekrecie i przywileju fachowym. Wernic szczęśliwie przełamać zdołał sporą wiązkę tych uprzedzeń i z tego względu niektóre jego monografie (stolarstwo np., lub drukar-

stwo) odznaczają się taką plastyką przedstawienia, że pozazdrościłby jéj nawet Ludwik Figuier, autor olbrzymiego dzieła: *Les merveilles de l'industrie.*

Ponieważ najważniejszy cel książki polega na ułatwieniu młodym kandydatom wyboru powołania rękodzielniczego, przeto w opisie poszczególnych działów autor trzyma się pewnych norm stałych, pewnego układu schematycznego, ułatwiającego oryentowanie się i porównanie. Składowemi częściami każdego takiego opisu są przeważnie: *a)* doraźny rzut oka na przeszłość danego rzemiosła i obecny stan jego udoskonalenia; *b)* materyał używany; *c)* warsztat i narzędzia; *d)* praktyka czyli wykonanie; *e)* nauka i czas jéj trwania. Stosownie do natury rzemiosła, raz przewagę w opisie bierze jeden z tych elementów, drugi raz drugi; w ślusarstwie np., gdzie forma (t. zw. „fason") odgrywa naczelną rolę, narzędzia i modele stają na pierwszym planie; w farbiarstwie znowu, z odmiennych powodów, górę bierze materyał (t. zw. farbniki, czyli esencye kolorowe). Przytém autor próbuje nieraz istniejący obecnie tryb przetwórczy (*resp.* wytwórczy) podniéść i ożywić nieco uwagami zapożyczonemi ze świata wiedzy teoretycznéj. Nie skąpi téż — przy dobréj sposobności — wskazówek pożytecznych, domowéj, podręcznéj doniosłości. „Bardzo ważną rzeczą jest wiedziéć, czy barwa płócienka, perkalu i innych tkanin nie puszcza w praniu, nie blaknie, nie płowieje i nie zmienia się w noszeniu... Ażeby przekonać się, czy czerwona barwa tkaniny jest trwała, gotujemy kawałek tkaniny w wodzie mydlanéj lub wapiennéj, a jeśli płyn nie zabarwi się i tkanina nie zmieni barwy, to napewno wnosić można, iż nie puści w praniu. Żółte tkaniny gotują się w wodzie wapiennéj... Niebieskie warzą się w spirytusie do palenia, poczém zanurzają się w ciepłéj wodzie, do któréj dodano nieco kwasu solnego... Wszystkie tkaniny brunatne, które gotowane w wodzie wydzielają barwę czerwoną, a zanurzone w winnym spirytusie puszczają barwę żółtą, są nietrwałe... Trwałą jest — w ogólności — barwa tkanin czarnych, jeśli te, gotowane w wodzie z dodatkiem odrobiny kwasu solnego, puszczają nieco barwy żółtéj" (str. 291—292).

Życząc książce Wernica jak największego odbytu i rozpowszechnienia, ośmielamy się jednocześnie zaniéść do zarządu kasy Mianowskiego pokorną prośbę, aby raczyła uposażyć nas w niedługim czasie takimże podręcznikiem „Zarobkowych zajęć kobiécych" (kwiaty, hafty, malowanie na porcelanie, fotografia, przepisywanie mechaniczne i t. p.).

Antonina P.

Eliza Orzeszkowa. „Iskry“. (Nowele. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa, 1898, str. 279).

Smutnie zaiste trzebaby było spojrzéć na naszą literaturę piękną w najświeższych wydawnictwach zawartą. W większości utworów beletrystycznych zdawaćby się mogło na chwilę, że razem z wypadkami z alkowy i buduaru świat zamienił się w raj cichy i smętny, pełen szmerów z rozmiłowanych i miłujących serc wyrwanych, a szmery te jakgdyby zléwały się (nie powiem w pieśń) w piosenkę miłości. Piosenkę dlatego, że na rozbrzmienie i potęgę nie starczyłoby tonów: były to raczéj miłostki, schadzki, szepty i westchnienia.. z ogródków podmiejskich. Nie porwał w nich ani szał, ani potężna druzgocąca namiętność, ani wreszcie wielkość uczucia. Bohatérowie licznych noweli kochali się — dla spędzenia czasu. Obok miłości, tematem noweli i bardzo wielu powieści były i zdrady małżeńskie. Zwykle zdradzała kobiéta. A zdrada jéj, będąc zwykle na słabych motywach oparta, budziła litość dla bohatérki, dla jéj nędznych myśli, uczuć i płytkiego umysłu.

Bezwątpienia są czytelnicy, lubiący podobne opowiadania, tak jak w łonie każdego społeczeństwa istnieje pewna liczba kobiét, szukająca rozrywki w miłostkach. Na szczęście w tém samém społeczeństwie bardzo wielu zajmuje się poważnemi zagadnieniami życia i zagadnienia te roztrząsać pragnie. Tylko fantazya autorska nie zawsze zdoła potrącić o żywotne kwestye; nie zawsze talent podoła zadaniu, a wybiérając przedmiot napozór lekki, stwarza utwór, którego celem jest chęć „podobania" się.

I rośnie w ten sposób zielsko literackie, a mając niekiedy pozory, nawet piękną formę, przez wielu za pożyteczną roślinę przyjęte bywa.

Niwa literacka nasza nie jest atoli biédna, ni opuszczona: skromnie, lecz uczciwie pracuje na niéj grono przodowników, zbiérając plon obfity i pożyteczny.

W ich rzędzie staje i Eliza Orzeszkowa, która rozjaśniła smutny horyzont nowelistyczny, krzesząc „Iskry", które bodajby zapaliły umysł, serce i energię czytających.

Nie wyrwała Orzeszkowa bohatérów swoich z pośród grona wybranych, niezwykłych ludzi; przeciwnie—galerya jéj urozmaicona.

Oto młoda i piękna Anja Lind („Krzak bzu") znająca dotychczas dwa tylko wyrazy: miłość i sztuka; sławna i podziwiana przez jedną z pierwszych stolic cywilizowanego świata; podbijająca nie szary tłum, lecz głowy ukoronowane; współzawodniczka kobiét wielkiego urodzenia i wdzięku, któréj sława kobiéca „była dotychczas biała jak

łabędź", już — zda się — wystąpi w roli kochanki wicehrabiego Raula, gdy nagle przypadek nasuwa jéj wspomnienie chaty nad Niemnem, którą niedawno opuściła, przypomina mowę ojczystą i Boga, o których zapomniała wśród różnojęzycznego tłumu... Oczy Anny Lipskiéj (takie miała istotnie nazwisko) nabrały odtąd „przepaścistéj głębi, a na czoło białe, jak lilia, wystąpiła zmarszczka bólu i walki".

Podobną kobiétę spotyka się u Sienkiewicza w noweli p. t. „Na jasnym brzegu". Tak Anna u Orzeszkowéj, jak i Marya Cervi Sienkiewicza tam, gdzie „przewalały się próżniacze miliony", nie sprzedały się za złoto, umiejąc czuć i myśléć poważniéj.

Psychologia Anny prosta i łatwo zrozumiała dla każdéj z uczciwą tradycyą kobiéty (jak mówi Orzeszkowa). Miłość jéj dla sztuki, miłość dla Raula, dopomagającego jéj w zdobywaniu laurów, wreszcie ta noc spędzona bezsennie i stanowiąca o przyszłém postąpieniu, wszystko uplastycznia postać bohatérki, duszę jéj czyni przejrzystą, a ją samą „ze splecionemi rękoma wysoko ku górnéj gwieździe" — kobiétą niepowszednią. Miłość jéj potrafi porwać, bo będzie wielka i potężna, a wtedy nawet błąd czy szał w życiu Anny nie będzie „upadkiem".

Powiécie, że takich jak Anna kobiét—na świecie zaledwie odsetki...

A więc obok niéj inny typ, „siteczkiem" nazwany („Siteczko"), bo myśl, cele, pragnienia, przelecą przez mózg jéj, jak przez siteczko, a ona sama rzuca się jak w klatce złoconéj, skubiąc coraz to nowe ziarnka biédnego — choć napozór wesołego — życia między buduarem a bawialnią...

Są i takie, jak panna Róża („Panna Róża"). Znowu zestawienie z jednéj strony umysłu wyższego, taktu, rozsądku i wielkich cnót z cechami srok, lubiących śmiać się wiele i bujać bezmyślnie na gałązkach. Nie wiedzą biédne, że myśl to skarb, to królestwo...

W tém królestwie przebywała babunia („Babunia"), zapomniana, resztę dni życia używając na rozmyślanie o przeszłości, w zadumie nad teraźniejszą chwilą, służąc podług sił i możności swoim najbliższym. Babunia, świat ją otaczający, ten wnuk, kołysany do snu piosenką: „Dwór pod lipą stoi biały", myśli przędza i uczuć kwiaty téj staruszki złożyły się na całość obrazka niezwykłego, pięknego i wspaniałego przez swą prostotę, a pełnego cech i zalet, na jakie tylko talent prawdziwy zdobyć się może.

Obok „Babuni" postawić wypada Joachima, co opuszczając dwór („Śmierć domu"), w którym się pokolenia wychowały, a który dzieckiem jeszcze pamięta jasny i kochany, teraz starcem patrzy na upadek tych ścian drogich, opustoszenie, nędzę — i odchodząc żegna go znakiem krzyża, jak to „miał zwyczaj czynić przed leżącym w trumnie

umarłym". Bo dom ten umarł, a z nim tradycya jego i pamiątki, wszystko, tylko „jakaś mętna światłość kładzie się na nagich ścianach domu", w którym nie został nikt, bo ostatni dziedzic jego „zaledwie dorósłszy, rozkochał się w gwieździe, wzleciał ku niéj jak orzeł i zginął jak mucha"... Przepadł, a może tuła się bez dachu, bez ziemi, taki biédny, jak ten dom, który opłaczesz, czytelniku, łzą smutku szczerego i serdecznego żalu.

Tak płakałby nad nim i Hryborek („Ani kawałeczka"), bo wié on, że bardzo biédny ten, kto nie ma ziemi, ani stara się o jéj kawałek.

Wspomniane obrazki zalecają się treścią bogatą; są to prawdziwe iskry talentu niepowszedniego, do których dołączyła autorka w omawianym tomie cztery nowele drobniejsze („Daleko", „Liść uschły", „Karyery", „Czy pamiętasz"), lecz te, jako mniéj wybitne, opuszczam, wybiérając sześć ważniejszych na poparcie wstępnych uwag moich, które, nie mając pretensyi do ostatecznego wyroku w omawianéj sprawie, mogą, zdaje się, liczyć na zgodę większości nieuprzedzonych a lubiących analizować życie. *L. Rutkowski.*



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Henryk Sienkiewicz.* **Na jasnym brzegu** (Nowela. Warszawa. Kraków. Nakładem Gebethnera i Wolffa, 1897, str. 163). — „Na jasnym brzegu", w Nicei, mieszkał malarz, Świrski, sławny i zamożny. Bywając w „świecie" poznał p. Elsenową, kobiétę piękną, lecz samolubną kokietkę, o tajemniczéj nieco przeszłości. Ona wyróżniła malarza z pośród innych, poznawszy jego naturę szlachetną, jego serdeczność, inteligencyę i umysł niepowszedni. I miał zostać jéj mężem, gdy oto nagle odnalazł dziewczę ogromnie biédne, a jednak czyste czystością lilii, wspaniałe przez swą urodę. Była Polką... Pozowała mu do obrazu w obecności swéj matki, aż raz on — „przycisnąwszy jéj obie dłonie do piersi" — rzekł: „Oddaj mi siebie i swoich". Miłość ta wyratowała go z sieci pani Elsen, kobiéty o ptasim mózgu, bez serca, a tylko wyrachowanéj i pięknéj... A on z taką żyćby nie mógł. — Opowiadanie „Na jasnym brzegu" skréślił autor w chwili odpoczynku, jak malarz, kiedy w przerwie przy pracy nad wielkiém płótnem szkicuje maleńki obrazek. — Pominąwszy rzeźbę stylu i urocze opisy „włoskiego nieba", może czytelnik spotkać często i w tym drobiazgu zdania, cechujące umysł wyższy. Jak tu wszystko dalekie od tych „drobiazgów" tak chętnie rzucanych na rynek księgarski przeróżnych autorów, goniących za oryginalnością, za niezwykłemi zwrotami, za formą i wyrażeniami na określenie wymarzonych przez siebie światów, cierpień ludzkich, na odtworzenie głuchéj rozpaczy i gorzkiego rozczarowania. Prawda, że Sienkiewicz nie lubi malować biédy materyal-

néj, czyniąc to tylko przelotnie — i to mu zarzucają częstokroć, lecz bohatérowie jego utworów na tém nie tracą z pewnością.

= *Józef Mikulski.* **Sztuka aktorska** (Warszawa, skład główny w księgarni G. Centnerszwera, 1898, str. 231). — Aktor piszący o swéj sztuce, jeśli posiada wykształcenie wyższe, jeżeli zdolny jest do poważnego zastanowienia się nad przedmiotem, może oddać usługi bardzo poważne zarówno publiczności, jak i światu artystycznemu. Pragnął to uczynić i p. Mikulski, kreśląc pogadankę (tak bowiem pracę swą nazywa) o sztuce. Sam aktor, karci surowo swych towarzyszów, gorzkie czyni uwagi płochéj krytyce i stronniczym „wzmiankom", bałamucącym opinię publiczną. Surowéj miary do pracy jego stosować nie można, gdyż skromne są wymagania autora: pragnie on pobudzić zdolniejszych do stworzenia pewnéj systematycznéj całości, wypełniającéj w literaturze polskiéj brak podręcznika o sztuce aktorskiéj. Brakowi temu p. Mikulski nie zaradził: jego pogadanka nie pouczy, bo nie ma w niéj myśli nowych, oryginalnych. Te, które autor głosi, oddawna znane. Rozmiar pracy za szczupły. *L. R.*

= Dr. *Karel Baxa.* **Discours prononcé le 18 Janvier 1898 à la Diète du Royaume de Bohême.** Prague, 1898, p. 35. — W następstwie upadku gabinetu Badeniego i krwawych zajść w Pradze czeskiéj z dnia 29 listopada 1897 r., wywiązała się w prasie niemieckiéj polemika, usiłująca przedstawić Czechów „przed Europą i cywilizowanym światem" w świetle jaskrawém i krzywdzącém. Ogłoszona w języku francuskim, mowa sejmowa d-ra Baxy, jednego z członków stronnictwa „niepodległości", stanowić ma odprawę tym insynuacyom. W gruncie rzeczy jest to bardzo żywy i ostry atak na obecny stan spraw Przedlitawii, nie oszczędzający nawet osoby cesarza Franciszka-Józefa. Mówca, przypominając ziomkom i „Europie" zbliżający się pięćdziesięcioletni jubileusz panowania monarchy Austro-Węgier, utrzymuje, że w ciągu całego półwiekowego tego okresu żadne z przyrzeczeń cesarskich nie było dotrzymane, — wszystkie, od Belcrediego do Taaffego i Badeniego, „złamane zostały". Naród czeski nie zapomni nigdy, — zapewnia dr. Baxa — że „w ciągu lat pięćdziesięciu rządy Jego Cesarsko-Królewskiéj Mości gorliwie pracowały nad tém, aby Czechom postawić największe przeszkody na drodze postępu, polityki i dążności

społeczno-narodowych." Zarzut, choćby nie ulegał wątpliwości, traci na sile i znaczeniu przez to, że mówca bezdowodnie zdaje się liczyć, w kwestyi usunięcia tych przeszkód, na świat cywilizowany i na Europę. Stare dzieje, znane iluzye! *St. Fiat.*

= **Komisya historyi sztuki** odbyła posiedzenie 24 marca r. b., na którém prof. dr Jerzy hr. Mycielski przedłożył referat p. t. „Siedmiogrodzki skarbiec Gryzeldy Batorówny." Wśród niewydanych przez A. Z. Helcla rękopisów „Księgi pamiętniczéj Jakóba Michałowskiego" znajduje się współcześnie spisany oryginalny inwentarz wyprawy w klejnotach, szatach i srebrze, jaką Gryzelda, córka Krzysztofa Batorego, brata króla Stefana, z Siedmiogrodu do Polski przywiozła, poślubiając w r. 1583, kanclerza w. kor. Jana Zamoyskiego. Po jéj śmierci bezdzietnéj w r. 1590, skarbiec ten cały został zregestrowany przez jéj domowników a w obecności krewnych po matce, Elżbiecie z Bocskayów, i do Siedmiogrodu rodzinie zwrócony. Jedna z kopii tego spisu dostała się również do rodzinnych papiérów Melchiora Michałowskiego, wojskiego lubelskiego, który w r. 1605 wyznaczony był jednym z opiekunów małoletniego syna kanclerza Jana Zamoyskiego, i to tłómaczy jéj odkrycie wśród rękopisów Jakóba Michałowskiego, syna Melchiora. Inwentarz ten rzuca światło i na rodzinne stosunki węgierskie Gryzeldy Zamoyskiéj i na niesłychane bogactwo królewskiéj wyprawy, jaką do Polski z sobą przywiozła. Dzieli się ona na trzy grupy. Pierwszą stanowią klejnoty w ogromnéj ilości: kanaki, manele, krzyże, wisiory, kolczyki, łańcuchy, pasy, pierścienie, wszystko ze złota z drogiemi kamieniami i perłami; dział drugi przedstawiają szaty bogate, świetnością swą do skarbca należące, suknie z drogich materyi, płaszcze, osobne rękawy, futra, ubiory na głowę, kapelusze, berety, siatki złote; wreszcie grupę trzecią stanowi srebro, wszystko prawie z herbami Batorych i Bocskayów, a które od sreber z Zamościa dokładnie oddzielono. W ogóle spis tych kosztowności stanowi ciekawy przyczynek do stosunków kulturalnych Polski z Węgrami i Siedmiogrodem w końcu XVI wieku, oraz rzuca nowe światło na wspaniały alians królewski hetmana Zamoyskiego. Z kolei prof. Władysław Łuszczkiewicz przedstawił naprzód okaz kamienia sztucznego otrzymany z Gniezna, jakiego w miejsce naturalnego używali na rzeźby ornamentacyjne architekci XIV wieku w katedrze i dwu innych kościołach tego miasta. Dawniejsze przypuszczenie referenta w téj sprawie potwierdza wymownie ten okaz, mający podobieństwo do gruboziarnistego, szarego piaskowca,

zdolnego za mokra do modelowania rzeźb, oraz do odgniatania w formach drewnianych składowych części żeber ozdobnych gotyckich sklepień. Następnie zakomunikował zapiski z księgi rachunkowéj klasztoru Augustyanów u św. Katarzyny na Kaźmierzu z lat 1502—1508, dotyczące malarzy krakowskich Joachima i Jana Goraja. Ten ostatni malował obrazy do ówczesnego wielkiego ołtarza u św. Katarzyny i złocił obramienia. Referent podniósł ważność tych ksiąg wydatków i dochodów klasztornych, szczęśliwie dochowanych, a wydobytych najaw przez X. Sutora, komisarza jenerała zakonu, który od dłuższego czasu zajmuje się wypisami z nich, dotyczącemi historyi sztuki, kultury i obyczajów, i zamierza je drukiem ogłosić. W końcu prof. Łuszczkiewicz odczytał pracę swą „Topografia Krakowa z doby przedhistorycznéj na podstawie dotychczasowych badań gruntu". Wykazał w niéj takie zmiany przyniosły wieki bliższe w konfiguracyi terenu, będącego podstawą dzisiejszych ulic i placów; przedewszystkiém określił bliżéj pewną liczbę dawniejszych wzgórz i wyniosłości rozdzielonych wąwozami, które naprzód były zaludnione i przeszły w osady podgrodowe ze swemi najstarszemi kościołami. Za podstawę badań służyła mu obserwacya przy rozkopywaniu ziemi pod fundamenta kamienic i budowę kanałów, i dlatego téż pracy swéj nie uważa za ukończoną, dopóki nowsze badania ziemi nie przyniosą jeszcze pozytywniejszych dowodów położenia pagórkowatego dawnych siedzib ludzkich u stóp wawelskiego grodu.

= W Akademii Umiejętności odbyło się dnia 17-go b. m. posiedzenie **Komisyi fizyograficznéj.** Przewodniczący prof. dr. F. Kreutz wspomniał o stracie, jaką Komisya poniosła przez śmierć członków J. N. Sadowskiego, G. Ossowskiego w Tomsku i A. Ślósarskiego w Warszawie. Pamięć zmarłych uczcili obecni przez powstanie. Składając sprawę z czynności Komisyi w r. z., zawiadomił przewodniczący, że Komisya wydała tom 32 sprawozdań w tomach całych oraz w zeszytach zawierających: 1) materyały do klimatografii Galicyi, 2) materyały do fizyografii kraju zebrane przez sekcyę zoologiczną, botaniczną i geologiczną; 3) materyały do rolniczéj fizyografii kraju. Z Atlasu geologicznego Galicyi wydrukowano prof. M. Łomnickiego tekst do mapy okolic Lwowa. Prace Komisyi postępowały w ogóle podług uchwalonego w roku zeszłym programu, odpadły jedynie z powodu nieprzewidzianych przeszkód badania siły ciężkości ziemskiéj i badania geologiczno-rolnicze, mające na celu wykonanie odpowiedniéj mapy.

Do wydania w sprawozdaniach otrzymała Komisya następujące prace: 1) J. Dzięrdzielewicza „Badania faunistyczne owadów siatkoskrzydłych", 2) D-ra St. Klemensiewicza „O nowych i mało znanych gatunkach motyli fauny galicyjskiéj", 3) D-ra W. Teisseyrego „Kilka uwag z powodu VII zeszytu Atlasu geologicznego Galicyi", 4) St. Golińskiego „Siano łąkowe w okolicy Krakowa", 5) p. Bzowskiego „Opis geologiczno-rolniczy majątku Lipnik", 6) W. Kleckiego i J. Mikułowskiego-Pomorskiego „Zawartość azotu, kwasu fosforowego i węglanów w niektórych typowych glebach Galicyi wschodniéj", 7) p. Łuszczkiewicza „O bydle gór świętokrzyskich", 8) J. Mikułowskiego-Pomorskiego „Rozbiory ziem ornych nadesłanych do Krajowéj Stacyi chemiczno rolniczéj w Dublanach w latach 1895 — 1897"; do wydania w Atlasie geologicznym zaś: prof. d-ra Szajnochy mapę geologiczną Wieliczka-Myślenice. Do Muzeum Komisyi przybyły następujące A) dary: 1) skóra antylopy z Urga w Mongolii, czaszka konia zabajkalskiego, 49 skórek ptaków z Mongolii północnéj, zebranych przez p. Wł. Mollesona, i zbiór roślin z gór Chandagaj w Mongolii i z doliny średniego biegu rz. Czykaja, zebrany przez tegoż, dar p. d-ra Talko-Hryncewicza w Troickosawsku; 2) 39 gat. chrząszczów palearktycznych, dar p. M. Rybińskiego; 3) 7 gat. chrząszczów palearktycznych, dar d-ra H. Lgockiego; 4) 10 gat. roślin zarodkowych z Podola, dar p. A. Knappa w Wiedniu; 5) sferosyderyt z Jastrzębiéj pod Lanckoroną, dar p. S. Stobieckiego; 6) skamieliny z Dąbrowy górniczéj i z okolicy Fulsztyna na Podolu ros., dar za pośrednictwem prof. d-ra Rostafińskiego; 7) kość mamuta z Rzeszowa, dar. p. F. Gartnera; 8) publikacye c. k. Centralnego Zakładu meteorologicznego w Wiedniu i Zakładu geograficznego c. k. Uniwersytetu w Wiedniu; B) przedmioty złożone przez współpracowników Komisyi: 1) zbiór glonów galicyjskich prof. R. Gutwińskiego, 2) zielnik z Galicyi wschodniéj, Bukowiny i komitatu marmaroskiego, p. J. Paczoskiego w Dublanach; C) zakupione skamieliny z okolic Paczołtowic.—Sprawozdanie Zarządu muzealnego, sprawdzone przez pp. prof. K. Bobka, prof. R. Gutwińskiego, prof. d-ra S. Zarębcznego, przyjęto do wiadomości, również jak sprawozdanie z obrotu funduszów Komisyi w r. 1897, sprawdzone i podpisane przez pp. prof. d-ra E. Godlewskiego i d-ra Wierzbickiego. W dalszym ciągu przyjęto przedstawiony przez zarząd Komisyi preliminarz budżetu oraz program prac na r. 1898; między innemi przyznano zasiłki: na badanie porostów, na wycieczkę koleopterologiczną na Czarną Horę, na badanie motyli drobnych w okolicy Rytra, na wykonanie map geologicznych: Dobromila, Rzeszowa, Jarosławia i Leżajska, oraz jednéj mapy geologiczno-rolniczéj, wreszcie na

zbadanie flory łąkowéj w okolicy Krakowa.—Przewodniczącym Komisyi na rok 1898 obrano ponownie prof. d-ra Kreutza, skrutatorami rachunków Komisyi pp. prof. d-ra E. Godlewskiego i d-ra D. Wierzbickiego, zastępcami skrutatorów: pp. d-ra W. Ściborowskiego i prof. d-ra S. Zaręcznego, do komisyi kontrolującéj muzealnéj wybrano pp. radcę górn. J. Bocheńskiego, prof. K. Bobka i prof. R. Gutwińskiego, zatwierdzono wybranych przez sekcyę delegatów do zarządu muzealnego: pp. prof. dr-a J. Rostafińskiego, S. Stobieckiego i prof. d-ra S. Zaręcznego. Wreszcie wybrano na wniosek zarządu jednego współpracownika Komisyi; wybór ten zostanie przedłożony do zatwierdzenia wydziałowi matematyczno-przyrodniczemu Akademii Umiejętności.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Wiosna wdziera się szturmem do Warszawy i nęci mieszkańców miasta za mury. Zaczynamy liczyć tygodnie, dzielące nas od wyjazdu. Zmęczeni, wyczerpani, przesyceni obiecujemy sobie cuda na wsi. Byle wytrzymać do lata. Od jesieni zmienimy niejedno. Naprawimy, cośmy zaniedbali, będziemy pracowitsi, oszczędniejsi, spokojniejsi, ale niech nam dane będzie odetchnąć powietrzem wiejskiém, niech nam wolno będzie nie myśléć o tém, co nam odbiérało sen nocy ubiegłéj i o tém, co na nas czyha jutro. Skarżymy się na nerwy, przygniata nas zniechęcenie, troska, lęk o to, co nam przyszłość przyniesie.

Ludzie starsi patrzą na to pokolenie pełne niepokoju i trwogi, z niedowierzaniem i litością. Nie pojmują chorych, a dziwią się, nie widząc zdrowych. Do tylu skarg na wiekuistą niedolę rodu ludzkiego przybywa dziś skarga nowa, skarga, która nie obijała się o uszy dawniejszych pokoleń, skarga na własne niedołęstwo, na brak odporności, na uleganie smutnym myślom, na obawę, która znienacka opada umysł i każe mu nieustannie przewidywać same okropności.

Specyaliści powiadają, że w innych krajach nie jest lepiéj. U nas jest źle bardzo. Nie mówimy tu o patologicznych objawach, których opis właściwszy jest na łamach pism lekarskich. Wszak co krok spotykamy człowieka, będącego smutnym okazem psychicznego rozstroju współczesnego; zdrowi są wyjątkiem pośród nas. Ten nie może bez śmiertelnéj trwogi przejechać przez most na Wiśle; ów nie odbyłby za nic w świecie podróży bez opiekuna: sama myśl, że może się uczuć osamotniony wśród czterech ścian hotelowego pokoju, przeraża go już

na parę tygodni przed wyjazdem; tamten wreszcie nie dosiedzi w teatrze do sceny, w któréj mają ukazać się duchy. Jednych trapi przeczucie, że dzień jutrzejszy przyniesie słotę, ciekącą smugami z nieba po oślizłych dachach i wilgotnych murach, drugich wprawia w gorączkowe rozdraźnienie myśl, że słota może się zakończyć burzą z grzmotami i piorunami. Każdy z nas zna wszystkie te typy, — wiemy, że szukać ich trzeba nie po szpitalach i klinikach, lecz między nami w zamęcie walki o byt, na stanowiskach wymagających silnéj woli, odwagi i panowania nad sobą.

Obok klinicznéj ma atoli ten objaw także stronę społeczną. Zjawisko takie nie roztacza swéj grozy bez przyczyn ogólniejszych i głębszych. Ta obawa jutra, to przygnębienie, ten wstręt do mizernych szczegółów życia, o które co chwila potrącamy nogą, są to widome oznaki sił poruszających głębiami społecznemi, a dających się poznawać po skutkach.

Właściwych przyczyn naszych cierpień dzisiejszych, wypada pono szukać tam, gdzie się kryją przyczyny naszych powodzeń, zdobyczy, tryumfów. Nigdy nie lekceważono w tym stopniu wartości dnia dzisiejszego, nigdy nie zaprzątano umysłu tak wyłącznie planami na jutro. Myśl, że od wczoraj nie postąpiliśmy ani kroku, że od rana nie przysporzyliśmy fortuny, że nie wznieśliśmy się o szczebel, że pozostaliśmy o pół kroku po za współzawodnikiem i że do wieczora nie dogonimy go może, trapi nas jak zmora. Niepewność, czy jutro powetujemy straty dzisiejsze, i czy pojutrze nie uronimy jutrzejszych zdobyczy, ściga nas nieustannie, jak towarzyszka dozgonna. Wżarła się nam w mózg i opętała naszą wolę. Nieokreślone przeczuwanie nieznanych niebezpieczeństw stało się dla nas główną kategoryą myślenia. Gdy nie przeczuwamy nieszczęść rzeczywistych, męczy nas widmo urojonych. Wytężona troska o przyszłość stała się dźwignią postępu, podniosła dobrobyt mas, dała nam władzę nad przyrodą, zmieniła postać świata. Rzecby można, że jakieś bóstwo mściwe i nienawistne, nie mogąc powstrzymać pochodu ludzkości, pastwi się nad nią, budząc w niéj z nienacka ten lęk tajemniczy.

Oczekuje więc strudzone i zdenerwowane miasto wyjazdu na wieś. Czy nie rozczaruje się nazajutrz po rozgoszczeniu się w letnich mieszkaniach? Dwa miesiące, które jeszcze upłyną na naradach i poszukiwaniach, zaostrzą bardziéj tęsknotę za lasem, murawą i bieżącą wodą. Niechże nadzieja tych rozkoszy słodzi chwile oczekiwania, a gdy nadejdzie skwarne lato; niech zmęczeni i smutni doznają choćby tylko chwilowéj ulgi.

Kiedy inne nastaną czasy, pokolenia późniejsze dziwić będą się może, iż tak znękani, schorzali i trwożni byliśmy w okresie, który właśnie wymaga mięśni silnych i woli niezłomnéj. Dokoła nas toczą się zapasy na śmierć i życie, zapasy, w których nie ma litości dla słabszego i w których sił musi wystarczyć na długo. Walka ogarnia wszystkie sfery życia. Naród walczy z narodem. Wyznanie z wyznaniem. Warstwa z warstwą. Zmartwychwstają hasła bojowe, pogrzebane dawno. W tym zamęcie wiadomo tylko, iż jedynie silni i zdrowi wyjdą z niego cało i doczekają się jaśniejszéj zorzy.

Teatrem takiéj walki jest ogromne półkole, otaczające kraj nasz od zachodu i północy. Za Prosną, Goplem, Drwęcą wzrasta stale zajadłość, z jaką zaléw niemiecki uderza o zaporę słowiańską. Chwila obecna stanowi jakgdyby gwałtowny paroksyzm. Ci, co dotychczas lubili zachowywać pozory legalności, udawać przed światem, że wiernie strzegą idei równouprawnienia, odrzucają dzisiaj niewygodną maskę i przestają się krępować. Z krzeseł ministeryalnych padają coraz częściéj wyrazy, będące echem krzykackiéj, tendencyjnéj publicystyki niemieckiéj. Całą biblioteczkę możnaby już dzisiaj złożyć z wydawnictw, mających na celu wszczepianie nienawiści w serca i umysły niemieckie. Niemcy oswoili się téż z niejedném, co ich jeszcze niedawno raziło. Nie silą się dziś na dobiéranie wyrazów. Komisya kolonizacyjna, któréj zadaniem miało być pewne wyrównanie stosunków, występuje dziś jawnie pod hasłem, które, jakkolwiek zrazu ukrywane, nie było naprawdę tajemnicą dla nikogo. Dano jéj nowe sto milionów na wykupienie pozostałéj ziemi. Gdy to nie wystarczy, dostanie jeszcze niejeden zasiłek. Urzędnicy otrzymali rozkaz oddawania się polityce nietylko w biurze, lecz i po za służbą. Władze administracyjne otrzymały od sejmu sumę 400,000 marek na popieranie niemczyzny po miastach i miasteczkach, a równocześnie policya rozpoczęła łowy na wszystkich, którzy śmią udzielać nauki czytania i pisania po polsku.

Cóż pobudziło nagle Niemców do wybuchnięcia takim szałem? Przyczyn jest oczywiście wiele. Jedną z głównych atoli jest niewątpliwie uczucie gniéwu i zgrozy na widok bezskuteczności poprzednich zapędów. W doktrynerskiém zaślepieniu powiedzieli sobie, że wynarodowienie trzech milionów Polaków jest rzeczą możebną. Język niemiecki, pieśń niemiecka, obyczaj niemiecki miały zapanować wszechwładnie i niepodzielnie na całym obszarze od Odry po Helę. Kwestya polska w państwie pruskiém powinna była zniknąć na zawsze. Wierzono w to silnie. Doktrynę, opartą na najfantastyczniejszéj z hypotez, powtarzali wytrawni dyplomaci, znakomici uczeni, doświadczeni administratorowie kraju.

W latach w których oczekiwano niechybnego zaniku polskości w Poznańskiém i Prusach Zachodnich, przebudził się nagle Szląsk, przebudziła się Warmia a w ślad za tą ludnością poszli mazurscy ewangielicy w Prusach Wschodnich. Mieszkańcy zapomnianych zakątków, ulegający germanizacyi od wieków, byliby może z czasem podobnie jak Słowianie nadelbiańscy zatracili swą narodowość, gdyby polityka pruska nie była sto lat temu wciągnęła w organizm państwa świéżych żywiołów polskich, posiadających własne życie umysłowe, wyrobiony język, rozwiniętą literaturę. Przedtém zniemczenie Szląska było nieprawdopodobne, lecz możliwe. Teraz stało się zadaniem niewykonalném. Prędzéj czy późniéj nadejść musiała chwila, nieprzewidywana przez zeszłowiecznych dyplomatów pruskich. Rząd ujrzał po za ludnością, z którą walczy, inne zastępy téj saméj ludności, powstające z uśpienia w prowincyach, w których nie domyślano się ich istnienia. Dziś statystyka przekonywa każdego o ogromie tych mas. Niemcy obliczają ludność polską rejencyi opolskiéj na 935 tysięcy głów, ludność polską Warmii i Mazurów na 328 tysięcy. Może to być zaiste źródłem niepokoju dla kogoś — kto powiedział sobie, że nie spocznie dopóty, dopóki nie przetrawi wszystkiego, co zagarnął.

Niepokój, jaki ogarnia Niemca, dumającego nad temi liczbami, wzrasta przy dokładniejszém zbadaniu tychże. Myliłby się, ktoby mniemał, że ludność polska na Szląsku rorzucona jest kępami po morzu niemieckiém. W rzeczywistości zamieszkuje ona zwartą ławą znaczny pas ziemi. W powiecie pszczyńskim spotykamy, na tysiąc mieszkańców 883-ch Polaków, w powiecie oleskim 864-ch, w rybnickim 845-ciu, w lublinieckim 841, w strzeleckim 825, w kozielskim 807-miu. W trzynastu powiatach Szląska górnego mają Polacy przewagę liczebną. Rzecz oczywista, iż wobec znacznego zniemczenia miast szląskich, przewagę tę nadaje Polakom jednolita ludność wiejska. Mimo to, i miast tamtejszych nie można uważać za zupełnie zniemczone. W Bytomiu mamy 478-miu Polaków na tysiąc mieszkańców.

Nie tak groźnie dla Niemców przedstawiają się stosunki w Prusach Wschodnich. I tam jednak bywają powiaty takie, jak Jońsborski, liczący na tysiąc mieszkańców 765 Polaków, szczytnieński, który ma ich 757-miu na tysiąc, lub nieborski, w którym liczba ta dosięga jeszcze 742-ch. Wogóle znajduje się w dzisiejszych Prusach Wschodnich siedm powiatów, w których Polacy stanowią większość; oprócz tego są dwa powiaty (lecki i olecki), w których ludność polska stanowi bez mała połowę ogółu mieszkańców.

Od niedawna dopiéro zaczynają Niemcy pojmować prawdziwe znaczenie tych liczb. Jest w istocie coś nadludzkiego w tém zgłaszaniu

się rozbitków, o których słuch prawie zaginął. Wszak ostatniemi czasy czytaliśmy o wiecach ludowych w powiecie bytowskim na Pomorzu, gdzie żyje jeszcze parę tysięcy Polaków, odciętych od głównego pnia przed dwoma przeszło wiekami.

Ale nietylko ta tocząca się naturalnym pędem lawina budzi w społeczeństwie niemieckiém niepokój i obawę. Niepokoi ich wzrastająca coraz wyraźniéj pewność, że środki, używane dotychczas, mogą wywołać tylko następstwa bardzo ograniczone, bardzo niewiele ważące wobec milionowych cyfr ludności i bardzo wobec praw ewolucyi dziejowej na niedaleką sięgające metę. Ludność polska pomnaża się szybciéj od niemieckiéj. Objaw ten widoczny jest na całéj linii granicznéj między światem słowiańskim i germańskim. Widoczne to jest równie w państwie pruskiém, jak w Austryi. W Czechach, na Morawach, w Karyntyi i Krainie zmieniają się stosunki na niekorzyść Niemców wskutek nieuniknionego przyrostu Słowiańszczyzny. W Księstwie i Prusach Zachodnich zaznacza się to w wielu działach statystyki urzędowéj. W niejednym powiecie procent polskiéj dziatwy szkolnéj jest większy, niż procent ludności polskiéj wykazany w spisie z roku 1890 go. Stosunek procentowy głosów polskich przy wyborach do parlamentu wzrasta w wielu powiatach stale. Żaden wymysł gabinetu pruskiego nie zdołał zrównoważyć dotychczas wpływu tajemniczych sił przyrody. Ani kolonizacya niemiecka, ani wyłączenie chłopów polskich od dobrodziejstw banku rentowego, ani sztuczne podtrzymywanie konkurencyi niemieckiéj na każdém polu nie przełamały tego, czego przełamać nie można.

Niemcy stali przez czas długi na tém czysto doktrynerskiém stanowisku, iż wytępienie polskiéj własności większéj należy uważać za identyczne ze zupełném zgermanizowaniem prowincyi wschodnich. Ks. Bismarck wierzył w to święcie. Czas wyleczył polityków niemieckich z tego złudzenia. Gdy przed kilku laty twórca polityki antypolskiéj, przyjmując deputacyę Niemców poznańskich, zaczął po dawnemu rozwijać tę samą teoryę, odezwały się w najzagorzalszych pismach polakożerczych bardzo znamienne protesty. Przestrzegano rodaków, żeby nie podzielali złudzeń staruszka i nie wyobrażali sobie, że ze zdobyciem szańca szlacheckiego wojna się zakończy.

Dziś jasném jest dla każdego, że wykupienie dziewięćdziesięciu kilku tysięcy hektarów przez komisyę kolonizacyjną nie jest równoznacznikiem ostatecznego rozegrania partyi. Bank ziemski, zwany ratunkowym, choć rozpoczął czynności z sześćdziesiątą częścią kapitałów, któremi rozporządzała komisya w początkach swego istnienia, kupił i rozparcelował 18 tysięcy hektarów. Gdy nadto uwzględnimy, że komisya ku-

puje ostatniemi czasy znacznie więcéj ziemi od właścicieli niemieckich, niż od polskich, jeżeli zważymy, że właśnie w ostatnim roku drogą prywatnych tranzakcyi więcéj ziemi kupili Polacy od Niemców, niż odwrotnie, jeżeli dodamy, że cała działalność komisyi sprowadziła do prowincyi polskich tylko 7 tysięcy kolonistów i że działalność ta wogóle nie może zaznaczyć się niczém na całym tym ogromnym obszarze, na którym większéj własności polskiéj niema oddawna, pojmiemy, że rozczarowanie i gniéw Niemców mają głębsze powody.

Narzędzia, któremi polityka rozporządza, są skuteczne tylko w ciasnym stosunkowo zakresie: cudów niemi zdziałać nie można.

Tadeusz Smarzewski.



Wydawca: *W. Spasowicz.*
Za Redakt.: *W. Spasowicz* i *Stanisław Wydżga.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Апрѣля 1898 г. — Druk Jana Cotty.

